Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron

Warszawa, 25 czerwca 1950 r.

Nr 13 Rok I

Biblioteka Szkoły Kandydatów Partyjnych SOPOT

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

PRZED PIĄTYM ZJAZDEM PISARZY

DOROCZNY zjazd pisarzy powinien być zawsze — z bardzo wyraźnych względów — szczególnie ważnym wydarzeniem dla budującej się nowej kultury naszych nowych czasów. I jest rzeczą pisarzy samych, aby każdy zjazd był rzeczywiście ważnym wydarzeniem. Zadanie to jest całkowicie uzasadnione. Zadaniem tym obarcza pisarza już sam rodzaj jego pracy. Intelektualny, ideologiczny i masowy charakter pracy pisarskiej.

W kraju, w którym na każdym odcinku przebiega proces budowy socjalizmu, ów intelektualny, ideologiczny i masowy charakter pracy pisarza decyduje o szczególnie głębokim znaczeniu tej pracy dla tworzenia prawdziwie socjalistycznej kultury, dla tworzenia prawdziwie socjalistycznej sztuki. Charakter pracy pisarza wysuwa go na czoło pracowników sztuki, gdyż umożliwia najszersze ujmowanie artystyczne i tłumaczenie zjawisk. Charakter pracy pisarza decyduje o szczególnej pozycji organizacji pisarzy w życiu społeczno-kulturalnym, wyznacza Związkowi Literatów Polskich przodującą rolę wśród wszystkich pozostałych stowarzyszeń i związków artystycznych w kraju.

Ale ta rola zobowiązuje naszą organizację, musi być wypełniana, musi być rzeczywista. Jest rzeczą jasną, że to przede wszystkim tu właśnie — na terenie Związku Literatów — w dyskusjach i pracy zespołowej formułować się powinny w praktycznej postaci zagadnienia ogólnych zasad estetyki marksistowskiej, wyjaśniać się zagadnienia realizmu socjalistycznego, tu rodzić się powinny wypowiedzi i publikacje omawiające zarówno sprawy naszych współczesnych celów artystycznych, nowych postulatów, nowych doświadczeń, jak i popełnianych — praktycznie i teoretycznie — błędów, fałszywych interpretacji, zautomatyzowanych i schematycznych ocen, sztywnego myślowego formalizmu. Postawy literackich dyskusji i prac zespołowych mogłyby odegrać inspirującą rolę w wielu dziedzinach twórczości artystycznej.

Oczywiście — stwierdzić to trzeba otwarcie — Związek Literatów Polskich tych swoich zadań, ważnych, najistotniejszych zadań ideologiczno-artystycznych, dotychczas nie wypełniał w dostatecznej mierze. Nie był ostoją pisarzy w ich pracy literackiej, w ich trudnościach i wątpliwościach artystycznych, na ich trudnej drodze dojrzewania ideologicznego. Cała problematyka, wysuwana i dyskutowana na kolejnych dorocznych zjazdach, pozostawała w stenogramach, nie rozwijano jej na terenie Związku, a chociaż niewątpliwie oddziaływała na dalsze, indywidualne prace poszczególnych pisarzy — nie kontynuowano dyskusji w odpowiedni sposób w żadnych stałych, przez Związek organizowanych zespołach. Nie czuwano dostatecznie nad akcją występów autorskich i odczytów. Życie literackie żywiołowo wyprzedzało organizację związkową.

Piszący niniejsze uwagi — będąc członkiem Zarządu Głównego ZLP poprzez trzy kolejne kadencje — ma większe może niż ktokolwiek ze zmieniających się co roku kolegów prawo do samokrytycznego naświetlenia tych spraw. Żaden z kolejnych Zarządów, w których uczestniczył od Zjazdu Łódzkiego poprzez Zjazd Wrocławski i Zjazd Szczeciński, nie umiał rozwinąć swoich zadań we właściwy sposób. Nie umiał przede wszystkim wydostać się spod zalewu spraw gospodarczych, spod zalewu spraw „bytowych" członków Związku. Nie umiał wpłynąć na właściwe rozwiązanie tych spraw. Nie umiał pogodzić związanej z tymi sprawami pracy z pracą płodniejszą, z pracą konstruktywną i pilną z pracą ideologiczną, z troską o właściwe prostowanie dróg współczesnej produkcji literackiej i o właściwy stosunek do literackich tradycji. Nie umiał znaleźć dostatecznie określonego miejsca dla tych spraw i dla spraw tamtych, spraw gospodarczo-technicznych. W rezultacie, sprawy gospodarczo-techniczne pochłaniały niemal całą pracę kierownictwa Związku. Umowy zbiorowe z wydawcami, z Radiem, z Filmem, z prasą... Pożyczki i zapomogi dla członków Związku w wypadkach choroby lub w innych wypadkach wymagających rozpatrzenia... Troska o zaspokojenie głodu mieszkaniowego i poprawę warunków pracy literackiej... Ustawiczne kłopoty z domami wypoczynkowymi i domami pracy... Budownictwo i remonty domów... Starania o załatwienie ubezpieczeń socjalnych... Dziesiątki spraw wymagających niejednokrotnie dużej rutyny prawniczej, której oczywiście nikt z pisarzy kierujących tymi sprawami nie posiadał.

Poza niemożnością odpowiedniego skanalizowania tych wszystkich spraw gospodarczych dla zapewnienia właściwego miejsca sprawom ideologiczno-artystycznym — istnieje jeszcze drugi poważny dowód słabości dotychczasowych Zarządów. Tym dowodem jest mianowicie wieloletnie już tolerowanie wszelkiego rodzaju „martwych dusz" na terenie Związku, bez skutecznego podjęcia tego zagadnienia, bez żadnej skutecznej i pozytywnej próby załatwienia tej niewątpliwie trudnej, ale od dawna już pilnej sprawy.

Te „martwe dusze" — to pełnouprawnieni członkowie Związku, którzy w gruncie rzeczy nie uprawiają zawodu pisarskiego, nie przejawiają żadnej aktywności literackiej. Członkowie ci są kłopotliwym balastem we wszystkich poczynaniach Związku, osłabiają i dyskredytują jego autorytet, stanowią bezwładną masę, która — zainteresowana różnymi korzyściami mogącymi wyniknąć z członkostwa — wykazuje całkowity brak zainteresowania samą problematyką literacką, poważnie utrudniając w ten sposób rozwój aktywności Związku na polu tej problematyki, na polu ideologii artystycznej. Ci „martwi" członkowie — to najczęściej tacy, którzy w jakimś krótkim momencie życia zajmowali się pracą literacką, ale od dawna zajmować się nią przestali i dziś sprawy rozwoju problematyki literackiej nic ich nie obchodzą.

Zastanówmy się nad tą sytuacją rozsądnie, a dojdziemy łatwo do jedynego słusznego wniosku: członkowie Związku bez wartościowego dorobku pisarskiego, a jednocześnie całkowicie i stale literacko nieaktywni — są nam niepotrzebni, są balastem, który w wielu okolicznościach hamuje naszą zespołową działalność.

Nieuregulowanie przez dotychczasowe kolejne Zarządy Główne tych przede wszystkim dwoch spraw, bardzo w praktyce zasadniczych — sprawy nadmiernego obciążenia gospodarką związkową oraz sprawy nie mniejszego ciężaru — sprawy „martwych dusz" — utrudniło w pierwszym rzędzie już samą nawet myśl o uczynieniu ze Związku Literatów właściwego, intelektualnie aktywnego centrum życia literackiego. W prostej konsekwencji — ta dotychczasowa nieumiejętność i niemożność wyjścia z impasu odbiła się w sposób dotkliwy na dwóch kapitalnych zagadnieniach, które powinny były być — a bezwzględnie muszą być w przyszłości — najważniejszymi zagadnieniami do rozwinięcia na terenie Związku. Jest to mianowicie: zagadnienie kadr i zagadnienie tzw. „rynku" wydawniczego.

Zagadnienie kadr ma swoją bardzo rozległą problematykę i stawia przed Związkiem cały szereg współzależnych zadań. To przecież nie tylko sprawa „wyszukiwania" nowych talentów pisarskich, wchodzących na teren literatury z nowymi myślami, z nowym, rewolucyjnym rozmachem. Aby Związek był w stanie zagadnienie kadr celowo na swoim terenie rozwijać — musi być do tego zadania odpowiednio przygotowany, musi wytworzyć warunki, w których nowe kadry będą kształtować się rzeczywiście w jak najlepszej atmosferze ideologiczno-artystycznej. A przecież nie chodzi tu tylko o właściwe przyśpieszanie i prostowanie startu nowych zastępów pisarskich, ale i o pomoc w rozwoju literackim pisarzy dojrzałych. Zagadnienie nowych kadr pisarskich to nie sprawa wieku i stażu pisarzy, ale przede wszystkim sprawa nowej jakości ich prac literackich. Trzeba stworzyć warunki na terenie Związku dla rozwijania konstruktywnych dyskusji literackich, dla rozwijania życzliwej i celowej krytyki wzajemnej i samokrytyki pisarzy. Trzeba znaleźć sposób na uaktywnienie Związku w dziedzinie twórczego życia literackiego, w dziedzinie problematyki dróg rozwojowych literatury współczesnej. Pasjonujące dyskusje na terenie Związku Pisarzy Radzieckich powinny nas do takiego uaktywnienia zainspirować. Zalety, błędy i niedostatki naszej bieżącej produkcji literackiej, naszej prozy i poezji, naszych sztuk scenicznych i naszych artykułów krytycznych, powinny być krytykowane przede wszystkim na terenie Związku Literatów, pod warunkiem — rzecz prosta — że będzie to związek literatów rzeczywiście aktywnych o głębokim poczuciu odpowiedzialności ideologicznej, moralnej i artystycznej. I tylko przy wytworzeniu się takiej praktyki w działalności Związku będzie mógł Związek pomyślnie rozwijać na swoim terenie rozliczne zadania związane z zagadnieniem kadr.

Drugie kapitalne zagadnienie — zagadnienie skutecznego głosu Związku Literatów w sprawach produkcji wydawniczej — również wymaga wyraźnego przestawienia zasadniczej działalności Związku na tor problematyki literackiej. Aby mieć wpływ na produkcję wydawniczą — trzeba zdobyć autorytet wynikający z możliwości wypracowania na terenie Związku jasno sprecyzowanego poglądu na sprawy polityki literackiej. Przy spełnieniu tego warunku jednak — wpływ taki mógłby być niezmiernie celowy. Mógłby wiele krzyżujących się spraw, wiele usterek, wiele przeoczeń, czy też niewłaściwych metod stosowanych niekiedy wobec pisarzy i ich książek — uporządkować. A przede wszystkim — mając odpowiedni wpływ na wydawanie bieżącej produkcji literackiej czy też wręcz wydawaniem tej produkcji kierując — mógłby Związek synchronizować politykę wydawniczą z rezultatami swych wewnętrznych dyskusji na temat nowo napisanych książek czy nowo opracowanych przekładów. Współpraca z autorem, właściwa krytyka nowego utworu przed jego ogłoszeniem — i to krytyka przez wydawnictwo uznawana — na pewno wpłynęłaby jak najlepiej na jakość nowych książek na półkach księgarskich. Wpłynęłaby w każdym razie nie w sposób przypadkowy i nieraz mylny, jak to się zdarza obecnie, gdy uwag autorowi udziela nie grono dojrzalszych ideologicznie i artystycznie pisarzy, lecz po prostu raz lepszy a raz gorszy urzędnik wydawnictwa lub nawet — często nazbyt pewny swej wiedzy — adiustator .

Ani rozległego zagadnienia kadr ani bieżących zagadnień polityki wydawniczej ani innych pilnych zagadnień dotyczących bezpośrednio samej twórczosci literackiej, żaden Zarząd Główny nie będzie w stanie rozwinąć w dostatecznej i koniecznej mierze bez zainicjowania na Walnym Zjeździe Delegatów odpowiedniej reorganizacji Związku, bez pokonania obciążeń i przeszkód, na które próbowaliśmy wskazać, bez oddzielenia przede wszystkim spraw gospodarczo-technicznych od własciwej działalności, od zasadniczych zadań, jakie przed Związkiem stoją, stając się z roku na rok coraz pilniejsze, coraz bardziej naglące. W tej sytuacji wniosek może być tylko jeden: przy ogólnym uświadomieniu sobie rzeczywistych zadań Związku i dotychczasowych niedomagań — obciążenia raz wreszcie uregulować, przeszkody usunąć.

Tym bardziej ,że niewątpliwie oczywistą dla wszystkich prawdą jest rzucona już wyżej uwaga o wyprzedzaniu rozwoju organizacji związkowej przez rozwój twórczości literackiej, torującej sobie drogę — nie bez sukcesów i nie bez błędów — ku nowym treściom, ku nowym celom. Ukazują się książki, które powinny w swoim czasie przejść przez zespołową krytykę i dyskusję pisarzy. Zarówno książki prawdziwie nowatorskie, jak i książki pełne wstecznych obciążeń. Rzeczowa i poważna, kierowana żywą troską o jakość naszej literatury współczesnej, zespołowa dyskusja nad książkami i tymi i tamtymi — na pewno pomogłaby w posunięciu się o krok naprzód i ich autorom i wszystkim uczestnikom dyskusji.

Tymczasem jednak — w nierównomiernym ale ambitnym pochodzie naprzód współczesnej naszej literatury, w szukaniu dróg praktycznej pisarskiej realizacji wyraźnie widocznych zadań — Związek Literatów, jako organizacja, bierze zbyt mały udział. Tak ważne punkty węzłowe w rozwoju tej literatury, jak choćby przemówienie tow. Bermana w lutym bieżącego roku na konferencji pisarzy wyjeżdżających w teren po nowe, współczesne realia dla swej pracy pisarskiej — wyjaśniały wiele istotnych spraw poszczególnym pisarzom, ale raczej nie bywały podejmowane na terenie Związku jako cenny materiał dyskusyjny, jako ciekawe dla dalszego rozwinięcia uwagi na temat zadań współczesnej literatury, jej niedostatków i jej właściwych celów społecznych. Związek i w tym wypadku i w wielu innych bezwładnie pozostał w tyle.

Ukazujące się na półkach księgarskich nasze nowe książki i ukazujące się w teatrach nasze nowe sztuki sceniczne znajdują się — w swych treściach i formach — na rozmaitych etapach walki o prawdziwy, prawdziwie związany z twórczą pracą człowieka, realizm socjalistyczny. Mimo tych różnych etapów i mimo lepszych lub gorszych wyników pisarskiego trudu — kierunek drogi jest zupełnie jasny. Kadry idą naprzód — zdobywają nowe pozycje i nowe doświadczenia. Te kadry muszą się rozwijać, muszą wzrastać i w liczbę i w jakość pracy literackiej.

Ten kierunek drogi, znaczony nowymi pozycjami produkcji literackiej, wskazuje jednocześnie konieczny kierunek rozwoju i nowy rodzaj zadań instytucji związkowej. A linia tego rozwoju musi być tak konsekwentna, jak już jest wyraźna: łączyć wysiłki, łączyć poszukiwania, łączyć doświadczenia nowatorskich pisarzy i wzmacniać je poprzez kolektywną współpracę; pogłębiać krytykę konstruktywną, podnosić jakość wyników pracy pisarskiej poprzez poważną dyskusję, poprzez formułowanie na związkowym terenie odpowiedzialnych sądów; kontynuować akcję wyjazdów pisarzy w teren po realny materiał pisarski; ułatwiać start młodym i zdolnym pisarzom, czuwać nad ich literackim rozwojem i wykształceniem. Zdobywać wpływ na politykę wydawniczą, opiekować się książką pisarza.

Te nowe zadania (które częściowo zaczyna już przyswajać sobie organizacja partyjna pisarzy, a które bezpartyjnych pisarzy także przecież żywo interesują), wymagają rozległej i pełnej praktyki na terenie całego Związku. Aby jednak rzeczywiście mogły być podjęte i z odpowiednio pełną uwagą coraz szerzej i głębiej rozwijane — musi równolegle nastąpić uregulowanie tych spraw, które dotychczas w pierwszym rzędzie tak bardzo ciążyły i na pracy kierownictwa Związku i na zawodowej pracy wszystkich aktywnych jego członków. Uregulowane być muszą w sposób zdecydowany sprawy gospodarcze, sprawy „bytowe", uregulowana być musi w sposób wyraźny i jednoznaczny sytuacja prawna pisarza.

Ta sytuacja i możność rzetelnej aktywności literackiej w szerokim sensie — nie są to zagadnienia od siebie niezależne. Wskazują na to doświadczenia radzieckie w dziedzinie organizacji spraw literackich. Nie może się obejść i u nas bez jasnego postawienia i rozstrzygnięcia tych spraw.

Trzeba powołać instytucję, która by się zajęła zarówno kłopotami gospodarczymi Związku, jak i ochroną praw autorskich, instytucję podległą — na wzór radziecki — Związkowi Literatów, samorządową. Trzeba wprowadzić w życie ostateczną w swych zasadach konwencję wydawniczą, która by w sposób wyraźny uregulowała stosunki pomiędzy autorem a wydawnictwem. Trzeba usprawnić organizację i działalność instytucji Domu Książki, poprzez którą nasza produkcja literacka ma docierać do masowego czytelnika. Trzeba raz na zawsze zapewnić pisarzom udział w ubezpieczeniach socjalnych. Trzeba raz na zawsze w sposób jednoznaczny określić rolę i funkcję społeczną pisarza.

Zdecydowane wyjaśnienie, ustalenie i utrwalenie tych wszystkich spraw uczyni realniejszymi nasze postulaty skierowania całej uwagi i pracy Związku w stronę zagadnień rozwoju literatury współczesnej, w stronę nowych jej zadań, nowej problematyki, nowych jej treści. Pozwoli nareszcie kierownictwu, obranemu na następną kadencję, zająć się tym, czym się przede wszystkim i jak najpełniej zająć powinno.

Warszawski Walny Zjazd Delegatów Związku stoi przed wyraźnie zarysowanymi perspektywami pracy najistotniejszej, najważniejszej dla dalszych losów naszej literatury współczesnej. Właściwe zainicjowanie tej pracy na samym Zjeździe — zadecyduje o dalszym rozwijaniu jej na terenie Związku w sposób najbardziej właściwy Ściślejszego uregulowania sytuacji ekonomiczno-prawnej pisarza — musimy się domagać. Ale za jakość, za treść twórczości literackiej sami jesteśmy odpowiedzialni.

Juliusz Żuławski

PAUL ELUARD

Narzucimy pokój*)

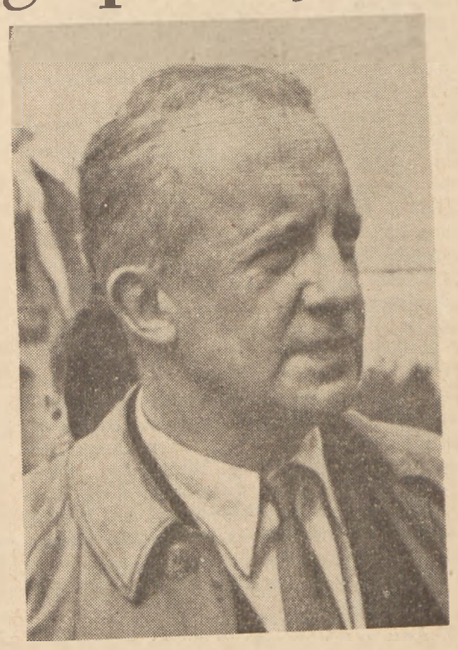

Paul Eluard

Jak to już wyjaśnili moi towarzysze, żyliśmy w Związku Radzieckim na całkiem odmiennej płaszczyźnie aniżeli w naszym kraju. Odbyliśmy podróż nie tyle w przestrzeni ile w czasie — w czasie socjalizmu. I opowiadając wam dzisiaj o tym cośmy widzieli, mamy poczucie, że służymy prawdzie.

Napisany w roku 1943 wiersz zakończyłem słowami:

„Opisuję to com widział,
to co wiem,
to co jest prawdziwe".

Nie jestem sceptykiem ani złośliwcem, ale doświadczenie oraz (pochlebiam sobie) doza zdrowego rozsądku — nauczyły mnie odróżniać ludzi prawdomównych od kłamców, jednostki dobroczynne od szkodników, żarliwych od obojętnych, moich przyjaciół od wrogów.

Jak wszystkim wiadomo, jestem komunistą i nikt chyba nie sądzi, że to z przypadku... Wiedziałem więc niejedno o ZSRR i miałem wszelkie podstawy, by temu wierzyć. Lecz mogłem nareszcie kraj ten zwiedzić i oto tyle rzeczy, o których wiedziałem, stało się dla mnie widzialnymi.

Wiedziałem doskonale, że narody Związku Radzieckiego posiadają ustrój socjalistyczny; ale nieznana mi była owa spokojna atmosfera panująca zarówno w kołchozach jak w miastach, owa swoboda charakteryzująca obecnie więź solidarności pracowniczej.

Wiedziałem oczywiście, do jakich wspaniałych wystąpień zdolny jest lud radziecki dając wyraz swej czci zarazem dla pracy i dla pokoju; lecz nigdy nie można było zobaczyć — tak jakeśmy to my widzieli w dniu pierwszym maja — czteromilionowej rzeszy mężczyzn, kobiet, dzieci defilujących tak ochoczo w tak wzorowym a spontanicznym szyku; nigdy się nie widywało takiej flotylli sztandarów, tylu portretów, tylu zielonych gałązek i kwiatów falujących ponad głowami — i niepodobna sobie wyobrazić, z jaką radosną pufałością mieszkańcy Moskwy pozdrawiali witającego ich wodza ludzi pracy.

Wiedziałem dobrze, że się w Związku Radzieckim buduje i odbudowuje; nie wiedziałem jednak, z jakim zapałem każdy przykłada swą cegiełkę do budowli życia, jak gorliwie każdy się stara ulepszać swoją robotę, umacniać przyszłość. Następny rok będzie jeszcze bogatszy od bieżącego, każdy buduje Pokój, z uśmiechem na ustach posługując się pokojowymi narzędziami. W roku 1917 Moskwa liczyła milion mieszkańców, dzisiaj posiada ich sześć i pół miliona. I wszędzie horyzont się rozszerzył. Wczorajsze zniszczenia giną we mgle. Widziałem w Stalingradzie fabryki, szkoły, domy, pałace pośród prawie już niewidocznych ruin. Wczorajsi wojownicy oczyścili drogę, kroczą dziś na otwartym terenie, są pewni jutra. W Stalingradzie widziałem rodzinę, która dotychczas gnieździła się w piwnicy, wprowadzającą się do mieszkania o obszernych jasnych izbach, o jakich nie może marzyć żaden robotnik francuski.

Niewątpliwie wiadomo mi było, jaki wysiłek został dokonany i co się robi nadal, aby klasie pracującej udostępnić lecznictwo, wykształcenie, rozrywkę; ale nie widziałem owej robotnicy w stalingradzkiej wytwórni traktorów, jak grała sobie na fortepianie w fabrycznym Pałacu Kultury w warunkach, jakie ledwie nieliczni francuscy b o u r g e o i s mogą sobie zapewnić dla spędzenia wywczasów.

Owszem, wiedziałem, że w Związku Radzieckim ludzie są syci; ale nie przewidywałem takiej obfitości artykułów spożywczych w sklepach ani takich tłumów kupujących. Wiedziałem o obniżce cen o dwadzieścia do trzydziestu procent; lecz oto miałem sposobność zanotować, że na przykład w leningradzkiej fabryce cukierniczej wypadło zwiększyć produkcję o trzydzieści osiem procent.

Wiedziałem, jakim kultem otacza się dzieci; ale nie widziałem ich bawiących się i tańczących w carskim pałacu, który ich rodzice pieczołowicie odrestaurowali w okazałym stylu epoki; alem nie widział owej sali wykładowej przekształconej w ogród, gdzie każdy z ośmioletnich uczniów ma pod swoją opieką roślinę, z której rozwoju codziennie obowiązany jest zdawać sprawę.

Wiedziałem, iż corocznie coraz liczniejsi słuchacze zapisują się na radzieckie uniwersytety; atoli nie widziałem przeszło tysiąc tomów liczącej biblioteki Uniwersytetu w Tyflisie, stolicy Gruzji, małego kraju — wczoraj jeszcze o ustroju kolonialnym.

Wiedziałem o sympatii Związku Radzieckiego dla Francji; ale nie spotkałem owych młodziutkich studentów, których ambicją jest uwieńczenie studiów rozprawą o Balzaku lub Stendhalu; nie śpiewałem „Marsylianki" wraz z wypełniającym salę tłumem intelektualistów.

Wiedziałem, z jak ufną uwagą obywatele ZSRR śledzą nasz ruch organizacyjny; ale nie byłem świadkiem żywiołowych owacji, których przedmiotem — zarówno w kołchozie czy fabryce jak i w Związku Pisarzy — byli nasi towarzysze dokerzy.

Wiedziałem, jaką ceną lud radziecki opłacił swoje zwycięstwo, lecz nie spotkałem owej uczennicy szkoły średniej w Moskwie, która mi oświadczyła, że jest sierotą wojenną — podobnie jak trzydzieści procent jej kolegów i koleżanek. A przecież ta pilna młodzież — pokolenie wojenne — to w Związku Radzieckim wyraz odwetu postępu nad nienawiścią i zniszczeniem.

Wiedziałem, że Związek Radziecki pragnie Pokoju; ale nie oglądałem Wojny pokonanej radością budowania, zasiewania, nauczania; nie widziałem roziskrzonych spojrzeń stalingradzkich murarzy, gruzińskich chłopów i moskiewskich studentów — kiedy wymawiają słowo: Pokój.

Piękna i krzepiąca to prawda, że nie na próżno ludzie tyle walczyli: wiedzą, że zwycięstwo jest osiągalne, że Pokój — to jedyne hasło, jedyne trwałe zawołanie, jedyna możliwa przyszłość. I stajemy w obronie Pokoju, kiedy głosimy prawdę o Związku Radzieckim, kiedy szerzymy o nim wiadomości, kiedy francuskim masom pracującym stawiamy za przykład robotników i chłopów rosyjskich, którzy wczoraj ocalili świat od hitlerowskiego faszyzmu a dziś — swym twórczym budownictwem — stwarzają najpewniejszy wał ochronny wolnej ludzkości. Prawdą jest, że Związek Radziecki potrzebuje Pokoju i jest prawdą, że go pragnie i buduje wszystkimi swymi odzyskanymi siłami. Jego nadzieja powinna być naszą nadzieją, nadzieją wszystkich na świecie uczciwych ludzi, co nie chcą być wspólnikami podżegaczy wojennych.

Aby się wyzwolić spod ważących się nad nami gróźb, trzeba nam uczynić ogromny krok. Krok ten uczynimy. Nie jest dla nas tajemnicą: kto może skorzystać na zbrodni a komu przyniesie korzyść Pokój. Między życiodajnymi zdobyczami Miczurina a niszczycielskimi zdobyczami bomby atomowej — dokonaliśmy wyboru. Narzucimy pokój.

Paul Eluard
Przełożył
Gabriel Karski

*) Przemówienie wygłoszone w Paryżu — po powrocie z podróży do ZSRR. Tekst ogłoszony w tygodniku „Les Lettres Françaises".

Z tajników kolaboracji watykańskiej

Zamieszczone fotograficzne kopie trzech dokumentów ilustrujących politykę Watykanu otrzymaliśmy od ob. Stefana Urbańskiego, autora większej pracy pt. „Państwo watykańskie", która ukaże się wkrótce w wydawnictwie „Książka i Wiedza".

Dokumenty te mają wymowę tak dobitną i tak dosadnie ilustrują politykę zagraniczną Watykanu, że obszerniejszego komentarza zapewne nie wymagają. Przypomnijmy tylko, że papieżem o którym mowa w liście Skrzyńskiego do Becka, jest Pius XI (Achilles Ratti), znany „przyjaciel Polski", swego czasu protektor Piłsudskiego na międzynarodowym targowisku imperialistycznym. Jak świadczy list Skrzyńskiego — „wyjątkowe zadowolenie" z Hitlera Pius XI łączył z prohitlerowskim poglądem na sprawę tzw. „korytarza", którą jako wytrawny dyplomata poruszał w rozmowach tylko „ogólnikowo". Niedarmo rządy sanacyjne przemianowały swego czasu ulicę Piękną w Warszawie na ulicę Piusa XI...

A oto kardynał Suhard, niedawno zmarły arcybiskup Paryża, jawny kolaboracjonista, postać spopularyzowana u nas po woj. nie przez „Tygodnik Powszechny" oraz „Dziś i Jutro". Znakomity moralista i teolog, którego piękne teksty mieliśmy przyjemność czytywać we wspomnianych tygodnikach, był — jako kolaboracjonista — tak dalece lojalny wobec Hitlera, że nawet w Watykanie nie chciał się spotkać z przedstawicielem USA i z przedstawicielem polskiego „rządu" londyńskiego. Skąd inąd (z książki Kérillisa „De Gaulle dictateur") wiadomo, że jako przezorny polityk monsignore Suhard właśnie podczas owego pobytu w Watykanie zabiegał u papieża o wstawiennictwo do Roosevelta, by po przewidywanej na wszelki wypadek klęsce Hitlera — wojska amerykańskie okupowały Francję i ocaliły ją w ten sposób przed demokratycznymi przemianami.

Z dwu zamieszczonych przez nas raportów gestapowskich o rzymskiej podróży Suharda dowiadujemy się jeszcze innego dość pikantnego szczegółu: oto „informatorem" agenta Gestapo kryjącego się pod szyfrem AG 233 jest biskup-sufragan Paryża Beaussart. I jeszcze jedno. Jak wynika z trzeciego z zamieszczonych tu dokumentów, na konferencji biskupów paryskich w styczniu r. 1943 był obecny tenże agent AG 233. A któż — poza wysoko postawionymi osobami z hierarchii kościelnej, wzgl. sekretarzami i protokulantami, również ludźmi stanu duchownego — mógł brać udział w takiej konferencji?

Wszystko to działo się wtedy, gdy wspólnie z komunistami tysiące francuskich katolików, świeckich i duchownych, czynnie walczyły z najeźdźcą, gdy setki ginęły przed lufami hitlerowskich plutonów egzekucyjnych i płonęły w krematoriach obozów śmierci.

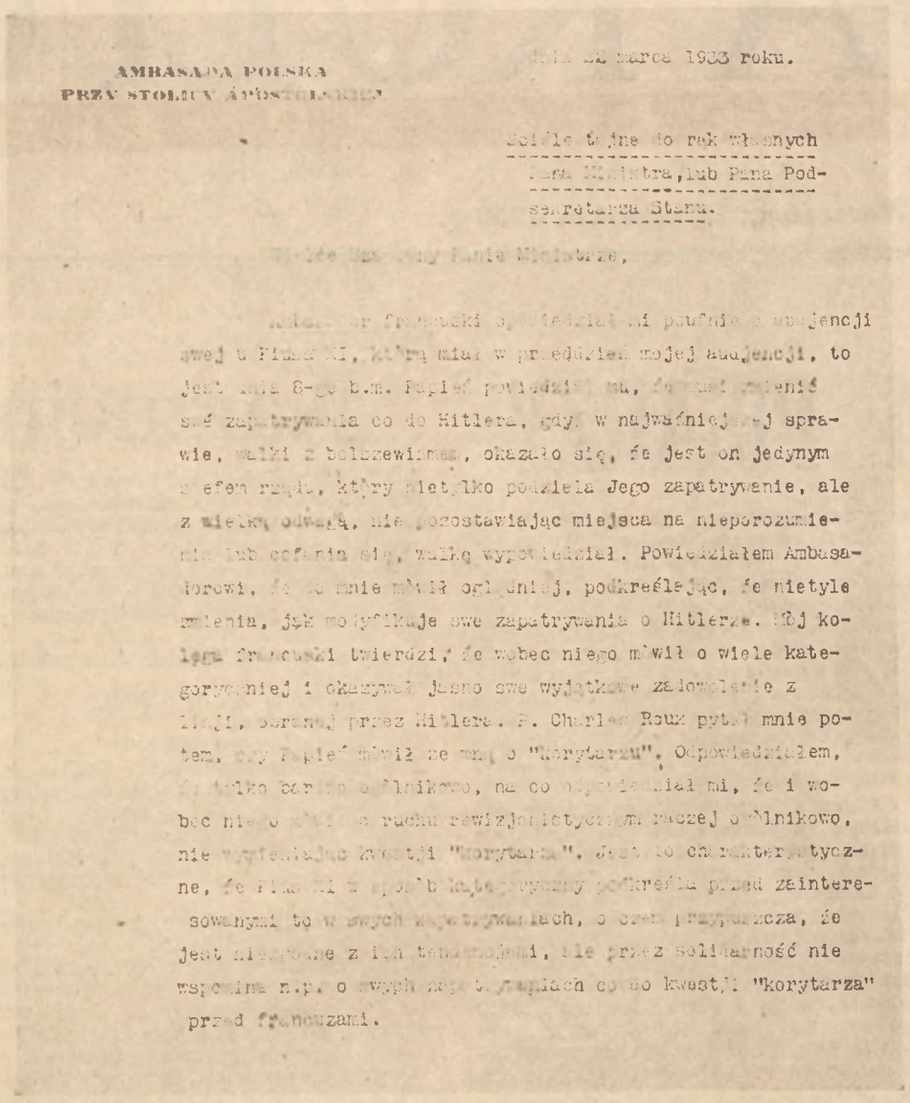

AMBASADA POLSKA
PRZY STOLICY APOSTOLSKIEJ

[illegible] dnia 22 marca 1933 roku.

Ściśle tajne do rąk własnych
Pana Ministra, lub Pana Podsekretarza Stanu.

[illegible] Panie Ministrze,

Ambasador francuski opowiedział mi poufnie o audjencji swej u Piusa XI, którą miał w przeddzień mojej audjencji, to jest dnia 8-go b.m. Papież powiedział mu, że musi zmienić swe zapatrywania co do Hitlera, gdyż w najważniejszej sprawie, walki z bolszewizmem, okazało się, że jest on jedynym szefem rządu, który nietylko podziela Jego zapatrywanie, ale z wielką odwagą nie pozostawiając miejsca na nieporozumienia lub cofania się, walkę wypowiedział. Powiedziałem Ambasadorowi, że do mnie mówił oględniej, podkreślając, że nietyle zmienia, jak modyfikuje swe zapatrywania o Hitlerze. Mój kolega francuski twierdzi, że wobec niego mówił o wiele kategoryczniej i okazywał jasno swe wyjątkowe zadowolenie z linji, obranej przez Hitlera. P. Charles Roux pytał mnie potem, czy Papież mówił ze mną o "korytarzu". Odpowiedziałem, że tylko bardzo ogólnikowo, na co odpowiedział mi, że i wobec niego mówił o ruchu rewizjonistycznym raczej ogólnikowo, nie wymieniając kwestji "korytarza". Jest to charakterystyczne, że Pius XI w sposób kategoryczny podkreśla przed zainteresowanymi to w swych zapatrywaniach, o czem przypuszcza, że jest niezgodne z ich tendencjami, ale przez solidarność nie wspomina np. o swych zapatrywaniach co do kwestji "korytarza" przed Francuzami.

PAŃSTWO WATYKAŃSKIE
AMBASADA POLSKA
PRZY STOLICY APOSTOLSKIEJ

dnia 22 marca 1933 roku.

Ściśle tajne do rąk własnych Pana Ministra, lub Pana Podsekretarza Stanu.

Wielce Szanowny Panie Ministrze.

Ambasador francuski opowiedział mi poufnie o audjencji swej u Piusa XI, którą miał w przeddzień mojej audjencji, tj. dnia 8 bm. Papież powiedział mu, że musi zmienić swe zapatrywania co do Hitlera, gdyż w najważniejszej sprawie, walki z bolszewizmem, okazało się, że jest on jedynym szefem rządu, który nie tylko podziela Jego zapatrywanie, ale z wielką odwagą nie pozostawiając miejsca na nieporozumienia lub cofania się, walkę wypowiedział. Powiedziałem Ambasadorowi, że do mnie mówił oględniej, podkreślając, że nietyle zmienia, jak modyfikuje swe zapatrywania o Hitlerze. Mój kolega francuski twierdzi, że wobec niego mówił o wiele kategoryczniej i okazywał jasno swe wyjątkowe zadowolenie z linji obranej przez Hitlera. P. Charles Roux pytał mnie potem, czy Papież mówił ze mną o „korytarzu". Odpowiedziałem, że tylko bardzo ogólnikowo, na co odpowiedział mi, że i wobec niego mówił o ruchu rewizjonistycznym raczej ogólnikowo, nie wymieniając kwestii „korytarza". Jest to charakterystyczne, że Pius XI w sposób kategoryczny podkreśla przed zainteresowanymi to w swych zapatrywaniach, o czem przypuszcza, że jest niezgodne z ich tendencjami, ale przez solidarność nie wspomina np. o swych zapatrywaniach co do kwestii „korytarza" przed Francuzami.

Rozpoczęta walka z niemoralnością, hasła, rzucone w kierunku poszanowania małżeństwa i chronienia urodzeń, powoływanie się w mowach na akcję Opatrzności, dodane do zadowolenia ze stanowiska wobec bolszewizmu, teraz wytwarzają taki nastrój w Watykanie, który robi prawdopodobnem, że Hitler także i ze względu na Watykan może nie będzie zbytnio odkładał swego przyjazdu do Rzymu.

Z wysokim szacunkiem dla Pana Ministra serdecznie ściskam

(—) WŁ. SKRZYŃSKI

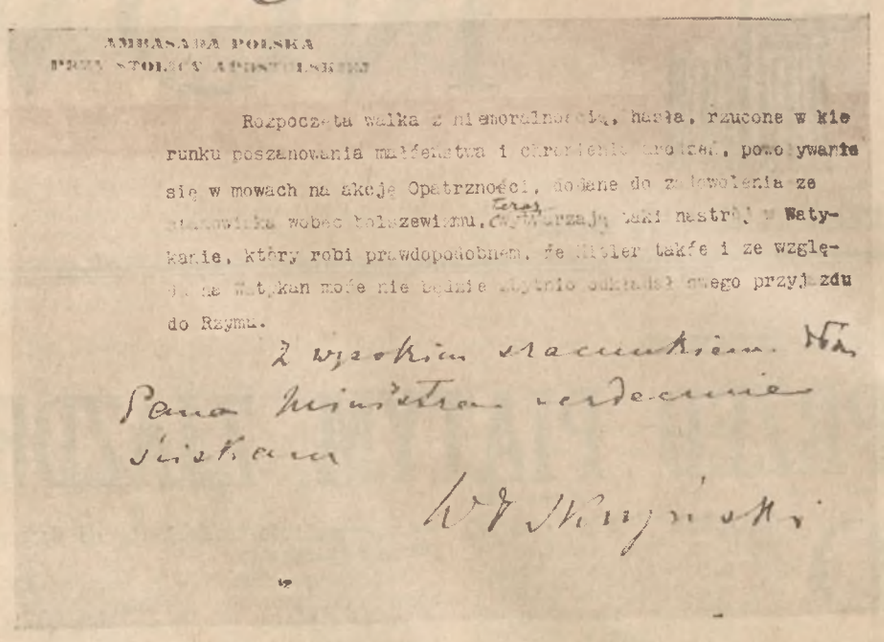

AMBASADA POLSKA
PRZY STOLICY APOSTOLSKIEJ

Rozpoczęta walka z niemoralnością, hasła, rzucone w kierunku poszanowania małżeństwa i chronienia urodzeń, powoływanie się w mowach na akcję Opatrzności, dodane do zadowolenia ze stanowiska wobec bolszewizmu, teraz wytwarzają taki nastrój w Watykanie, który robi prawdopodobnem, że Hitler także i ze względu na Watykan może nie będzie zbytnio odkładał swego przyjazdu do Rzymu.

Z wysokim szacunkiem dla Pana Ministra serdecznie ściskam

Wł. Skrzyński

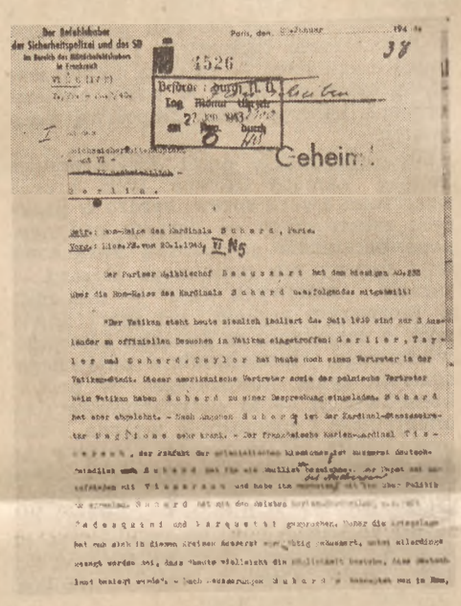

Der Reichsführer SS und der Chef der Sicherheitspolizei und des SD
im Reich des Reichsführers SS
in Frankreich

Paris, den [illegible] 194[illegible]

4526

Geheim!

Betrifft: Reise des Kardinals Suhard, Paris.

Vorg.: Bericht Nr. 1 vom 30.1.1943 – VI N 5

Der Pariser Weihbischof Beaussart hat dem Reichsführer SS über die Rom-Reise des Kardinals Suhard nachfolgenden mitgeteilt:

„Der Vatikan steht heute staatlich isoliert da. Seit 1939 sind nur 3 Ausländer zu offiziellen Besuchen im Vatikan eingetroffen: Gerlier, Taylor und Suhard. Taylor hat heute noch einen Vertreter in der Vatikanstadt. Dieser amerikanische Vertreter sowie der polnische Vertreter beim Vatikan haben Suhard zu einer Besprechung eingeladen. Suhard hat aber abgelehnt. – Nach Ansicht Suhards ist der Kardinal-Staatssekretär Maglione sehr krank. – Der französische Kardinal-Staatssekretär, der zugleich der offizielle Kirchenfürst Frankreichs ist, hat sich mit Suhard nicht gut verstanden. Suhard hat sich mit den leitenden Politikern Frankreichs, wie Laval und Darlan, nicht gut verstanden. Suhard hat sich den leitenden Kardinälen, wie Adeagnani und Marquettl gegenüber, sehr die Autorität [illegible] hat auch sich in diesen ernsten Kreisen sehr wichtig gemacht, sodaß allerdings etwas wenig [illegible] ist, dass [illegible] Suhard [illegible] Rom.

Paris, den 28. Januar 1943.

1513

Der Befehlshaber der Sicherheitspolizei und des SD im Bereich des Militärbefehlshabers in Frankreich

Tag Eingang 28. Jan. 1943

An den
Reichssicherheitshauptamt
[illegible]
Berlin.

Betrifft: Reise des Kardinals Suhard.
Vorg.: Keiner.

In der vor zwei Tagen stattgefundenen Konferenz der Bischöfe der Kirchenprovinz Paris (dazu gehören ausser den Bischöfen von Paris die Bischöfe von Blois, Chartres, Meaux, Orleans und Versailles) berichtete Kardinal Suhard über seine Rom-Reise. Hierbei erklärte Suhard nach Meldungen des AG 233 u.a., der Papst habe erklärt, dass Roosevelt alles möglichste versuche, um den Vatikan auszuhalten aus. Der Vatikan sei aber sehr vorsichtig, da er sich etwas, was Roosevelt in Falle seines Sieges ihm übelnehmen könnte. Ferner habe der Papst darauf hingewiesen, dass es deutsches Soldaten und Offizieren als Privatsoldaten gestattet sei, sich in einem bestimmten Rahmen frei in der Stadt zu bewegen. Suhard berichtete hierzu noch, dass in der Deutsche, der in dem Audienz beim Papst verlangte, sofort bekommen.

[illegible]

III. Ausfertigung VI N 5 (Fr. PA.8/40.

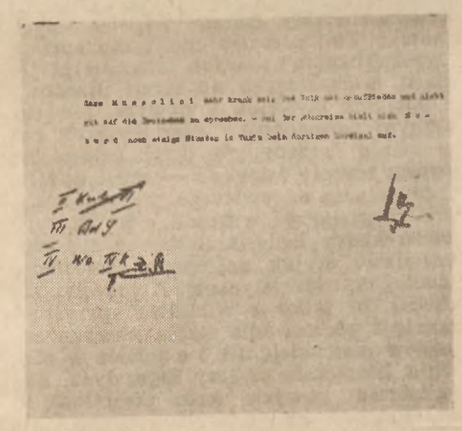

Rom Mussolini sehr krank sein soll und [illegible] auf die Besucher so deprimiert. – Auch der [illegible] Suhard noch einige Minuten in Turin beim Kardinal auf.

Paryż, 25 — 1 — 1943 r.

Głównodowodzący Policji Bezpieczeństwa i SD na terytorium kompetencji Głównodowodzącego Wojskami we Francji

VI N 5 (IV K)
T. (Fr.-PA.8) 40

TAJNE

Do
Głównego Urzędu Bezpieczeństwa
Rzeszy
Oddział VI
Oddział IV do wiadomości
w Berlinie

Dot.: Podróży do Rzymu paryskiego kard. Suhard.

Poprzednie pismo w tej sprawie FS z 20.I.43, VI N5

Biskup Sufragan paryski Beaussart udzielił naszemu AG — 233 m. inn. następujących informacji o podróży do Rzymu kardynała Suharda:

„Watykan jest obecnie dość izolowany. Od 1939 r. przybyli do Watykanu celem złożenia oficjalnych wizyt jedynie 3 cudzoziemcy: Gerlier, Taylor i Suhard. Taylor ma jeszcze po dziś dzień swego przedstawiciela w Watykanie. Ten amerykański przedstawiciel jak również przedstawiciel polski przy Watykanie zaprosili Suharda na konferencję. Odmówił jednak. — Jak wynika z informacji otrzymanych od Suharda— kard. Maglione, Sekretarz Stanu, jest ciężko chory. — Francuski kard. kurii Tisserant, prefekt Misji Wschodnich, jest nader antyniemiecko nastawiony. Suhard określił go jako gaullistę. Papież pono jest niezadowolony z Tisserant-ta i zabronił mu w czasie audjencji rozmawiać z sobą o polityce. Suhard rozmawiał z większością kardynałów kurii, m. inn. z Tedesquinim i Marquettim. Na temat sytuacji wojennej wyrażają się w tych kołach nadzwyczaj ostrożnie, były jednak głosy, że „w chwili obecnej istnieje prawdopodobieństwo, że Niemcy zostaną zwyciężone". — Wg. wynurzeń Suharda, twierdzi się w Rzymie, że Mussolini jest ciężko chory. Lud jest podobno niezadowolony i niepochlebnie wyraża się o Niemcach. W drodze powrotnej Suhard zatrzymał się na kilka godzin w Turynie u tamtejszego kardynała."

(podpis nieczytelny)

VI N5.T (Fr.
PA.8) 40

Paryż, 28.I.43 r.

I. D a l e k o p i s

Do
Głównego Urzędu Bezpieczeństwa
Rzeszy
Oddział VI
do rąk Standartenführera SS Schellenberga
w B e r l i n i e

Dot.: Podróży do Rzymu kard. Suharda.

Poprzednie: bieżące.

Na odbytej przed dwoma dniami konferencji biskupów paryskich prowincji kościelnej (do której należą oprócz biskupów Paryża również biskupi Blois, Chartres, Meaux, Orleanu i Wersalu) kard. Suhard zdał sprawę ze swej podróży do Rzymu. W związku z tym — jak melduje AG.233 — Suhard wspomniał, że papież jakoby oświadczył, że Roosevelt dokłada wszelkich starań, aby przypodobać się Watykanowi. Watykan jest jednak ostrożny, gdyż nie wie, co pocznie Roosevelt, wtedy, gdy zwycięży. Następnie papież miał zwrócić uwagę na fakt, że udziela często audjencji prywatnych niemieckim żołnierzom i oficerom, spędzając z nimi czasami po wiele godzin dziennie.

Suhard dodał jeszcze, że każdy Niemiec proszący o audjencję u papieża natychmiast ją otrzymuje.

(podpis nieczytelny)
Sturmbannführer SS

Spod znaku Zachodu

W królestwie Mac Arthura i gdzie indziej

Robert P. Martin należy do niewielu uczciwych amerykańskich dziennikarzy. Może sobie pozwolić na luksus uczciwości, gdyż nie jest współpracownikiem żadnej wielkiej agencji prasowej ani żadnego wielkiego dziennika. Pisuje korespondencje z Dalekiego Wschodu do kilku niedobitków prasy postępowej w USA. Martin spędził ostatnie dziesięć lat po obu stronach Morza Chińskiego. W czasach kuomintangowskich objechał całe Chiny, obecnie kwateruje w Tokio w dobroczynnym świetle dwuch cesarzy Japonii: przestępcy wojennego Hirohito i jego zwierzchnika, generała Mac Arthura. Ostatnio w dwuch krótkich artykułach z Tokio Martin opisał lakonicznie sytuację po obu stronach Morza Chińskiego anno 1950. Oto fragment pierwszego dotyczący działalności gospodarczej rządu Chin Ludowych:

„Komuniści naszkicowali, przedyskutowali i opracowali w szczegółach olbrzymi program uprzemysłowienia kraju. Plan podstawowy przewiduje rozbudowę kolejnictwa, górnictwa, sieci elektrycznej, telegrafu i telefonu oraz stworzenie produkcji bawełny na wielką skalę. Mają to być wstępne kroki do przyszłej industrializacji Chin. Blokada morsko-lotnicza resztek kuomintangowców i brak obcych walut utrudnia realizację tego gregramu, ale poczyniono już znaczne postępy.

Tajny raport opracowany przez japońskich specjalistów, którzy spędzili lata całe w Chinach, ujawnia, że w Chinach Ludowych uruchomiono z powrotem 12.500 mil linii kolejowych. Kiedy komuniści wyzwolili Mandżurię, zaledwie 2.500 mil kolei nadawało się do eksploatacji. Obecnie, po półtora roku, czynnych jest tam [illegible].000 mil, t. zn. zaledwie o 1.250 mil mniej niż za okupacji japońskiej. Zorganizowano bezpośrednią komunikację między Mukdenem w Mandżurii a Hong-Kongiem na południu Chin. Raport japoński wskazuje, że w wyniku działań wojennych w Mandżurii i wojny domowej po klęsce Japonii 80 proc. lokomotyw uległo zniszczeniu. W roku 1946 tylko 100 lokomotyw nadawało się do użytku. Od tego czasu naprawiono ponad 800. Mukdeńskie warsztaty kolejowe, które zatrudniały przedtem 230 robotników, liczą obecnie dwa tysiące.

Raporty japońskie przewidują, że produkcja węgla w Chinach wyniesie w tym roku 36 mil. ton, tj. o 6 mil. ton więcej niż produkowano w czasie wojny w Mandżurii. Ponieważ węgiel jest podstawą industrializacji, komuniści planują uruchomienie w Mandżurii 29 starych kopalń i otwarcie 19 nowych dla uczynienia tej części kraju samowystarczalną w węgiel w ciągu dwuch lat. Ma się równocześnie uruchomić 7 nowych kopalń w płn. Chinach. Znajdą w nich zatrudnienie wychowankowie nowych szkół technicznych i górniczych, organizowanych przez rząd ludowy.

Komuniści postanowili wydobyć 5 mil. ton rudy żelaznej w tym roku, t. j. połowę produkcji 1942 roku. Produkcja w zeszłym roku wyniosła 2 mil. ton, ale rząd ludowy przekonany jest, że wyzwolenie wyspy Hainan, bogatej w złoża rudy, umożliwi wykonanie tegorocznego, ambitnego planu. Rząd pekiński opracował dokładne plany zwiększenia produkcji bawełny w celu uniezależnienia 4 i pół milionów wrzecion chińskich od bawełny amerykańskiej. Grupy ekspertów rolniczych podróżują po wsiach prowincji Honan, Hupeh, Kiangsi i Hunan, ucząc chłopów nowych metod uprawy roli, użytkowania nawozów sztucznych i walki z chorobami bydła. Rząd rozprowadza nasiona i podnosi ceny bawełny, aby zachęcić chłopów do jej uprawy w miejsce ryżu. 70 proc. funduszów państwowych, przeznaczonych na inwestycje, skierowano w tym roku do Mandżurii. Większość pójdzie na odbudowę kopalń węgla i przemysłu ciężkiego, zbudowanego przez Japończyków i zniszczonego w czasie działań wojennych. Rząd centralny w Pekinie obwieścił niedawno, że zainwestuje w Mandżurii w roku 1950 równowartość 300 mil. dolarów".

Tymczasem na drugim brzegu Morza Chińskiego, pod miłościwym panowaniem Hirohito i Mac Arthura, w kapitalistycznej Japonii, życie dnia codziennego wygląda nieco inaczej. Oto fragment drugiego artykułu Roberta P. Martina:

„W sprawach nagłej i gwałtownej śmierci dzisiejsza Japonia nie odeszła daleko od czasu jaskiń na wyspach Pacyfiku, w których żołnierze japońscy masowo popełniali samobójstwa, woląc śmierć od poddania się. Dziś jak wówczas strach, rozpacz i brak równowagi emocjonalnej dają w wyniku falę samobójstw. Kwatera główna policji w Tokio ocenia ilość samobójstw na dwadzieścia dziennie. Innne urzędy japońskie odnoszą się do tych danych ze sceptycyzmem, gdyż w wypadku wielu samobójstw krewni zmarłego otrzymują certyfikaty normalnego zgonu i cicho grzebią ofiarę. Chroniczne bezrobocie, liczebność rodzin i brak środków na wyżywienie i odzianie dzieci — oto przyczyny większości samobójstw. Shinju czyli podwójne samobójstwa pary kochanków, których nie stać na związek małżeński, zdarzają się dwa razy dziennie. Jeden z raportów wykazał, że siedmiu Japończyków popełniło samobójstwo z powodu przegrania zakładów na wyścigach cyklistów.

Pewien robotnik, który nie zdołał znaleźć pracy od ubiegłej jesieni, utopił żonę, troje dzieci i siebie w kanale irygacyjnym. Czternastoletni syn, którego odratowano, oświadczył, że rodzina nie jadła nic przez parę dni. Inny ojciec podał żonie i ośmiorgu dzieciom, od roku do dwunastu lat życia, zatrutą zupę grochową. Uratowano tylko dwoje dzieci. Pewna kobieta utopiła swą rodzinę i siebie w zbiorniku z wodą, posadziwszy sobie uprzednio trzyletnie dziecko na plecy i trzymając kurczowo za rękę najstarszego syna.

Urzędowe statystyki, oceniające ilość bezrobotnych w Japonii na pół miliona, wprowadzają w błąd. Kilka milionów robotników rolnych potrzebuje dodatkowego zajęcia dla utrzymania swych rodzin przy życiu. Amerykańscy urzędnicy okupacyjni, skłonni do malowania różowego obrazu sytuacji ekonomicznej Japonii, twierdzą, że liczba osób pobierających zasiłki dla bezrobotnych maleje. Nie mówi się jednak o tym, że 64 proc. otrzymujących zasiłki traci je po pół roku, pozostając nadal bez pracy. Znacznie lepsze światło na sytuację japońskich bezrobotnych rzucają masowe demonstracje pod rządowymi biurami pracy. Oskarża się o organizowanie tych demonstracji komunistów, zapominając, że ich uczestnikami są bezrobotni, którzy poprostu chcą utrzymać się przy życiu. W ciągu ostatniego półrocza liczba robotników rolnych na skutek repatriacji jeńców wojennych ze Związku Radzieckiego wzrosła o pół miliona. Ponieważ na wsi nie ma dla nich miejsca, wędrują w poszukiwaniu pracy — bez powodzenia — do miast. Pod bezlitosną presją konieczności wyżywienia wielkich liczebnie rodzin i braku pracy — chłopi japońscy powracają do odwiecznego zwyczaju sprzedawania starszych córek do służby albo do domów publicznych. Ulice wielkich miast w Japonii zatłoczone są w nocy przez młode prostytutki. Wiele z nich to dziewczęta ze wsi, które nie potrafią znaleźć innego zajęcia..."

Dla uniknięcia nieporozumień, stwierdzić należy, że Robert P. Martin nie był i nie jest ani entuzjastą Chin Ludowych ani wrogiem generała Mac Arthura. Po prostu opisał to co widział.

P. S. Przeprasza się czytelników za to, że tylko 50 proc. felietonu pochodzi „spod znaku Zachodu". Stało się tak tylko dlatego, że Chińczycy zdecydowali, iż mają tego znaku dosyć.

EGO.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Droga tragicznie przerwana

Ksawery Pruszyński nie żyje. Bolesna, najbardziej nieoczekiwana wiadomość o tragicznej śmierci świetnego pisarza, ginącego w sile wieku i w pełni sił twórczych, o śmierci człowieka, który stał się nieomal że symbolem pięknej, głębokiej i uczciwej drogi polskiego inteligenta ku Polsce Ludowej, nie może nie wstrząsnąć najgłębiej każdym, komu bliska jest sprawa naszej literatury, co więcej: każdym, komu bliska jest wielka, wyrastająca ponad warsztatowe problemy pisarstwa, sprawa walki o treść naszego życia i naszej kultury w przeżywanej przez nas epoce.

Ksawery Pruszyński oddał swoje świetne pióro tej walce. Oddał swoje pióro i swoje siły Polsce Ludowej, stając w szeregach tych, którzy ją tworzyli, przychodząc ku tym szeregom z daleka, przebywając drogę, na przebycie której nie każdemu ze znajdujących się na jego miejscu starczyło uczciwości, mądrości, odwagi.

Pamiętamy tę drogę.

Pamiętamy przed kilkunastu laty budzące uwagę artykuły niezwykle ciekawie zapowiadającego się adepta naszej publicystyki z grupy młodych „konserwatystów", na łamach „mocarstwowego" „Buntu Młodych" i „Polityki", pod opiekuńczymi skrzydłami zaciekłego reakcjonisty Cata-Mackiewicza. Pamiętamy później niezwykłą niespodziankę, pierwszą oznakę wielkiego przełomu, jaki Pruszyński przeszedł — zbiór jego kapitalnych reportaży z czerwonej Hiszpanii. Pamiętamy namiętną, przekorną, nie zawsze ze słusznych wychodzącą pozycji, ale zawsze śmiałą i oryginalną krytykę przedwrześniowej polskiej rzeczywistości w ostatnim, przedwojennym cyklu reportaży Pruszyńskiego — „Podróż po Polsce".

Długą i trudną ewolucję, połączoną z koniecznością pokonania wielu wewnętrznych sprzeczności własnego światopoglądu musiał przebyć Ksawery Pruszyński jako człowiek i jako pisarz wychodzący z środowiska, od którego proste drogi wiodły do rodzimego faszyzmu, a o wiele węższe i krętsze ścieżki do demokracji i prawie żadne do socjalizmu. Ksawery Pruszyński poszedł śmiało tymi wąskimi ścieżkami. Ścieżkami uczciwej, krytycznej oceny polskiej rzeczywistości lat przedwojennych, i potem — lat wojny, ścieżkami czujnego obywatelskiego i pisarskiego sumienia, głębokiej, patriotycznej troski, szczerego umiłowania wolności i sprawiedliwości. Drogą wiodącą od odważnego i uczciwego stanowiska w sprawie wojny domowej w Hiszpanii oraz wobec problemu narastających przed drugą wojną światową postępów faszyzacji własnego kraju, poprzez wszystkie kolejne etapy zawiłych losów i trudnych decyzji w latach emigracji. Decyzji pójścia jako jeden z pierwszych w szeregi walczącego na emigracji wojska polskiego. Rezygnacji z wygodnych i frapujących propozycji pracy politycznej w sztabie przy Sikorskim lub w wojskowych formacjach oświatowych i decyzji pójścia jako zwykły plutonowy podchorąży na front pod Narwikiem. Drogą odważnej krytyki emigracyjnych stosunków wojskowych po odbytej kampanii. Wreszcie — po roku spędzonym w roli attaché prasowego polskiego rządu emigracyjnego w Związku Radzieckim — drogą najodważniejszej, osobistym doświadczeniem zdobytej decyzji: pełnego opowiedzenia się po stronie jedynie słusznej, jedynie demokratycznej polityki przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.. Decyzji zerwania z awanturniczą kliką polityków emigracyjnych. Decyzji narażania się na bezprzytomny, wściekły, koncentryczny atak całej zjednoczonej zgrai londyńskich bankrutów politycznych.

Sam pisze o sobie, że „dość późno, jak na to co było potrzebne, a stosunkowo dość wcześnie, jak na resztę naszej, zwłaszcza emigracyjnej opinii publicznej, doszedł do wniosku, że losy tej wojny, a z nimi i losy Polski rozstrzygną się właśnie gdzieś w brzozowych lasach Karelii, na pylnych drogach wokół Smoleńska, Orszy, Możajska."

Już w początkach roku 1943 ogłasza swój głośny artykuł o konieczności rzeczywistego, definitywnego ułożenia pokojowych stosunków między Związkiem Radzieckim a Polską, cytowany przez moskiewską rozgłośnię „Kościuszko".

Jakie motywy skierowały go na tę drogę? Czy tylko — jak to próbowali zasugerować niektórzy komentatorzy twórczości Pruszyńskiego — inteligencka pasja tzw. „niezależnego myślenia", indywidualistyczna przekora, poszlachecki duch buntu i prawa do „krytyki od wewnątrz", kołaczący się w Pruszyńskim najszlachetniejszymi z ech żeromszczyzny, mało gdzie równie silnymi jak w jego pisarstwie? Myślę, że nie tylko.

Myślę, że do tych niewątpliwych, pierwszych impulsów ideowego przełomu, jakiego świadectwem jest życie i twórczość autora „Czerwonej Hiszpanii", doszła niewątpliwie głęboka, choć nie zawsze może dostatecznie ujawniona pisarsko, świadomość ścisłej łączności z tymi, do których należy przyszłość dziejów narodu, świadomość głębokiej i koniecznej łączności wszystkiego, co w Polsce twórcze i nowe, z przodującą klasą historii, klasa robotniczą.

Ksawery Pruszyński nie był pisarzem marksistowskim. W sprzecznościach, które widział w życiu polskim, w ustroju społeczeństwa, które malował, nie umiał czy też nie chciał podkreślać cech ściśle klasowych, nie umiał względnie nie chciał sprowadzić ich do wspólnego mianownika wielkich przeciwieństw ustrojowych, nadających bieg dziejom współczesnego świata.

Surową, bezkompromisową krytykę niektórych objawów naszej współczesności i naszej narodowej przeszłości łączył z wielkim, nie zawsze sprawiedliwym w ocenie ale zawsze głębokim i pełnym pasji, przeszłości tej umiłowaniem. Niektórych cech, niektórych zjawisk współczesnych i minionych jak gdyby nie zauważał. Imperializm, wielka burżuazja, kosmopolityzm ginącego, kapitalistycznego świata — niekiedy zdawały się dla niego nie istnieć. Było to niewątpliwym ograniczeniem jego spojrzenia na współczesny świat, ale jednocześnie chroniło go od klęsk, jakie były udziałem pisarzy zaplątanych w labirynt bezwyjściowej rozterki artysty epoki schyłku burżuazji.

W twórczości Pruszyńskiego nie występuje głupio, dekandencko rozbabrany problem „izolacji inteligenta". Zdrowy, czysty nurt umiłowania narodowej tradycji, mimo iż nie zawsze najwłaściwiej ocenionej, nie chroni go wprawdzie przed błędami w ocenach historycznych, ale strzeże go skutecznie od wynaturzeń literatury burżuazyjnej — psychologizmu, estetyzmu, naturalizmu. Pruszyński jest spadkobiercą w prostej linii tego nurtu naszej literatury, który funkcję pisarza pojmował jako służbę społeczną, jako zadanie ukazania społecznej rzeczywistości.

Myślę, że niewątpliwie jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest fakt, że Pruszyński wszedł do literatury od strony publicystyki, wielkiego reportażu, od strony żywego kontaktu z otaczającą go rzeczywistością. Choć z drugiej strony może właśnie dlatego urzekł go ów gatunek pisarstwa najbezpośredniej atakujący rzeczywistość, że jako autor należał Pruszyński do rzędu tych twórców, którzy prace swego pióra traktowali nie jako podporządkowaną celom estetycznym wartość samą w sobie, ale jako celne i skuteczne narzędzie kształtowania rzeczywistości.

Może właśnie dlatego umiał on, mimo braku ściśle klasowego spojrzenia na tę rzeczywistość, dostrzec i zrozumieć konieczność pójścia razem z klasą robotniczą, budowania wespół z nią Polski nowej, socjalistycznej. I dlatego nie sądzę, aby można było lekceważyć znaczenie, jakie w przełomie, który przeszedł Pruszyński, odegrało właśnie zetknięcie się jego z walką tej klasy: po raz pierwszy — przed rokiem 1939 — w Hiszpanii, po raz drugi — podczas wojny — w Związku Radzieckim, po raz trzeci — już po wojnie — w Polsce Ludowej.

Choć dorobek pisarski Pruszyńskiego jest na tyle pokaźny, że zapewni mu w literaturze naszej trwałe miejsce, to jednak myśl o nim nasuwa dziś, wobec przedwczesnego zgonu pisarza, dotkliwe uczucie niepełności, urwania się czegoś, czemu towarzyszyć mógł jeszcze dalszy rozwój, pełen nieoczekiwanych, być może, niespodzianek.

Jedną z takich niespodzianek było przecież przejście Pruszyńskiego po wojnie od reportażu do typu beletryzowanej opowieści i beletryzowanej monografii historycznej. „Trzynaście opowieści" i „Karabela z Meschedu" mówią o tym, jak wiele miał do powiedzenia jako autor pierwszego z tych dwu gatunków literackich; niedokończona opowieść radiowa o Mickiewiczu świadczy, że z drugim z nich wiązał również swe pisarskie plany i nadzieje. Można przy tym przyjąć, że miał po temu podstawy, choć bowiem wydana zaraz po wojnie monografia jego o Wielopolskim oparta była na niewątpliwie błędnych założeniach politycznych, to jednak polityczne warunki, w jakich była pisana na emigracji, błędy te w dużym stopniu tłumaczą, a zawarta w niej, nie odstępująca Pruszyńskiego, pasja pisarska świadczy i tu o jego dużych, artystycznych możliwościach.

Stwierdzić trzeba, że niezależnie od niepowszednich zalet, jakie cechują powojenne, ściśle „literackie" utwory Pruszyńskiego, jego nie mniej trwałą pozycją pisarską pozostaną przedwojenne reportaże — zwłaszcza książka o Hiszpanii. Należałoby, sądzę, jak najrychlej rozpatrzyć możliwość jej wznowienia, skoro wydaje się ostatnio przekłady dzieł obcych na temat wojny hiszpańskiej.

W osobie Ksawerego Pruszyńskiego współczesna literatura polska traci jednego ze swych najbardziej utalentowanych przedstawicieli, niegdyś najwybitniejszego reportażystę, po wojnie autora, który umiał w „Trzynastu opowieściach" i w „Karabeli z Meschedu" stworzyć swój własny, oryginalny styl, własny, oryginalny gatunek pisarski, czerpiąc w twórczy sposób z różnorodnych źródeł narodowej tradycji literackiej, opierając się na najlepszych wzorach literackiej polszczyzny i dając sam jej nie rzadko znakomite próby.

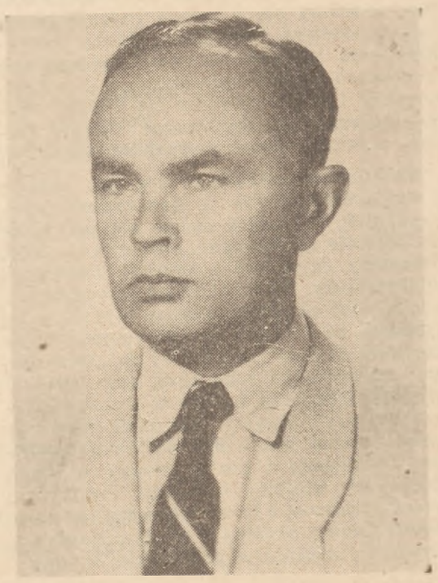

Ksawery Pruszyński

Polska Ludowa traci w Ksawerym Pruszyńskim nie tylko świetnego pisarza. Traci w nim także jednego z tych najwierniej oddanych bojowników swej sprawy, którzy drogę ku niej przez wszystkie podeszwą żołnierza polskiego deptane szlaki odnaleźć umieli na najdalszych nawet krańcach swej tułaczej wędrówki.

Ryszard Matuszewski

TADEUSZ DREWNOWSKI

NIEDALEKO ŚLĄSKA

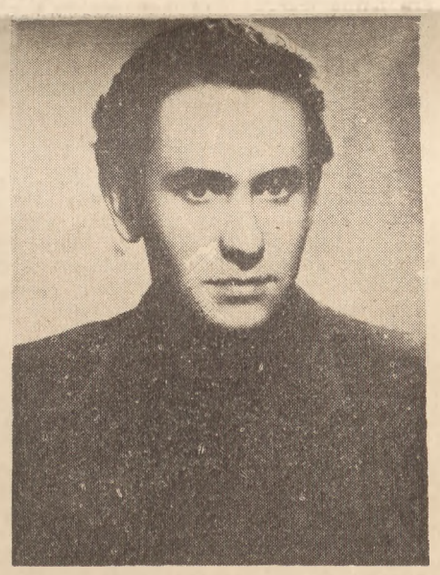

Tadeusz Konwicki

Chociaż Tadeusza Konwickiego znamy od dość dawna jako autora kilku publikowanych fragmentów prozy, niedawno wydane obszerne opowiadanie „Przy budowie" jest jego debiutem książkowym *). W latach przełomu literackiego szczególnie jasno i wyraziście widzimy, o ile nowe utwory przyczyniają się do postępu literatury, lub powstrzymują jej rozwój. Jakie jest miejsce opowiadania Konwickiego w naszej powojennej prozie?

Sytuacja porewolucyjna w polskiej literaturze od razu na początku była dużo bardziej przejrzysta, niż w literaturze rosyjskiej bezpośrednio po Rewolucji Październikowej. Wprawdzie u nas nie było polskiego Gorkiego, a prekursorska literatura wyrażająca dążenia mas ludowych nie wydała w okresie międzywojennym wielkich dzieł realizmu socjalistycznego, ale za to dysponowaliśmy — po pierwsze — długoletnimi doświadczeniami rozwoju radzieckiej literatury i widzieliśmy wielkie przykłady dzieł Gorkiego, Szołochowa, Majakowskiego..., a po drugie — przez dalszych dwadzieścia lat pogłębiających się przeciwieństw imperializmu literatura mieszczańska w skali światowej skompromitowała się do reszty. Stała się ona albo jawnie faszystowską literaturą albo literaturą ucieczki i kapitulacji.

Ale nawet w tej dogodniejszej sytuacji nowa literatura powstaje u nas powoli, rodzi się w ciężkich walkach ideowych. Pewni sceptycy przymykając oczy na fakty, twierdzą, że „przestawianie się" naszej literatury polega na tym jakoby pisarze przestawali tworzyć. To nie prawda. Takie stanowisko sugeruje z gruntu fałszywą, akurat przeciwną faktom, zasadę, że na określonym etapie rewolucji „czasowi literaccy sprzymierzeńcy" proletariatu odstępują od niego i przechodzą na wrogie pozycje. Niejednokrotnie ci nawet, którzy z dużą bystrością widzą dynamikę przełomów literackich w przeszłości historycznej, nie umieją jej dostrzec w bieżącym życiu. A przecież sprawa walki o literaturę proletariacką jest tak ważna i doniosła, że trzeba wszystkimi siłami posuwać ją naprzód przy pomocy szerokiej, otwartej, twórczej pracy i walki.

Narodziny nowej literatury nie odbywają się już, jak było do niedawna, żywiołowo, samorodnie, ani pokątnie, ale są organizowane przez rozumne oddziaływanie partii i państwa, co zapewni w skali narodowej prawdziwy przełom w dziedzinie twórczości literackiej. Już przynosi pierwsze wyniki pomoc udzielana pisarzom przez umożliwianie im jak najpełniejszego rozwoju, wzbogacanie ich doświadczeń społecznych, ściślejsze zaangażowanie w budownictwie socjalistycznym (wyjazdy w teren, kontakty z czytelnikami, zjazdy...). W głównym nurcie naszego życia literackiego obserwujemy dwa procesy. Zbliżanie się ku nowoczesnej marksistowskiej wiedzy o świecie, przekształcanie ideowe najbardziej postępowych i twórczych pisarzy z przedwojennych inteligenckich środowisk — to jeden nurt. Drogi mieszczańskiej twórczości w kierunku realizmu nowej epoki są różne: prowadzą albo przez czyściec integralnej moralności (Jerzy Andrzejewski), albo przez manowce fatalistycznego tragizmu dziejów (Adolf Rudnicki), albo przez mielizny schematyzmu socjologicznego (Kazimierz Brandys).

Zasadniczy drugi nurt literacki — konsekwentne rozwinięcie doświadczeń walk rewolucyjnych z uciskiem kapitalistycznym — wyraża się jak dotychczas dwojako: w literaturze wielkich pamiętników, w których losy jednostki są typowym odbiciem dziejów klasy robotniczej (klasycznym przykładem — „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego, choć są i inne — jak „Dziecko Ulicy" Koszykowskiego) oraz w literaturze budownictwa socjalistycznego. Wybór tematyki powojennej nie jest jeszcze wcale jednoznaczny z wyborem konfliktów współczesnych. Przekonaliśmy się o tym choćby na przykładzie „Popiołu i diamentu", którego schematy i konflikty powieściowe ujawniają starcie nowej tematyki ze starymi tendencjami ideowo-artystycznymi.

Najbardziej znamienne dla tych kilku książek, które są zaczątkami literatury budownictwa socjalistycznego, jest prawdziwe, optymistyczne ukazywanie olbrzymich przemian naszego kraju, bez rozbieżności między tendencją ideową a wizją artystyczną, tematyką a konfliktami. Obok powieści o produkcji Wilczka, opowiadań o spółdzielczości Zalewskiego, do tej nowej literatury należy „Przy budowie" Konwickiego.

Sama pozycja debiutu Konwickiego świadczy o jego odważnym nowatorstwie artystycznym. Tematem opowiadania Konwickiego jest powstanie kolektywu przy budowie transzei kolejowej, walka z biurokratyzmem, rutyniarstwem, o najcelowszą organizację budowy, o socjalistyczny stosunek do pracy. Bezczynne koło partyjne, rada zakładowa, zajmująca się sprzedażą kiełbasy, wydział socjalny prowadzący bezduszne, formalistyczne współzawodnictwo, są początkowo na budowie obumierającymi instytucjami. Kiedy partia rozpoczyna szeroką akcję uświadamiającą, ożywają one, wypełniają swe istotne polityczno-wychowawcze funkcje, zmieniają ludzi. „Grunt to wyszkolenie polityczne" — mówi na ucho Pawłowi sekretarz organizacji partyjnej, Nosal, podczas pierwszej udanej narady wytwórczej na budowie. Robota uświadamiająca kształtuje dyscyplinę pracy, rozbudza pomysłowość, inicjatywę i odpowiedzialność robotników, wywołuje w zespole budowy pierwsze przebłyski ludowego patriotyzmu.

Autor wspaniale przedstawia w rozwoju dodatnie i ujemne typy robotników: Zająca, którego charakterystyka jest przeprowadzona niesłychanie konsekwentnie aż do wykrycia jego złodziejstwa; dziadka Łaptacia — pośmiewiska obozowego, a później pierwszego przodownika budowy; Leona — „racjonalizatora całą gębą", czy Pawła, działacza partyjnego, który tak nieudolnie łączy realizację zadań planu sześcioletniego ze szczęściem osobistym. Konwicki umiejętnie pokazuje różnice klasowe w gromadzie chłopów — robotników najemnych, ich powiązanie ze wsią. Te nowe w literaturze i trudne typy nie są u Konwickiego folklorem.

Roboty ziemne przy kolei trwają podczas mrozów. Państwo ludowe zrywa ze zwyczajem robót sezonowych. Konwicki wydobywa to zagadnienie i jako problem budownictwa i jako problem życiowy robotników sezonowych, a również wyciąga stąd wszystkie artystyczne wnioski. Trudy pracy zimowej, kombinezony robotników, pejzaż zimowy stwarzają specjalny charakter budowy, wydobyty trafnie przez autora. Z dużą artystyczną konkretnością pokazuje się zdarzenia na budowie: woda przerywa wały ziemne, agitacja trafia do ludzi i bierze ich, ORMO śledzi złodziei. Wszystkie te sceny z budowy przedstawione są przede wszystkim pod kątem wychowawczego znaczenia dla załogi. Szkic literacki nie przedstawia od początku do końca roboty na całej trasie linii kolejowej, a zakreśla tylko etapy wychowania kolektywu budowlanego. Zbieranina przygodnych robotników przekształca się w zorganizowany, zwarty kolektyw.

Czy zarys tego „poematu" wychowawczego wypadł przekonywująco?

Aby się o tym przekonać, zestawmy opowiadanie Konwickiego z powieścią Ażajewa „Daleko od Moskwy", chociaż zdajemy sobie przecież sprawę z dystansu, jaki dzieli te książki. Tam — wielka wojna w obronie ojczyzny, tu — pokojowa praca; tam — społeczeństwo bezklasowe, tu — w samej liczbie najemnych robotników zróżnicowanie klasowe; tam — daleko od Moskwy, tu — niedaleko Śląska; tam — wielka powieść, tu — szkic literacki. Ale mimo to porównanie opowiadania Konwickiego z książką Ażajewa jest pouczające. Przecież i tutaj i tam są do wykonania ogromne zadania, którym może podołać tylko kolektyw. Jak się tworzy kolektyw? Jak przeprowadza się robotę uświadamiającą na jednej i drugiej budowie? U Ażajewa przy budowie wielkiego, dalekowschodniego naftociągu cała agitacja jest nastawiona na pomoc frontowi. Kiedy ludzie są bliscy rezygnacji, kiedy wyrywają się na front, myśl o pilnej potrzebie przeprowadzenia naftociągu, o koniecznej pomocy frontowi, na którym Czerwona Armia walczy z faszyzmem, mobilizuje załogę. Kiedy wydaje się ludziom, że ich miejsce w czasie najkrwawszych zmagań wielkiej wojny powinno być na froncie, uświadamia się im, że patriotyzmem i bohaterstwem można się wykazać również na zapleczu przy budowie naftociągu, który będzie doprowadzał paliwo dla armii.

Ażajew w swej obszernej powieści pokazuje kraj przez który przeprowadza się rurociąg. Strategia rewolucyjna, wzorowana na wyprawie Stalina przeciwko Denikinowi w latach interwencji zbrojnej, każe przerzucić rurociąg na drugi brzeg rzeki, gdzie przy budowie pomoże cała ludność okolic Adunu.

W tych uwagach kryje się polemika z Konwickim. W jego opowiadaniu pośpiesznie budowana linia kolejowa prowadzi do „dymiących w dali kominów fabrycznych i zasnutego mgłą miasta". Realistyczna twórczość nie jest kopią pewnych fragmentów rzeczywistości, lecz ich zsumowaniem i kumulacją.

Odrealnienie kontekstu przyczyniło się do tego, że zblakł obraz samej budowy. Realia były tu nieodzowne. Dowód stanowi powieść Ażajewa.

Konwicki urywa opowiadanie przy drugiej naradzie wytwórczej, która jest oznaką, że przy budowie uformował się kolektyw. Ale kolektyw nie przeszedł jeszcze próby życia. Nie wiemy, czy zdoła na czas ułożyć tory nowej linii. Zbytnia fragmentaryczność tematyki mści się na dynamice literackiej szkicu. Oczywiście, nie trzeba było z dopisaniem zakończenia czekać na uruchomienie kolei. Czytelnikowi nie tyle chodzi o pompę z orkiestrą strażacką przy otwarciu nowej linii kolejowej, nawet nie o pierwszy transport, ale o to, żeby kolektyw zobaczyć przy pracy, która postępuje pełną parą naprzód.

Literatura współtworząca rzeczywistość musi nie tylko za nią nadążać, ale powinna iść o krok prezd nią, chociaż z tej rzeczywistości w pełni czerpie i z niej całkowicie wyrasta. Powinna łączyć opis rzeczywistości, jaka ona jest, z dalszą jego konsekwencją, wyprowadzaną na zasadzie doświadczeń i nauki o rozwoju społeczeństwa — jaka ona być powinna, jaka będzie. Wydaje się, że zacieśnienie tematyki szkicu Konwickiego wynika z obawy przed uprzedzaniem rzeczywistości.

Nowatorstwo prozy Konwickiego polega według mnie na tym, że swoiste konflikty naszego etapu rozwoju potrafił on przedstawić w sposób trafny politycznie i artystycznie. Niedowład i pewna statyka jego opowiadania wynika z niedostatecznie realistycznego powiązania budowy z życiem kraju, oraz zbytniego ograniczenia tematycznego, hamującego dynamikę ideową i literacką szkicu.

„Przy budowie" ukazało się jako pierwsza pozycja czytelnikowskiej serii „W kuźni planu sześcioletniego". W końcu książki inżynier Czapor podczas narady wytwórczej pięknie mówi: „Plan sześcioletni, jak wielka powódź, będzie ogarniał coraz większe tereny, całą Polskę, zewsząd wyciągnie każdego obywatela i uniesie go ze sobą. Z tych sześciu lat wyjdzie nowy, piękny człowiek".

Pierwsza książka Konwickiego służy tym wielkim zadaniom planu sześcioletniego w dziedzinie wychowania nowego, pięknego człowieka. Jest próbą i zapowiedzią takiej literatury, jaka powstanie w kuźni planu sześcioletniego, literatury, która będzie coraz istotniejszą siłą w budownictwie socjalistycznym.

Tadeusz Drewnowski

*) Tadeusz Konwicki „Przy budowie"; Czytelnik, 1950

JANINA BRONIEWSKA

Sprawa dotąd nie załatwiona

Zbliża się Walny Zjazd Związku Literatów. Staramy się o swego rodzaju bilans dotychczasowej twórczości, który pozwoliłby nam na zorientowanie się zarówno w brakach i niedociągnięciach jak w trudnościach i przełamywaniu się współczesnego pisarza. Stoimy wobec nowych zadań, a więc i wobec nowych trudności.

Chciałabym zatrzymać się nad jednym z najbardziej chyba u nas zaniedbanych zagadnień, o którym będzie się jak sądzę na Zjeździe dyskutować. Jest nim problem literatury dziecięcej i krytyki dotyczącej tej literatury. Rzecz ta wciąż jest niezałatwiona, choć od czasu do czasu bije się w jej sprawie na alarm, że przypomnę tylko artykuły Heleny Bobińskiej w „Odrodzeniu" na początku roku 1949, oraz ostatnio artykuł Grzegorza Lasoty w 4 n-rze „Nowej Kultury". Mimo to ten dział literatury wciąż jeszcze jest u nas najmniej poważnie traktowany i postponowany w ciągu pięciu lat wielkiej rewolucji kulturalnej wręcz osobliwie. I tu muszę zacząć od całej litanii żalów i pretensji, wcale nie bezpodstawnych, właśnie w przededniu Zjazdu.

KIEDY KONIA KUJĄ — ŻABA NOGĘ PODSTAWIA

„Dorosła" krytyka ma problemy. Wiadomo. Pozytywny bohater, realizm socjalistyczny. Kiedy zacząć z krytykiem rozmowę o literaturze dla dzieci i młodzieży, ma on zazwyczaj jedną formułkę: mówi, że się na tym nie zna.

Zdarzają się w środowisku literatury i tacy ludzie, co jeszcze dziś utrzymują, że każdy potrafi pisać dla dzieci.

— Alboż to literatura? — mówi taki „znawca". — Kiedy konia kują, byle żaba nogę podstawia. Te tam wasze krasnoludki...

W jego pojęciu d z i s i e j s z y pisarz w książce dla d z i s i e j s z e g o dziecka, pisze w dalszym ciągu tylko o krasnoludkach i złej macosze. Jak takiego przekonać, że właśnie t a l i t e r a t u r a zadecyduje w ciągu najbliższych lat, czy przyszły dorosły czytelnik sięgnie po „Dzikuskę" (ze zbiorów prywatno-muzealnych), czy właśnie po pięknie wydany, prawie klasyczny już wtedy tom tego czy innego pisarza, którym zajmuje się w tej chwili nasza „dorosła" krytyka?

Czy w ogóle nie ma recenzji ze współczesnej literatury młodzieżowej? A jakże! Nawet dwie kolumny przed każdą „gwiazdką". Ale jakie kolumny?

Do wyjątków należą recenzje rzetelne i fachowe, wychodzące spod pióra kilku zaledwie pisarek, specjalistek od spraw literatury dziecięcej (Heleny Bobińskiej, Wandy Grodzieńskiej, Krystyny Kuliczkowskiej). Mniejsza z tym, że ukazują się one nie częściej niż raz czy dwa razy do roku. (Była tylko jedna próba prowadzenia stałego działu literatury dziecięcej w „Odrodzeniu" pod kierownictwem Marii Kann). Gorzej, kiedy przy takiej „gwiazdkowej" okazji daje się recenzję innego rodzaju, taką, która ogranicza się do podania ceny książki, reprodukcji okładki i paru banałów przy każdej pozycji. „Pleć pleciugo, byle długo" ma tam tę samą grzecznościowo-prospektowo-księgarską ocenę, co najśmielsza próba pokazania dziecku dzisiejszego, nowego świata. Czasem dochodzi „wydźwięk" społeczny. (Na wszelki wypadek, jeśli autor jest znany z lewicowych przekonań). Czy recenzent taki zastanawia się, że ten „wydźwięk" był sztuczny, że czasem zdarza się, że autor „przegorliwił", że sprawę taką trzeba przedyskutować? Że może taki autor też „przełamuje" się dopiero i z trudem dociera do nowej problematyki, do zagadnień nowej szkoły, nowego ucznia?

Jest jeszcze jeden rodzaj krytyki, której nie zna „dorosły" pisarz. Anonimowych kilka pań z wydawnictwa bierze maszynopis i zaczyna marzyć: co by każda z tych pań zrobiła, gdyby sama pisała książkę. Na kanwie gotowego utworu, cudzego utworu, zaczyna się na przykład tkać sześć różnych projektów. Widziałam takich sześć „recenzyj" sześciu marzycielek i widziałam potem książkę, którą nieszczęsna autorka dostosowała do wszystkich sześciu całkiem sprzecznych „zaleceń". Czy oceny w wydawnictwie muszą być anonimowe? Czy nie stać recenzenta na odważne, uczciwe dyskusje z autorem — a wydawnictwo na redaktorów, którzy by mogli efektywniej i bardziej rzeczowo pomóc autorowi w jego rozwoju ideowym i artystycznym?

Mówi się o wyłonieniu na Zjeździe Związku Literatów sekcji roboczych, w których prowadzić się będzie działalność Związku, stosownie do zainteresowań pisarzy i uprawianych przez nich rodzajów literackich (poezja, proza, dramaturgia itd.). Powinna tam powstać stanowczo także sekcja pisarzy dla dzieci i młodzieży, w której będzie się rozstrzygać problemy bohatera pozytywnego oraz realizmu socjalistycznego także w tej „podstawowej" gałęzi literatury, jaką jest twórczość dla dzieci.

CZARNE I BIAŁE CHARAKTERY

Na pewnej naradzie pisarzy i redaktorów działów młodzieżowych przy wydawnictwach, rozważaliśmy sprawę planu wydawniczego, poszczególnych pozycji oraz rodzajów książek, których jeszcze nie ma lub które właśnie są już „na warsztacie". Przy omawianiu najbardziej współczesnej tematyki, wyłoniła się sprawa, czy pisarz-wychowawca może pokazać walkę klasową, nie wciągając w nią samej młodzieży jako wykonawców (w fabule powieściowej, oczywista) machinacji podziemia. Pewien (osobliwy, przyznać trzeba) autor stworzył taką sytuację powieściową, w której na obozie SP jeden z chłopców zainspirowany przez podziemie zatruwa kocioł z zupą. Historyjka nie tylko ponura, ale spitraszona według recepty zwykłego „kryminału" angielskiego, mimo że dobrotliwy autor nie dopuścił do ostateczności, tj. do zbrodni, nawrócił zbrodniarza na pięć minut przed katastrofą. Umyślnie przytaczam najbardziej wulgarny przykład tych mechanicznych prób przenoszenia na teren młodzieży chwytów z „Tajnego Detektywa" dla rzekomo „ideowego" rozwarstwienia klasowego środowiska młodzieży. Inny autor, mniej krwiożerczy, wymyślił „klasowy konflikt" między dziećmi w spółdzielni produkcyjnej w ten sposób, że grupa chłopców przekłuwa opony samochodu, którym przyjechał na inspekcję „bardzo pozytywny" reżimowy dygnitarz. Myślę, że takich nadgorliwców będziemy zgodnie przetrzebiać. Czyż to po prostu nie inspirowanie młodzieży, mimo cnotliwych zamierzeń nadgorliwca, w kierunku wręcz odwrotnym od zamierzonego? Czy podobne chwyty pedagogiczne są możliwe w naszym wychowaniu, czy nie zdradzają nie tylko ignorantapedagoga, lecz i człowieka obcego ideologicznie? Nikt z nas nie myśli malować dziecku cukierkowo-marcepanowego światka, uprawiać literatury „kucanej", szczebiotliwej. Dzisiejsze dziecko robotnicze zna wszystkie trudności codziennego życia, choć ma przed sobą także i te jasne perspektywy, których nie miało nigdy przedtem. Dziecko ludzi nam jeszcze wrogich także słyszy nie tylko szczebiot kanarka, lecz najplugawsze oszczerstwa, gdy kochani rodzice nastawiają Madryt, czy Głos Ameryki. Ale z tego dziecka też nie zrezygnujemy. Wydrzemy je dla jego własnej przyszłości nawet z takiego środowiska. Poprzez szkołę, poprzez młodzieżową organizację. I dlatego musimy pokazać młodzieży oblicze walki klasowej. Chcemy naszego przeciwnika pokazać prawdziwie. Wcale nie trzeba na to dodatkowo sadzy czy tuszu. Oblicze wroga postępu społecznego, intencje podziemia właśnie w stosunku do młodzieży, właśnie w stosunku do jej przyszłości są dostatecznie odrażające, by wszystko co jest w dziecku dobrego i co może być dobrego, opowiedziało się po stronie nowej szkoły, po stronie własnej organizacji młodzieżowej. I dlatego można pokazać śmiało i prawdziwie tę drugą stronę barykady w tym co jest jej istotą, w tym co w niej stare, zbutwiałe, co się odgryza, bo ginie, bo musi zginąć jako wsteczne, jako paraliżujące wszelki start młodzieży, choćby nią były własne najrodzeńsze dzieci.

Trudno oczywiście młodzieży, a zwłaszcza dziecku pokazać „łamiącego się wewnętrznie" bohatera, dać młodocianemu czytelnikowi do roztrząsania perypetie „duchowe" jakiegoś trzynastoletniego młodzieńca rozgrywające się na pograniczu patologii. Dzieci są raczej bezkompromisowe, surowe w sądach, prostolinijne. Lecz dzieci są także szczególnie czujne na każdy najmniejszy fałsz. Papierowy bohater w literaturze dla młodzieży jest taką samą klęską dla autora i taką samą porażką dla książki, jak w literaturze „dorosłej".

— Psze pani, my chcemy takich książek, żeby ten bohater był taki, jak może być każdy z nas, jak będzie się bardzo starał. Odważny, niech pomaga słabszym w nauce, niech się sam dużo uczy. To może zostać nawet inżynierem, jak każdy z nas jak się będzie starał — tak, może dosyć dziecinnie, wyklarował mi zagadnienie „pozytywnego bohatera" młodzieniec z IV klasy szkoły podstawowej w Oleśnicy pod Wrocławiem.

— Tylko książka nie może być nudna. Tam musi się dużo dziać. Tak, jak naprawdę dzieje się codzień. Ciągle coś nowego, ciekawego. Ale żeby to była prawda. Nawet jak komu jeszcze smutno i trudno, nie szkodzi... — radził mi drugi z czytelników i słuchaczy.

Po co wymyślać trucicieli, sabotażystów w krótkich (często na siedzeniu podartych o gwóźdź w płocie) majtkach? Jeżeli taka sytuacja nie powstała tylko w głowie autora (Boże się pożal nad nim) ale nawet w rzeczywistości — niechże się delikwentem zajmie zakład higieny psychicznej a nie właśnie współczesny autor, pisarz-wychowawca.

WARSZTAT DOŚWIADCZALNY

Jak z powyższego wynika, nie samymi krasnoludkami żyje dzisiejszy pisarz młodzieżowy. Wydawcy sygnalizują katastrofalny stan twórczości rodzimej. We wszystkich działach. Powieść historyczna — leży. Nie ma jeszcze autorów, którzy pokusiliby się o nowe naświetlenie owych „Opowiadań dziadunia" czy innej „Historii Polski w 24 obrazkach". To sprawa dłuższych studiów. Nie ma powieści z okresu okupacji i walki podziemnej, która nie kończyłaby się na „przystanku Niepodległość" (parę pozycji, mętnych ideologicznie). „W toku", jak mawia się stylem urzędowym, jest parę tematów najbardziej współczesnych. Takich, o które może naiwnie ale gorąco upominają się czytelnicy. O które wcale nie naiwnie, ale również gorąco molestuje nauczyciel. Plan sześcioletni, związana z nim nowa szkoła, harcerstwo (najpilniejsze bodaj „zapotrzebowanie społeczne" dla tej prawdziwie masowej, podstawowej organizacji dziecięcej, która, jak wiadomo, już nie opiera się na ideologii angielskich generałów kolonialnych, lecz na prawdziwie demokratycznych podstawach).

Czy wystarczy tu przedwojenne „doświadczenie" pisarskie? Czy wystarczy „badanie terenowe" w stosunku do własnych, inteligenckich jedynaków w stylu: „Co tam dziś było w szkole? A co robiliście na zbiórce?", by mogła powstać książka pomagająca kształtować świadomość małego obywatela z takim jak dziś startem życiowym, z takimi perspektywami jakie mu daje nasza rzeczywistość społeczna?

„Dorośli" pisarze jeżdżą obecnie często w teren. Piękna, długofalowa akcja. Ale nikt nie pomyślał z żadnego miarodajnego resortu, ani z naszego, nie mniej miarodajnego, Związku Literatów, że dla pisarza młodzieżowego kopalnią doświadczeń, typów, charakterów, konfliktów — są zaczynające się właśnie obozy harcerskie i ZMP. Od września zaś — szkoła podstawowa, licea zawodowe i ogólnokształcące. Możebyśmy też „doszlusowali" ustaliwszy, że **literatura dla dzieci i młodzieży jest poważną literaturą, która ma prawo do poważnej krytyki w pismach literackich**, która ma prawo do własnego warsztatu twórczego, której nie można dłużej ani przemilczać ani lekceważyć.

Janina Broniewska

WŁADYSŁAW KOWALSKI

KUŁACY*)

ZGRABNY, ściągły nos wójta Kalinki węszył nadciągający koniec urzędowania. Małe, chciwe oczy w straszliwej wizji dostrzegały ten pogrom godności osobistej, gdy spadnie zeń sztucznie nadziana powłoka fałszywego szacunku, opinii i dumy. Czując nosem i całym swoim jestestwem, że lada dzień wyleci z urzędu i to niczym obity kundel spod kija, nie godny nawet psiego pożałowania. Kalinka wił się jak ten robak pod butem, gorączkowo szukając obrony, by skoro tracił urząd, który dawał przywilej wyższości, choć całkiem nie wyparszeć ze stada.

Rozumiał to dobrze, że masa chłopska może go dopiero zabić na dobre, gdy zacznie teraz bezkarnie kpić sobie z jego niedawnej dumy i ambitu, a potępiać za służalczość wobec panów. Należało więc odparować atak mas, póki się jeszcze nie spotęgował do takich rozmiarów, gdy próba obrony byłaby tylko dalszym podnieceniem tłumu do kpin. Miał na sumieniu wiele krzywdy chłopskiej, wiele nagromadził nienawiści do siebie i oto teraz legł wypędzony przez sanacyjne władze, którym służył. Nie pozostało nic innego, jak tylko uderzyć w obrażony chłopski honor, wzburzyć tłum przeciwko panom. To był ten skuteczny i jedyny środek samoobrony.

Możni, ambitni kumowie ochoczo stanęli do pomocy i po tygodniu ich działalnosci Kalinka był już galancie podmyty w opinii chłopów.

Ale dopiero po zdaniu urzędu, gdy sam zyskał swobodę ruchów języka, podniósł to bielenie swej godności do należytego poziomu.

Wściekły za hańbę, którą sam niepatrznie ściągnął na siebie przez zbytnie ryzykanctwo, a czego mu sanacyjna „góra" nie darowała, Kalinka uniósł się gwałtowną pychą, gotów targać, trząść, niweczyć wszystko dookoła. Nie znając żadnych hamulców moralnych, wytoczył cały arsenał oskarżeń przeciwko sanacyjnej hierarchii, o którą dotąd tak blisko się ocierał. Opowiadał teraz chłopom, że umyślnie czynił te przeróżne umizgi do panów, starosty i sanacyjnych posłów, aby do głębi przeniknąć zamiary tych zdradzieckich wyzyskiwaczy. Dzięki też czemu, „doły" miały teraz od niego okazję wysłuchania prawdziwych relacji o „górze", która nurzała się w kałuży przestępstw.

Poseł Suski odarty z własnych słów i zdań, jakie wypowiedział na dystansie Mianowo — Błotnica, wyszedł w nowej interpretacji Kalinki co najmniej jak rzezimieszek. Ksiądz Pietruszyński, którego nazwisko i on teraz zakańczał na „cha" postarzał w jego opinii jeszcze o lat dwadzieścia, a kościelne dochody przemawiały przeciwko zasadom, które głosił z ambony, gdy w dodatku po cichu knuł spisek z panami.

Zmowa „góry" przeciwko chłopom była jednolita, zdecydowana. Obrazy tej zmowy okrutne w swej przewrotności.

Kalinka nawet nie umiał wyliczyć pełnego arsenału podstępów „góry", dążącej do unicestwienia ludu. Ilość odkrytych przez niego łajdactw, popełnianych przez sanację była tak duża, iż przekreślała wszystkie jego osobiste uchybienia, jakie ktokolwiek mu zarzucał.

„Doły" słuchały uważnie groźnych rewelacji Kalinki.

Ta część chłopów, która leżała pokotem u nóg księdza, rzecz prosta nie bardzo wierzyła słowom Kalinki. Ale jemu nie chodziło o tych chłopów, którzy nie umieli ust otworzyć, jak ta mierzwa gnili w swoich chałupach i całowali brudną posadzkę w kościele. Nie wątpił, że druga, myśląca część chłopów, doskonale rozumie podłoże jego raptownej zmiany. Wiedział, że prawdziwi lewicowi agitatorzy, których on teraz wyręczał w ataku na panów, podsycając rozpalone przez nich ogniska, pokpiwali z niego w skrytości ducha. Wiedział z góry, że tak będzie. Lecz mścił się przecież za swoją hańbę, boć w żaden sposób nie mógł się narazić na pośmiewisko tłumu, tych śmiesznych gospodarzy, właścicieli dychawicznych szkap i rozłogów, które pies dwoma podskokami wymierzy, a którzy stanowili cztery piąte ludności w okolicy.

Po tygodniu mógł już nadstawić uszu i zbierać plon agitacji swoich kumotrów i własnej.

— A to ich wsypał! — mówiono powszechnie.

— Patrzta, co się to dzieje! — wołali chłopi.

— Dobrze, że się tam u nich przyczaił i teraz mówi, co się tam dzieje.

— Ba! Kto go uważnie śledził, mógł się domyślać, że ich tylko mami! — podpowiadali bogaci kumowie.

— Cwany chłop!

— Pewno! Czasem musiał kogoś skrzywdzić — tłumaczono go.

Nastrój ogólny w obrębie gminy wrócił odwagę i pisarzowi, który już począł zachowywać przesadną ostrożność w stosunku do osoby byłego wójta.

Zdążając pewnego dnia do miasteczka, Kalinka z odległości dziesięciu kroków dostrzegł wyglądającą z żydowskiego sklepiku rumianą twarz, oszpeconą pod nosem wąsikami jak mysie ogony.

— Wójcie! — zapiszczał po chwili niepoważny głos pisarza.

Zeszli się pod murem za szczytem domu, gdzie pisarz w czułej życzliwości, skubiąc chudymi palcami czarne włoski z kołnierza byłego zwierzchnika, zdradził mu tajemnicę, którą posiadł od kolegów urzędników w powiecie. Między innymi uświadomił go o zamiarach władz przeniesienia Jasiukiewicza do bogatej wsi Mosty.

Kalinka doskonale czuł w tej szczerości pisarza asekurację na wszelki wypadek. Tłumił w sobie żal do niego za chwilową nieufność, jaką pisarz okazał mu, gdy się dowiedział o jego niełasce u władz. Nie był jednak na tyle naiwny, aby mu to wypomnieć w nieodpowiednim momencie. Pokiwał zgorzkniale głową i rzekł:

— Oto masz pan, panie Ciwa, tę ich sprawiedliwość. Człek Bogu ducha winien, ten Jasiukiewicz, dopiero zaczął uczyć i co to z nim wyprawiają.

Ton głosu, jakim Kalinka wypowiedział swoje współczucie dla Jasiukiewicza, był tak przejmująco szczery, iż wiecznie głupawo roześmiane oczy pisarza chyba po raz pierwszy w życiu tak osmętniały powagą.

— Ta — och! Taka jest nasza dola! — zsolidaryzował się pisarz z krzywdą warstwy inteligencji, do której zwykł był głośno się zaliczać. Odprowadził wójta do rynku.

Wszedłszy po chwili do karczmy, gdzie w ciasnej izdebce za sklepem, przy jednym z czterech brudnych stolików pod oknem, wychodzącym na rynek, dwaj podchmieleni chłopi zajadali salceson, Kalinka rzekł do nich:

— Wyszedłem tylem z urzędu, ale frontem będę tam zaglądał, ile razy zechcę! Pisarz okazał się mądrzejszy niżem myślał.

Podając rękę chłopu o twarzy jak słońce czystej, dużej i czerwonej, pochylił się i szepnął: — Słuchaj, Aksytek! — umilkł, spojrzał w lewo i skinął przyzywająco głową. — Słuchajcie, Rajca, moglibyśmy mieć doskonałą osłonę i może pomoc, gdyby udało się zatrzymać tu tego nauczyciela z Mianowa. A gdyby go tak jeszcze podbuntować! Odważna sztuka! I komunistów nienawidzi jak i my. Wspólnie będziemy tu działać.

Zbyt cicho mówił, w tajemnicy przed karczmarzem, chytrze zerkającym przez niedomknięte drzwi zza lady i Rajca nie dosłyszał. Wobec tego Kalinka wstał i pochylił się nad stołem, że czarne zmierzwione włosy muskały lewy policzek Aksytka. Podpalane, sklejone tłuszczem wąsiska sierpiasto obwisły dokoła ust.

— Pi! — zbagatelizował Rajca, gdy Kalinka powtórzył o co chodzi. Mrugnął chytrze i upewniająco. — To się zrobi.

— Ale jak? — zwątpił Aksytek. Bezbarwne oczy znieruchomiały wyłupiasto.

Rajca podrzucił brodą, aż w dołku pod suchą grdyką zapluskało.

— W Mostach chłopi bogatsi od nas, mało który nie zdejmuje czapki przed księdzem. Komunistów boją się gorzej niż samego diabła. Gdy im powiem, że Jasiukiewicz jest komunistą, pojadą grzecznie prosić, aby im diabła nie sprowadzano do wsi. — Uśmiechnął się zwycięsko. — Zrobię z niego komunistę, choć nim nie jest. Ale skoro nam się tu przyda...

— A, cholera! — uniósł się z krzesła w zachwycie Kalinka. Bodaj was grom, jak wyście to pomyśleli! Jeśli i ten nauczyciel połączy się z nami, przeciągniemy chłopów na naszą stronę. — Wołał do karczmarza, aby dawał pół litra wódki i kiełbasę dobrze zakropił octem. Wświdrował oczy w Rajcę, jakby go chciał na wylot przejrzeć. — Skąd wy macie tyle pomysłów?... Pokażemy, co potrafimy. Albo z nami, panowie, zgoda, albo wojna!

W tej chwili stanął we drzwiach siny z zimna Wiewiór. Zrudziała na nim kapocina i czapka na głowie drżały każda nieco innym rytmem. Białe wąsiny podkleiły się pod nos, uchylony brzeg górnej wargi znaczył się rudo-niebieskawą smużką.

— Wójcie! — zachrypiał starzec. — Będzie wypitka, to będzie i ciekawa nowina.

— Chodźcie! — skinął głową Kalinka. Obsiedli stół dookoła.

Karczmarz przyniósł co zamówiono i odszedł. Kalinka zamknął za nim drzwi. — Po co ma słuchać! Wachowiak co innego, z nami trzyma. A ten... — Nalał kieliszki. — Pijcie dziadku i mówcie.

Wiewiór roześmiał się do kieliszka w kształcie małej sklaneczki. Pokręcił głową .— Przyduży na raz — rzekł. .— Rzadko się teraz pija, chyba nie przełknę od razu. — Nagle żywy ruch ręką do ust. — Ob — ha! — dodał sobie głośno odwagi i chlustnął wódkę do gardła, wywołując zdziwienie i śmiech obecnych. Splunął na podłogę, otarł rękawem usta i sięgnął po chleb i kiełbasę. Opowiadał o swoim odkryciu na polowaniu.

Chłopi dusili się od śmiechu. Kalinka drżąca ręką nalał staremu kieliszek.

— Pijcie, dziadku! Tak i tak trumna nie długo. Co się tam... ryzykancko machnął ręką. — Za tę nowinę warciście całą flachę! To będzie świetna przygrywka do...

— Wolnego! — pohamował go Rajca, unosząc dłoń do góry. — Można i o tym, można ich przedstawiać jak hulają i kradną pieniądze z banków dla obszarników, którzy urządzają im za to polowania, ale tylko cicho i jako lekki żarcik. Tam był generał, a jak generał, bracie!... przymrużył ostrzegawczo lewe oko. — Sam rozumiesz! Rządy są pułkowników, ale generał też za drzwiami u nich nie stoi. Z tym ostrożniej, bo można przeciągnąć strunę.

— W takim razie, dziadku — rzekł Kalinka — skoro tak dobrze żyjecie z Jasiukiewiczem, może on napisze skargę na księdza. Nic wielkiego! To tylko, że już za stary. My nie uczeni, nie potrafimy dobrze pisać.

Wiewiór wypił gorzałkę, zakąsił i rzekł:

— Ja chyba do tego to ręki nie przyłożę.

— O cóż wam chodzi? — spytał Kalinka.

Starzec obojętnie wzruszył ramionami.

— Diabli was wiedzą, co wy chceta zrobić? Jeśli chceta go wystawić do wiatru, to może szkoda, bo dobrze dzieci uczy i dobry człowiek, choć pokręcony. Chciałby dać chłopom ziemię, ale żeby się panowie na to dobrowolnie zgodzili. Pokręcony ,ale dobry człowiek. Wczoraj dał mi nawet tego ptaka, co zastrzelił na tym polowaniu w Zabłudach.

Aksytek pochylił się nieznacznie za plecy Wiewióra, spojrzał Kalince w oczy i zacisnął mocno wargi, jakby pytając: „Wtajemniczyć go?" i do Wiewióra:

— Wiedźcie, że przenoszą Jasiukiewicza do Mostów.

— Do Mostów! — zawołał starzec, uderzając czapką w stół. — Jeśli tak, to wasza sprawka. Zrobiliście to wy, wójcie, póki byliście w łaskach u starosty.

— Spróbujcie jeszcze wódki dziadku — rzekł Rajca, napełniając staremu kieliszek. — My go do Mostów nie puścimy, zostanie tu. Chyba, że go władze zupełnie wygonią. Do Mostów go nie puścimy.

— Tej jego babie wartoby dojechać — rzekł starzec zły w oczach. — Ledwie wyszła za niego, już zhardziała. I to chłopska córka. Byłbym tu nie był, gdyby mnie dziś nie wypędziła. Powiedziała mi, że za często przychodzę. Łajdus babsko. Ale jego mi żal.

— Nie możecie życzyć mu lepiej, niż chłopom — rzekł Rajca, napełniając inne kieliszki. — Ostatecznie, my znów tak bardzo nie jesteśmy przeciw temu, co i wy tam we wsi robita. Nie myślimy wcale płakać z tego powodu, że panów diabli wezmą, dość już pożyli i nadokuczali się wszystkim.

— Świnie — pomyślał Wiewiór o wszystkich trzech, biorąc swoją szklaneczkę. Już źle panował nad sobą, kołysał się trupio blady, w niedomkniętych powiekach jaskrawo błyszczały żółtawe źrenice. Jakby zasypiał. Gdy wychylił trzecią szklaneczkę, głos załamał mu się zupełnie.

— Więc jak, dziadku? — podjął jeszcze Rajca. Ale starzec machnął tylko ręką.

— Dajta mi spokój. Rozum mi się całkiem splątał — rzekł. Teraz naprawdę zasypiał, ułożywszy głowę na lewym ramieniu.

Kalinka zakrążył dłonią nad stołem, dając w ten sposób radę, że trzeba spożyć co zostało i wyprowadzić starego.

W kilkanaście minut potem wyszli, podtrzymując Wiewióra, rozglądali się po rynku za jakąś okazyjną furmanką, która by go podwiozła do wsi. Ale stary na mokrym, zimnym powietrzu ożywił się, wyrwał się im z rąk i zataczając koła, poszedł przez rynek.

Dzwony akurat uderzyły na Anioł Pański, gdy Wiewiór znikł w uliczce, prowadzącej do Mianowa.

Władysław Kowalski

*) Fragment powieści pt. „Wino".

EDWARD FISZER

WIOSNY NADMORSKIE

I znowu wiosna w świeżą zieleń
Przybrała las na gdańskich wzgórzach,
Wyjrzało słońce, grzmiała burza,
Będzie pogoda, przyjaciele.

Wspomnijmy proszę, moi drodzy,
Jak szumne wiosny na Wybrzeżu,
Słuchając morza, człowiek przeżył,
Gdy koniom wojny ściągnął wodze.

Odtąd, koledzy, dobrze wiecie,
Ileśmy dzieła dokonali
Z masztowych sosen, z dźwięcznej stali,
Na radość żon, na zdrowie dzieci.

Gdzie spojrzeć, bracia, serce rośnie!
Co mówię, miasto rośnie wyżej.
Bałtykiem idzie flota chyża,
Z pełnym ładunkiem pomyślności.

Ej! biegną sławne gdańskie dzieje
W rączych pojazdach ponad plażą.
Trymerom spieszy się, murarzom,
Bystrej młodzieży w głowach dnieje.

O! jakaż miłość i wzruszenie
Prowadzą brzegiem lud nadmorski,
Żeglarze robotniczej Polski
W banderę biorą wiatr — natchnienie.

I to wam powiem, towarzysze!
Że świecą lampy w nowych domach,
Wieczorem gwarzę u znajomych,
W szumie zatoki pokój słyszę.

Gdańsk — w czerwcu 1950 r.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

O „Komunistach" Aragona

Nowy gatunek prozy powieściowej powstaje współcześnie we Francji.. Jest nim powieść-fresk czyli powieść przedstawiająca wielkimi rzutami, utrwalająca na świeżo, w sposób bezpośredni ideologiczne konflikty epoki. Fresk powieściowy wypiera, właściwiej należałoby się wyrazić: przeobraża roman-fleuve, tę ulubioną formę powieściową dwudziestolecia.

Roman-fleuve był tą formą, która najidealniej przylegała do wczorajszych treści literackich, kiedy to powieść, nie czyniąc wyboru, usiłowała dać całą prawdę psychologiczną o ludziach i świecie. Roman-fleuve przedstawiał więc cały przebieg życia jednostek a nawet całe życie kilku pokoleń. Roman-fleuve przedstawiał także idee epoki (przynajmniej nie wszystkie z nich omijał) oraz ideologiczne zróżnicowanie środowisk, lecz punktem wyjścia był tam powieściowy bohater a punktem dojścia jego klęska lub zwycięstwo. Dopiero poprzez jego losy, przez filtr jego myśli i wzruszeń ukazywane były sprawy, dla których lub przeciw którym bohater ów żył. Roman-fleuve chcąc dać t.zw. prawdę psychologiczną dawał jej namiastkę. Ambicją fresku powieściowego jest ukazać przede wszystkim prawdę ideologiczną.

Powieść-fresk na plan pierwszy wysuwa konflikty światopoglądów i wokół nich skupia ludzi oraz ich losy. Klęski i zwycięstwa bohaterów uwarunkowane są tutaj nie ich psychiką, ale sprawą, której bohaterowie ci służą. Sens ich życia określa przede wszystkim stopień ich zaangażowania. Bohaterowie ci także błądzą, także przeżywają osobiste tragedie, lecz ich cierpienie, tak samo jak ich szczęście nie dzieje się w sztucznej izolacji, „na tle" spraw świata. Powieść dwudziestolecia (właśnie roman-fleuve) umieszczała swoich bohaterów na wyspie psychologicznej (najczęściej na jakimś archipelagu Neurastenii) i tam dopiero dochodziły do nich odgłosy konfliktów rzeczywistości. Bohaterowie powieściowych fresków także mówią o miłości. Lecz nie tak doskonale i płynnie jak dotychczas. Częściej mówią o polityce, tak jak żywi ludzie dookoła. Dystans między nimi a ich współczesnymi maleje. Intelektualiści w powieści, tak jak intelektualiści w rzeczywistości, nie rozprawiają cały czas o metafizyce i celach literatury. Czytują gazety codzienne i na wielu powieściowych stronicach dyskutują na temat gabinetowych przesileń. Tak samo robotnicy, tak samo przedstawiciele drobnomieszczaństwa i burżuazji. Zróżnicowanie klasowe nie jest ukazane za pomocą tak prymitywnych środków jak stopniowanie towarzyskiego wyrobienia i stylu mowy. Różnią się istotniej — światopoglądowo.

„Komuniści" Aragona*) są właśnie takim freskiem powieściowym współczesnej epoki. Całość — zamierzona (przynajmniej w obecnym stanie realizacji) na dwanaście tomów — ogarnąć ma współczesne sprawy Francji od lutego 1939 do stycznia 1945 roku. Ryszard Matuszewski i Artur Sandauer uprzystępnili nam właśnie tom pierwszy. W tomie tym Aragon ukazuje nam Francję we wszystkich przekrojach społecznych i politycznych od chwili obsadzenia granicy francusko-hiszpańskiej przez faszystowskie oddziały Franco do wybuchu „drôle-de-guerre" z Niemcami.

W ciągu sześciu przedstawionych w powieści miesięcy 1939 roku (od lutego do września) burżuazja francuska gorączkowo przygotowuje się do kolaboracji z faszyzmem. Na klęskę Republiki Hiszpańskiej reaguje westchnieniem ulgi. Skończyła się wreszcie leżąca jej na sercu komedia nieinterwencji. Ma już swobodne ręce do układu z Franco. Pétain z polecenia Daladiera jedzie do Madrytu po naukę kolaboracji. Stosunki z hitlerowską Trzecią Rzeszą stają się nieoficjalnie (a więc tym istotniej) coraz ściślejsze. Agent hitlerowski Abetz ma dostęp do wszystkich burżuazyjnych sanktuariów. Swoich ludzi ma na Saint Dominique (Ministerstwo Wojny) i na Quai d'Orsay (Ministerstwo Spraw Zagranicznych). Że Laval, Doriot, de la Rocque, to wiadomo. Ale przecież sam minister Spraw Zagranicznych Bonnet w wyścigu o względy władców III Rzeszy walczy o pierwsze miejsce. Kancelaria Hitlera zna dokładnie treść posiedzeń francuskiego gabinetu. Podczas wizyty Ribbentroppa w Paryżu Daladier chcąc odbić sobie na Bonnet'cie stosuje norymberskie ustawy rasowe w stosunku do swoich kolegów z gabinetu. Niearyjscy ministrowie Mandel i Zay są wykluczeni z oficjalnych przyjęć na cześć ministra III Rzeszy itd., itd. Burżuazia przygotowuje się bardzo starannie do przyjęcia chrztu faszystowskiego.

A tymczasem trwa komedia układów z ZSRR. Rząd burżuazyjny wysyła do Moskwy drugorzędnych „sztabowców" bez pełnomocnictw po to, aby mydlili oczy, wynajdywali trudności i zyskiwali na zwłoce. A jednocześnie rozpoczęło się już nabożeństwo do faszystowskiego boga. Burżuazja francuska marzy o radziecko-niemieckiej wojnie, w której ona odegrałaby rolę arbitra.

Kiedy rachuby zawodzą, kiedy prowokacja anglo-francuskiego imperializmu nie odnosi skutku, francuska burżuazja swoją klęskę na terenie międzynarodowym usiłuje jeszcze wyzyskać w polityce wewnętrznej. Chce rozbić siły postępu delegalizując Francuską Partię Komunistyczną. Pierwszy tom „Komunistów" kończy się wstępnym aktem burżuazyjnego terroru — zamknięciem przez rząd Daladiera organu KPF „Humanité".

Prawda ideologiczna samych wydarzeń jest tak jasna i oczywista, że przed pisarzem, który postawił sobie za zadanie wierne jej odtworzenie w powieściowym fresku, nie stoją żadne zasadnicze przeszkody. Aragon nie potrzebuje uciekać się ani do przejaskrawień ani do maskowania czegokolwiek. Przyjąwszy

Louis Aragon

ramy rzeczywistych konfliktów, Aragon znajduje się w tak dla siebie pomyślnej sytuacji, że nie musi stawiać tezy, do której musiałby doprowadzać rzeczywistość i naginać ludzkie konflikty. Nie unika więc tych spraw, które uchodzą za tzw. sprawy drażliwe. Wprost przeciwnie, w pierwszym tomie „Komunistów" na sprawy „drażliwe" położony jest akcent główny; na te tzw. konflikty sumienia ludzi francuskiej lewicy, którzy „załamywali się" w sierpniu 1939 r., kiedy to spełzła na niczym anglo-francuska prowokacja w stosunku do ZSRR.

Wszyscy ukazani przez Aragona ludzie o wszystkich sprawach myślą na własny rachunek. Samodzielnie. Aragon nie upraszcza i nie dzieli świata ludzkiego na dwa typy: burżujów i komunistów. Zróżnicowani są zarówno burżuje jak i komuniści. Właściciel fabryki myśli jak fabrykant, buchalter jak buchalter, robotnik jak robotnik. I nie oznacza to, aby wszyscy robotnicy np. w jednakowym stopniu byli uświadomieni o interesach swojej klasy. Są wśród nich komuniści, ale są także anarchiści i blumowcy. Podobnie, nie całe środowisko burżuazyjne posiada jednolicie cyniczną świadomość interesów swojej klasy. Są tam fałszywi intelektualiści snobujący się na postępowość, bezmyślni dziwkarze i homoseksualiści. Aragon nie popełnia również tego błędu, aby komunistów pokazać tylko w robotniczych bluzach. Taki sam niezawodny instynkt klasowy posiada gryzipiórek Lebecq co robotnik Vallier.

Obrońcy powieści mieszczańskiej straszą, że ułożenie ludzi i ich losów wokół zasadniczych konfliktów ideologicznych musi prowadzić do uproszczenia, wysuszenia, unieprawdopodobnienia tych ludzi. Na przykładzie „Komunistów" okazuje się raz jeszcze, że takie niebezpieczeństwo nie istnieje. Pisarza, który sam posiada prawdziwą wiedzę ideologiczną o ukazywanej epoce, nie krępują żadne hamulce. Nie ma dlań żadnego tabu. Tylko ten pisarz, który prawdy ideologicznej nie chce znać, lub znając, rozmyślnie ją fałszuje, musi dla mistyfikacji lub dla przeprowadzenia dowodu fałszywej tezy symplifikować, skrzywiać konflikty i unieprawdopodobniać ludzi. Tak postępuje np. Sartre.

W „Drogach Wolności" (III tom: „La mort dans l'âme") przedstawiając tę samą epokę co Aragon, Sartre usiłuje wybronić francuską burżuazję przed sądem historii. Usiłuje dokonać rzeczy niemożliwej, gdyż na poparcie swojej tezy rozporządza jedynie fałszem ideologicznym. Sartre dla przeprowadzenia fałszywej tezy fałszuje i unieprawdopodobnia ludzi. Błąd (w tym wypadku fałsz) ideologiczny prowadzi w konsekwencji do błędu (fałszu) psychologicznego, koncepcyjnego itd. Sartre dzieli swoich ludzi na takich, którzy myślą jak on i takich, których on z góry określa, że nie myślą wcale. Ukazuje więc ludzi i robotów. Sartre narzuca komunistom, których przedstawia w powieści, swój pogląd na nich. Komuniści Sartre'a myślą i postępują tak, jak on by chciał, żeby myśleli i postępowali. Są robotami, wykonywującymi rozkazy. Przy takim założeniu można dowieść wszystkiego. Powieści Sartre'a nie może uratować zamiar formalistyczny. Jest ona nie freskiem lecz paszkwilem o zupełnie wyraźnych tendencjach.

Aragon nie mając nic do zafałszowania może sobie pozwolić na uczciwą i nie uciekającą się do kłamstw krytykę świata burżuazji. Córce burżuazyjnego rekina daje czyste serce, pozwala jej przejrzeć zło w którym tkwią jej najbliżsi i czyni ją bohaterką prawdziwej, głębokiej miłości.

Oskarżenie stawiane swoim bohaterom Aragon formułuje subtelnymi, pisarskimi środkami. Nie ucieka się potępiając ich do retorycznych tyrad. Intelektualista stary profesor Baranger, który w dniach próby odstąpił od ideałów postępu podpisując anty-komunistyczną odezwę ponosi klęskę sam. Z drugiej strony nie waha się pokazać w całej okazałości draństwa komunistycznego dziennikarza Orfilata, który nazajutrz po zlikwidowaniu „Humanité" wdzięczy się do reżimu o posadę.

Pierwszy tom „Komunistów" może być podstawą do oceny zaledwie zamiaru Aragona. Trudno na podstawie drobnej części zamierzonego fresku wyrokować o całym dziele. Tak w dobrym jak i w złym. Stawiany Aragonowi we Francji po ukazaniu się pierwszej części „Komunistów" zarzut nieproporcjonalnie drobiazgowej analizy świata burżuazji okazał się niesłuszny po opublikowaniu tomu II. Aragon istotnie w pierwszym tomie ześrodkował uwagę na maszynerii świata burżuazji, gdyż ta maszyneria była właśnie w ofensywie. Już w drugim tomie proporcje się wyrównują. Wyrasta znaczenie spraw wolności i postaci ludzi-komunistów. Trudno więc stawiać już teraz jakiekolwiek zarzuty kompozycyjne. Można natomiast Aragonowi postawić inny zarzut. Blado i nieprzekonywująco występują pod jego piórem francuscy robotnicy. Aragon przesadnie wyodrębnia ich styl życia. Niepotrzebnie. Przecież i tak różnią się światopoglądowo. Aragon jest mistrzem przede wszystkim w przedstawianiu typów drobnomieszczańskich (świetny jest np. sklepikarz Gaillard, który uparcie opóźnia swoją dojrzałość ideową oporami środowiska).

„Komuniści" Aragona są książką napisaną w sposób oszczędny i beznamiętny. Bardzo rzadko autor wtrąca te swoje słynne pół lub ćwierć zdania tak pełne lirycznego ładunku. Czytelnicy którzy pamiętają „Wieśniaka paryskiego" lub „Dzwony Bazylei" spotkają się w „Komunistach" z nowym Aragonem. Spotkają pisarza o sumieniu tak wrażliwym że lękającym się, aby własny jego styl nie zmącił tej prawdy, którą chce wyrazić. A zresztą fresk powieściowy ma to do siebie że operuje grubymi rzutami stylu. Już z założenia nie ma w nim miejsca na „cienkości".

Tom pierwszy „Komunistów" bardzo dobrze przełożyli Ryszard Matuszewski i Artur Sandauer. Przekład nie był łatwy. Odnosi się jedynie wrażenie, że przypisy tłumaczy są często zbyt skąpe. Przydałoby się więcej wyjaśnień. Nie wszyscy czytelnicy wiedzą, np. że Giraudoux był francuskim ministrem propagandy, do czego są aluzje w tekście.

Zbigniew Bieńkowski

*) Louis Aragon „Komuniści" tom I. Klub Literacki Odrodzenia Sp. Wyd. „Czytelnik". Przekład Ryszarda Matuszewskiego i Artura Sandauera.

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

ZARAZ PO WOJNIE

Jeszcze jątrzą puste miejsca po tych, którzy
nie zdążyli unieść z obozów i więzień
wspomnienia o nich, które nam dziś służy
za kromkę chleba: karmi nasze pięście.

Oddychamy jeszcze tym samym powietrzem,
w którym obłok ich przewiał i przeminął.
Nie ostygły jeszcze łuski oczu. Jeszcze
usta zatrzaśnięte jak zamek karabinu.

Ale oczy, z których cienie spalonych miast,
blizny krat i drutów kolczastych starł nam
blask pięcioramiennych gwiazd
na hełmach żołnierzy sprzymierzonej armii,

oczy wydarte pocisków wściekłej wichurze,
te oczy — gdy idziesz do pracy rano —
goi prosty napis kredą na ocalałym murze:
Sprawdzono. Min nie ma. Iwanow.

I już dłonie odjęte kształtom nienawiści
uczą się na nowo młota, sierpa, pióra.
O budowie szkoły pisze do mnie w liście
dawny więzień Oświęcimia — murarz.

I tokarz — były żołnierz Pierwszej Armii —
pierś cała w orderach wczoraj go widziałem
jeszcze w czapce wojskowej, — stoi u tokarni,
jak nad Miereją i Nysą stał kiedyś przy działach.

Ręce swoje zwęźli, zewrze z nimi, sprzęgnie
dawny łącznik z AeLu — dziś snowaczka z Łodzi
i były partyzant — dziś górnik z Zagłębia —
w dniu powitań i spotkań, w dniu wtórnych narodzin.

W sztolniach poematów sondując pokłady wzruszeń
wydobywam radość — najcenniejszy kruszec:
syn mój rączek gałązkę z łozinowej kołyski
wyciąga ku gwieździe bliskiej na hełmie czerwonoarmisty.

WIKTOR WOROSZYLSKI

MOJE SZCZĘŚCIE

Moje szczęście nie jest nieśmiałe —
ale może być śmielsze.
Moje szczęście nie jest za małe —
może być większe.

Moje szczęście nie znałoby granic,
każdy wiersz by je opiewał i tłumaczył,
gdybym, pisząc, mógł tych nie ranić,
dla których szczęścia jeszcze nie starczy.

Mam żonę.
— Ile nieznanych mi żon
zginęło od bomb?

Mam silne dłonie.
— W ostatniej wojnie
ile ucięto rąk?

Mój syn mówi „tata".
— Ilu młodych
zestarzeje się, nie słysząc tego, bo — kryzys?

Myślę, czuję.
— W USA wciąż liczniejsze są głowy,
w które kornik szaleństwa się wgryzł..

Mam przyjaciół, mam towarzyszy,
z nimi razem — przez wody i ognie!
— Ilu ślepców usiłuje żyć
samotnie?

...Moje szczęście nie jest nieśmiałe —
ale pragnie być śmielsze.
Moje szczęście nie jest za małe —
pragnie być większe.
A to tego memu szczęściu brak jednego —
aby było
na tym świecie
powszechniejsze.

PRZYSTANEK LIRYCZNY

Na lirycznym przystanku na wiosnę
kwitną magnolie —
takie dziewczęce, takie wiotkie,
że oddechy nieostrożne gną je.

Na lirycznym przystanku jest żona
i syn i ja.
Żona idzie przez ogród — różowa,
we włosach ma wiatr.

Tak rzadko przyjeżdżam.
Na krótko. Trudno.
Na lirycznym przystanku bym pomieszkał —
wracam jutro.

Muszę, rozumiesz?
Rozumie. Przecież
potrafi większe ciężary unieść,
niż moje nagle odległe spojrzenie.

Więc tylko znów patrzę na nią i myślę:
żaden przystanek!
Bo to jedno — żona, syn i wielkie życie,
którego kochać, jak ich, nie przestanę.

JERZY MILLER

WIKTOR MARKIEWKA

Spojrzałem w serce,
w myśl Wiktora,
kiedy ostatnią bryłę węgla
wyrąbał i po nową już
stalowy świder wbił
i wwiercał.
Dwoił się, troił, wszędzie był
w niepokonanym rytmie serca.
Górniczej lampki białe światło
towarzyszyło mu i w świetle
większy mi wydał się o głowę
jak rzeźba, ale nie zakrzepła,
jak uchwycony w ruchu płomień.
— Aż nagle łacha żwiru — kamień!
Aż nagle zdradził go materiał...
Już nie pomoże prężne ramię,
ni doświadczenie. — Trzeba przerwać
wiercenie tu, lub przebić się
na inny pokład,
— w żyłę węgla
wpić się jak w pokarm,
wgryźć jak w chleb
i szukać jej,
bo jest przebiegła,
bo kryje się, bo trzeba wiedzieć,
gdzie lubi drzemać,
gdzie spoczywać,
trzeba przez lata bieg jej śledzić,
na pulsie żył jej
rękę trzymać!
— Nie płakał, ani się nie złościł
w przodku zaskórnej
wody pełnym.
Spokojnie pracą
cierpliwości
obmyślał natarć
bieg — i szturmów.
— — Wtedy dowiedział się, że jakiś
młodziutki rębacz go wyprzedził.
— Myślicie: — zmartwił się? — Nie! — Radość,
radość swą musiał wypowiedzieć.
I głosem silnym, choć wzruszonym
jak gdyby witał
przyjaciela
powiedział głośno i dobitnie:
— Takich jak Ciszak jeszcze wielu
a zwyciężymy węgiel w bitwie. —
— Trzeba uścisnąć Ciszakowi
dłonie, bo dzielny jest, bo umie
wziąć się za kilof, bo rozumie
czego potrzeba człowiekowi,
czego Ojczyźnie.
Bo nie szczędzi
jak inni sił swych tu, gdzie front
w wagonach węgla się rozpędził,
w uścisku naszych zwarł się rąk.

TADEUSZ BOROWSKI

Kłopoty pani Doroty albo

CZTERNAŚCIE KONI

Pani Dorota weszła prędko do pokoju, starannie zamknęła za sobą drzwi, aby nie wiało z korytarza, odgięła poły obfitego futra, aby się nie wytarło, usiadła na taborecie, nakładając na taboret suknię jak klosz, aby się nie pogniotła, położyła na kolanach kwiaty i odsunąwszy niecierpliwym ruchem woalkę z twarzy, rozpłakała się bardzo żałośnie.

— Ależ, droga, pani Doroto, na miłość najlepszego Pana Boga, nie trzeba tak zaraz rozpaczać! — powiedziałem uprzejmie i pocieszywszy ją, przymknąłem służbowe radio, które w niedzielny, jesienny poranek nadawało z Katowic pieśni rewolucyjne, śpiewane przez górników:

Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my!

— Oczywiście, nie zaprzeczam, sprawa pana Stasinka jest mocno zawiła, to każde dziecko wie — ciągnąłem słodko, siadając na tapczanie naprzeciw pani Doroty, — i wiele czynników przypadkowych, a nawet koniecznych złożyło się na to, że pan Stasinek wpadł w takie tarapaty, zresztą, przyzna pani, nie bez swojej winy, ale to przecież jeszcze nic straconego!

— Wszystko stracone! — powiedziała bezradnie pani Dorota, podnosząc na mnie jasne, niebieskie, dziecięce oczy, pod którymi wisiały obrzękłe, trupie torby, wilgotne od łez i sine od niewyspania, po czym krzyknęła z rozpaczą:

— Konie! Ach, te konie! Czy pan może to pojąć! Czternaście koni!

— Takie dobro, jak każde inne, tyle, że żywy inwentarz — odparłem obojętnie. Przyzwyczaiłem się, że przy panu Stasinku wyłaziły coraz to inne przedmioty: a to kawa, a to spalony folwark, a to fuzja, a to buraki w chwastach, a to pieniądze. Mogło być auto ze szmatą na numerze, mogą być i konie. Spytałem dyplomatycznie: — Ciekawym, czy siostra pana Stasinka też będzie działała? Zadziała czy nie? Jak pani sądzi?

Siostra pana Stasinka, niejaka Ciepko — to osobny wybój na polskiej drodze do socjalizmu. Miała na Brackiej sklep z zabawkami i pasztetarnię koło Dworca Głównego. Obie firmy prosperowały wyśmienicie. Jedna łechtała uczucia matczyne, druga — żołądki starszych panów. Mąż pani Ciepko, były kupiec budowlany z Towarowej, piastował stanowisko prezesa spółdzielni mieszkaniowej w kamienicy, w której wydzierżawiłem jednopokojową kawalerkę. Kamienica, wzniesiona spółdzielczo przed wojną przez lokatorów, wypaliła się częściowo w powstaniu. Ale dawni lokatorzy (o ile, rozumie się, przeżyli) nie stracili praw do zniszczonych pomieszczeń. Nie mając kapitału na remont, wynajmowali gruzy za słoną cenę. Zapłaciwszy w nawpół legalnej transakcji trzysta tysięcy złotych na łapę za pokoik z łazienką w rogu, zdobyłem prawo dzierżawy legowiska na osiem lat od nieznanej mi bliżej Elżbiety Balskiej, zamieszkałej w Radomiu. Po tych ośmiu latach pani Balska obiecuje sobie sprowadzić się na gotowe mieszkanko. Zimno mi się robi, gdy o niej pomyślę.

Roboty remontowe prowadził w naszej spółdzielni oczywiście sam pan Ciepko. Własnoręcznie kreślił plany, zamawiał instalatorów, hydraulików i elektryków; dawał także stolarzy, jeśli bogatszy lokator życzył sobie szafy w ścianie lub dodatkowego kontaktu przy biurku. Tak się zaś dziwnie ułożyło, że w kawalerkach zamieszkali przeważnie inteligenci, inżynierowie, urzędnicy, lekarze z Ubezpieczalni, a w większych mieszkaniach (trzy- i czteropokojowych) rozłożyli się właściciele sklepów, bogaci mecenasi i grubsi dyrektorzy grubszych „spółdzielczych" przedsiębiorstw. Zarządzali spółdzielnią i statut wymyślili chytry: płać od łebka, a nie od pokojów. Wszystko jedno: czy zajmujesz izbę czy rozpierasz się w salonach. Więc podnajemcy podnieśli gwałt. Krzyczałem najgłośniej, uważając, że trzysta tysięcy wystarczy. Zapożyczyłem się na mieszkanie w wydawnictwach i w Zaiksie i nie miałem ochoty dorzynać się do reszty. Po zebraniu podeszła do mnie pani Ciepko, która dowiedziawszy się, że jestem dziennikarzem, a nawet że piszę książki, postanowiła mi wytłumaczyć tajniki administracji. Od niej też dowiedziałem się o panu Stasinku: „Może by pan pomógł interweniować w takiej a takiej sprawie?" „W jaki sposób, szanowna pani?" „Na pewno zna pan Naczelnego Prokuratora!" „Nie, niestety, nie znam." „Pisze pan i pan nie zna? To co pan pisze?" „Takie prawdziwe historie.." „To może pan tę historię opisze? Dorotka panu wszystko opowie. Jak się ludzie dowiedzą, to na pewno pomogą. To przecież taki porządny człowiek! Opisze pan?" „Dobrze, opiszę", odpowiedziałem i oto spełniam obietnicę. Więc jakże z tą Ciepko? Zadziała?

— Pani Ciepko obiecała, że wynajmie najlepszego adwokata — powiedziała pani Dorota. — Będziemy obie na rozprawie w B.

— Jeździłem tam parę razy tego lata. Za parę dni znowu się tam wybiorę — powiedziałem. — Interesują mnie państwowe nieruchomości ziemskie. Zagadnienie sabotażu. Powłóczę się trochę po okolicy, pogadam z ludźmi. Taki mały urlopik.

— Tak, tak, dziwny jest ten świat — westchnęła ciężko pani Dorota. — Jednemu urlop, a drugiemu... Wstąpi pan do nas? Będziemy w hotelu, mieszkanie opieczętowano.

— Naturalnie, że wstąpię! Postaram się wszystko zobaczyć!

— Niechże się pan rozejrzy. Na pewno zna pan prokuratora Zabiegę?

— Robiło się kiedyś reportaż z fabryki włókienniczej w B. i trochę znam miasto — odparłem wymijająco.

— A natknął się pan na niejaką Józefkową z Komitetu Wojewódzkiego PPR? To żmija! To ona z tymi Pokrzywkami...

— Byłem z nią raz na folwarku Pokrzywki. Jeszcze na wiosnę. Straszne rzeczy tam się działy. Maszyny na deszczu, pola nie zorane, a mieszkania ludzi! Eh, pani Doroto! Trzeba tam samemu pomieszkać!

— Ale po co oni mówią, że to wina pana Stasinka? Wszystko Stasinek i Stasinek.

— Ale konie z Pokrzywek sprzedał, prawda?

Pani Dorota umilkła, z lekka urażona. Pomilczawszy chwilę, rozwinęła z papieru białe goździki i wetknęła je we flakon na półce z książkami.

— Tu im będzie lepiej niż w kwiaciarni. Zapomniałam panu powinszować, a przecież wczoraj były pana imieniny. Właściwie po to przyszłam, a zanudzam pana swoimi sprawami. Ale nie wie pan, jak to człowiek w zmartwieniu? — uśmiechnęła się filuternie.

— No, tak pani Doroto — powiedziałem, przerywając krótkie milczenie, które zapadło znowu po podziękowaniach.— Ale, jak pani myśli, co to będzie z tych koni? Co właściwie pozostaje panu Stasinkowi?

— Śmierć — odpowiedziała pani Dorota i znów zapłakała bardzo żałobnie.

BIEDNA PANI DOROTA

Biedna pani Dorota! Świat zwalił się na nią z hukiem jak wodospad, nastała martwa ciemność jak w zasypanym schronie. Można było jęczeć, błagać i rozpaczać, ludzie byli głusi jak więzienie.

Zanim się wydarzyło to nieszczęście z panem Stasinkiem, pani Dorota żyła w spokoju i zapomnieniu od ludzi. Czasu wojny pan Stasinek, naówczas skromny urzędniczek warszawski, dorabiający handelkiem, daleki jej kuzyn zresztą, którego przed wojną omijała z daleka, uratował jej życie, wyciągnąwszy ją przez wiadome stosuneczki z warszawskiego Pawiaka, gdzie usiadła z łapanki ulicznej. Za to przywiązała się do niego bardzo serdecznie i odwzajemniła mu wielokrotną, tajoną miłość. W powstaniu pan Stasinek stracił mieszkanie i mebelki, ale ocalił trochę uhandlowanego złota, wykupił się wraz z panią Dorotą z Pruszkowa, przycupnął na wsi podstołecznej, a kiedy wojna się skończyła, zostawił pani Dorocie parę złotych na przeżycie, a sam kropnął się na Ziemie Odzyskane, aby się *rozfartować*. Jakoż wrócił po dwu czy trzech miesiącach, dostojny, władczy, bogaty. Od razu stał się dygnitarzem: kupił jej na Mokotowie słoneczne i przytulne spółdzielcze mieszkanie, pachnące świeżym tynkiem i bzem, rozkwitłym w ogródku pod oknem. Mieszkanie to (dwa pokoje, łazienka, wykładana kaflami, piękny korytarz, kuchnia, nisza dla służącej, wszystko służbowo zapisane na pana Stasinka) zaludnił pan Stasinek stylowymi meblami z pałacu junkra pruskiego, przyozdobił kryształami, porcelaną, obrazami, dywanami i obrusami, rozweselił gustownym radiem szafkowym, wymościł bielizną i pościelą, zdartą z zasobnych domów mieszczańskich na zachodzie — i ubierając panią Dorotę z serdeczną troską od majtek aż do pelisy, otulał ją przed mroźnym i nieżyczliwym światem czule jak śnieg otula wątły kiełek pszenicy.

Jakże smaczne, jakże lekkie, jakże usłużne, pogodne i rozrzewnione są te cudowne zakąski, płytkie zupki w ogrzanych talerzach, kotleciki, udka, skrzydełka, zlatujące z wiotkich dłoni kelnera jak gołąbki! Ileż odcieni goryczki i słodyczy, cierpkiej siły i pieszczotliwej słabości mają te wszystkie wina, których pochodzenia, koloru i smaku nawet pan Stasinek nie umiał wyliczyć! Ileż miłosnego uroku, obietnicy wstydliwej nocy wyziera z blasku matowych świateł kawiarni! Jakże piękne są falujące równiny, przecinane samochodem jak łódką! Jakże miękki asfalt, rozgrzany w letnie południa, jakież zabawne niespodziewane zakręty, podjazdy i spady górskich szos! A nade wszystko — jakże mądry i mocny jest ten człowiek, mężczyzna na sto dwa, szanowany i wzbudzający przestrach, który ją unosił jak anioła między ziemią i niebem i składał na łoże ostrożnie jak studolarówkę!

Nie mogłem się powstrzymać od chęci zapoetyzowania. My, dziennikarze, nie mamy czasu zawodowo uprawiać poezji; od tego są — jak wiadomo — poeci. Każdy z nas ma swój dział; jeden robi gospodarkę, drugi redaguje depesze, trzeci zbiera wiadomości z miasta. Gazeta — to nie tomik Kubiaka; trzeba pisać rzeczowo i zwięźle. To też poetyzujemy sobie poza redakcją, prywatnie. Zwłaszcza, gdy piszemy o miłości. Tak się usprawiedliwiwszy, wracam do opowiadania.

Przez długie miesiące sumienie żony nie dawało pani Dorocie spokoju. Mąż pani Doroty, znany przed wojną adwokat, radca prawny wielkiego kartelu zagranicznego, zakochany w niej do szaleństwa, ale traktujący ją „jak kokotę" — uciekł we wrześniu z Polski, zabierając papiery firmy i zostawiając żonę, która nie zdążyła na czas z letniska. Przez Rumunię zwykłym szlakiem przedostał się na Szwajcarię, gdzie miał znaczny kapitał w banku; powiększył majątek na mniej i bardziej legalnych dostawach, wojennych spekulacjach i machinacjach z agentami firm niemieckich, korzystając z kontaktów osobistych i powiązań politycznych. Z Genewy paczkami, pieniędzmi i dobrymi radami pomagał żonie spokojnie przesiedzieć okupację i mieć oko na jego podwarszawskie posiadłości, jakieś rozległe parcele i place, na których niegdyś miano stawiać fabrykę samochodów, doprowadzić do niej bocznicę kolejową i zbudować szosę. Kiedy się wojna skończyła i poczta (państwowa i ta inna) zaczęły jako tako działać, pan mecenas Umiastowski nie przestawał namawiać pani Doroty, aby się do niego przedostała. Wskazywał jej pewnych ludzi i bezpieczne szlaki. Zrezygnował z parceli i placów; przyjaciele szwajcarscy uświadomili go, że rewolucji nikt nie zdławi zbrojnie; co najwyżej można spróbować sabotażykiem i dywersyjką. Otrzymawszy dobre rady męża, pani Dorota wahała się, kręcąc w palcach świstek papieru. Nie była już pierwszej młodości i znając dobrze wymagania adwokata, obawiała się konkurencji szwajcarskiej. Pragnęła także troszkę się potargować i wymusić konkretniejsze zapewnienia niż miłość i przywiązanie. Żal jej było również pana Stasinka, który z dnia na dzień rósł w znaczenie i coraz zapamiętalej ją kochał. Iście gordyjski węzeł uczuć! Odpisała tedy, że się boi ryzykować, że będzie „tęsknić za starą, ukochaną, bohaterską Warszawą, której losy do końca dzieliła", że na razie nie ma na podróż pieniędzy i że zaklina go na ich miłość, aby powrócił i oddał siły krajowi na pożytek. Na pewien czas mam spokój, pomyślała ucieszona, wysławszy list pocztą pantoflową. Wilk syty, koza cała i kapusta nieruszona. Ku przerażeniu kapusty koza nagle stanęła przed nią. Pan mecenas poradził się swoich przyjaciół i otrzymawszy pouczenie, przeszmuglował do kraju trochę obcej waluty, dolarów, funtów i franków na założenie przyzwoitego, solidnego gabinetu adwokackiego. W ślad za gotówką sam pojawił się nagle w Warszawie. Zeszli się jego tutejsi przyjaciele i przy okazji zdali mu wyczerpujące relacje z poczynań pani Doroty i pana Stasinka. Znawcy stosunków politycznych nie radzili mu jednak zadzierać z prezesem, który ponoć ma wpływy w całym województwie B. i nieliche chody u władz centralnych; przeciwnie należało nawiązać kontakt z panem Stasinkiem. Również nie ma co oburzać się na panią Dorotę. Któraż kobieta postąpiłaby inaczej? Poza tym taka kobieta każdemu wlizie do łóżka i chętnie da kontakt; potem odejdzie, a kontakt zostanie. Pan mecenas niezupełnie był zadowolony z wytycznych, ale zagryzł ze złością wargi i wezwał żonę na rozmowę.

— Moja droga, nie biorę ci niczego za złe, bo kobiecie w twoich latach i z twoim charakterkiem trudno wytrzymać bez mężczyzny; zresztą ja także na emigracji nie tylko myślałem o ojczyźnie — powiedział jej prosto z mostu pan adwokat, zaprosiwszy panią Dorotę do wyremontowanego, czteropokojowego mieszkania na Mokotowie. Zajmował cały parter willi, okna kazał okratować, drzwi obić od wewnątrz żelazną blachą. — Nie zamierzam ciebie prosić, abyś tu zachodziła pomieszkać na godzinkę, zbyt szanuję twoje nowe uczucia. Sam żywię dla ciebie pewien sentyment. Mój Boże, tyle lat człowiek żył razem i na starość musi się rozłączyć!

— Wiesz, że mi też nie lekko — szepnęła pani Dorota. Rozglądała się z zaciekawieniem po bogatym gabinecie. Gdzie on dostał takiego Podkowińskiego? pomyślała z podziwem. Znała się trochę na obrazach; przed wojną adwokat to i owo miał w galeryjce. Mecenas pochwycił jej spojrzenie.

— Urządzam się na na razie, jak widzisz. Ze smakiem, powoli, mam czas. Więc do rzeczy. Daję ci, no, powiedzmy, pół roku do namysłu. Nie jestem już w tym wieku, kiedy bez kobiety nie można dnia wytrzymać. Jeżeli przekonasz się, że obowiązki żony są ważniejsze niż przygodny kochanek, to mieszkanie czeka na ciebie, a w przyszłości może i samochód. Ponadto dostaniesz sto tysięcy miesięcznie na własne rozrywki, ale już nie te, którym się teraz oddajesz. Tego nigdy nie znosiłem, to wiesz. Za parę lat zresztą zestarzejesz się i kochanek ciebie rzuci. Nie będzie mu wypadało obnosić się na wysokim stanowisku ze starą żoną, w dodatku tak podejrzanej konduity jak twoja. Zobaczysz, że będą mu patrzeć na palce i zmuszą, aby żył z pensyjki służbowej. A jak się nie ma pięknej kochanki, to po co stara żona? Wtedy znowu przyjdziesz do mnie, ale już będzie za późno. Nie potrzebujesz od razu się decydować; ale pomyśl. Kiedy się przyjdzie wiać znowu, a na pewno trzeba będzie, dobry interes nie trwa wiecznie, zabiorę cię z sobą, zobaczysz.

Tu pani Dorota uśmiechnęła się niedowierzająco, ale mecenas Umiastowski zdusił ogarek w popielniczce i spokojnie ciągnął:

— Jeżeli zaś pragniesz prowadzić dalej żywot emancypantki, to pamiętaj, że ja ci rozwodu nie dam, a nie myślę, żeby przyszłemu dygnitarzowi było przyjemne cieszyć się procesem rozwodowym i chwalić się, że zabrał żonę mnie, który musiałem przebywać na obczyźnie. Kobietę o zabazgranym pochodzeniu społecznym! Która podczas wojny spała z kim się dało!

— Nie zapominaj, że jestem twoją żoną — powiedziała sucho pani Dorota.

— Nie zapominam, najdroższa — rzekł pan mecenas Umiastowski. Pochylił się nad biurkiem i ująwszy jej rękę, pocałował czule gładką, wypielęgnowaną dłoń. — Więc namyśl się. Żeby zaś ci ułatwić rozmyślania wyznaczam ci tymczasem czterdzieści tysięcy pensji miesięcznie, które pobierać będziesz u mego aplikanta w pierwszy piątek każdego miesiąca. A teraz pozwól — rzekł, dźwigając się ciężko z fotela — że ci ucałuję obie rączki na pożegnanie.

Odprowadził ją na korytarz, podał jej futro i zamknął za nią okute żelazem drzwi. Założywszy łańcuch, kazał służącej wygrzać łóżko, wykąpać się i przynieść wino do sypialni. Stary pan krew miał gorącą, wcale a wcale nie adwokacką.

Wsunąwszy się tego wieczoru pod świeże prześcieradło, wciągając z rozkoszą wilgotny i ciężki zapach lipcowej nocy, szumiącej za otwartym oknem jak dojrzałe zboże — pani Dorota podłożyła dłonie pod głowę, zanurzyła leniwie palce w bujne, sypkie soloty włosów i zaczęła swoje rozmyślania. Ważyła swoje szanse ostrożnie jak aptekarz. Kiedy uczuła, że jej jeszcze młode i powabne ciało powinno należeć do zdolnego, energicznego prezesa, przyszłego posła, wojewody, a może (kto wie!) nawet więcej a nie do starego adwokata, któremu prędzej czy później ograniczą praktykę i dobiorą się na siłę do pieniędzy jak do puszki konserw i kiedy uśmiechając się mściwie na myśl o rozwodzie pani Dorota zgasiła papierosa i podkurczyła nogi do snu — wtedy w wojewódzkim mieście B. pan Stasinek przeciągnął się na twardej ławce aresztu i poprosił pilnującego go milicjanta o połówkę papierosa.

ŚMIERĆ FRAJEROM (POCZĄTEK)

Poznoszono księgi, rachunki, asygnaty i protokoły; zamówiono na parę nocy buchalterów, przysięgłych i ekspertów; przesłuchiwano cierpliwie administratorów, kierowników, zarządców i magazynierów, właścicieli barów i restauracji, szoferów i robotników rolnych; wzywano członków Zarządu i Stronnictwa; dyskutowano sprawę w odpowiednim wydziale Komitetu Wojewódzkiego PPR i na komisji międzypartyjnej; wyjeżdżano komisyjnie w teren, udawano się do Warszawy i tam przeglądano sprawozdania Zarządu, które układał i podpisywał prezes; wykrywano w nich sporą dozę fantazji, sprytu i polotu; gromadzono dzień po dniu coraz większy materiał dowodowy — i tak opukiwano sprawę jak zwietrzały mur przez parę najpiękniejszych tygodni lata. Tymczasem zaś cała biedota w majątkach rolnych, należących do związku i cały aktyw w B. odetchnęli po upadku pana Stasinka i śmieli się z tej ślicznej fuzji trzylufowej, tzw. drylingera, który zresztą nie strzelał, był zepsuty na amen, ale stał się jedna z przyczyn nieszczęścia narówni z dziesięcioma funtami czarnej, niemielonej kawy. Były i inne powody, ale z tych się już nie śmiano. Drylinger świadczył, że związek idzie na udry z bandami. Stał w szafie w sekretariacie związku; szafa się nie domykała i interesanci wychodzili z lokalu pod wrażeniem ostrego pogotowia bojowego. „Pilnuje się, bestia, ten pan Stasinek. Leży na forsie państwowej jak pies", mówili z uznaniem. Z kawą było nieco inaczej: myszkując po zameczkach po junkrowskich, pan Stasinek obok wielu pięknych mebli, które ciężaróweczką poszły do Warszawki, znalazł przypadkiem w śpiżarni dziesięć funtów tego towaru. Nie oddał jej do stołówki, gdzie by się na kawie i tak nie poznali, lecz do restauracji. Kierownikowi magazynu przy stołówce nie było to w smak. Wolałby kawę protokularnie sprzedać, ale pomyślawszy, zamknął szczelnie gębę. Niechnoby spróbował zadrzeć z panem Stasinkiem!

Bo wreszcie trzeba wam wiedzieć, że pan Stasinek prezesował związkowi zawodowemu pracowników samorządowych i pełnił z jego ramienia ważne funkcje w B. Jak to się popularnie mówi, trząsł całym B. Chociaż nie był w PPRze, ale u chłopów, był za pan brat z niejednym partyjnym, wszystko załatwiał na gębę, zaufanie za zaufanie. Należało mu się; ostatecznie, przyjechał jeden z pierwszych na ziemie zachodnie, organizował władzę w B. i kiedy podpił, to zawsze mówił, że się najlepiej czuł jako pionier. Wystarał się dla związku o kilkanaście majątków rolnych, którymi zarządzał z niewyczerpaną energią. Rozprowadził hodowlę duńskich koni, w lasach urządził tereny łowieckie. Zwierzyny było w bród, a dostojników-myśliwych jeszcze więcej. W mieście pan Stasinek założył stołówkę, projektował żłobek dla dzieci i dom dla pracowników. Niestety, majątki nie odpalały dochodu, trzeba było dopłacać robotnikom i fornalom. Również politycznie pan Stasinek przeszedł, jak to się zwykło podkreślać, ewolucję. Jeszcze w referendum prowadził agitację dla PSLu, ale tuż przed wyborami zerwał z reakcją i przeszedł do Nowego Wyzwolenia. Chciano, aby kandydował z listy tego Stronnictwa, ale opozycja bloku była zbyt silna i pan Stasinek ustąpił zaszczytu innemu, sam zapewniając sobie eksponowany urząd prezesa. Liczył, że gdy kolega-poseł wyfrunie do Warszawy, on zajmie jego mieszkanie i odziedziczy godności w terenie, a udeptawszy grunt pod nogami, podskoczy wyżej w następnych wyborach. Przenosząc się do stolicy, koleżka pożyczył z kasy związkowej okrągłych parę tysięcy na pokrycie swojej sprawy rozwodowej (porzuciwszy żonę, żenił się z sekretarką), a na zastaw dał dwie fuzje, które mu niegdyś podarował tenże związek. Dwururkę oddano do majątku: drylingera powieszono w sekretariacie.

Krótko i węzłowato: pan Stasinek determinował poważnie życie społeczno-polityczne w B. Stąd stale był w rozjazdach. Auto służbowe, drogi asfaltowe, więc się nie przemęczał. Regularnie wizytował folwarki i majątki, aby zaś utrzymać kontakt osobisty z Warszawą, niewcłany jeździł na konferencje do stolicy i przywoził z niej najświeższe anegdoty antyrządowe. Rachunki pokrywał związek. Ponieważ jednak skarbnik był formalistą, do tego trochę chorowitym, więc pan Stasinek urządził go gdzie indziej. Sam objął jego funkcję i nie bawiąc się w biurokrację, akceptował wystawione przez siebie asygnaty. Kasjer, niejaka Teresa S., honorowała wszelkie kwity pana prezesa. Niechnoby spróbowała inaczej!

Tak minął roczek jeden i drugi. Państwo się umocniło, zwalczono bandy, zabrano się do Planu; rosły fabryki, domy i — ludzie. Ale majątki pana Stasinka nadal nie przynosiły dochodu i za każdy wóz kapusty, który szedł do stołówki urzędniczej, trzeba było przesyłać administratorom pieniądze na wypłatę pensji. Z zameczków junkrowskich zginęły naczynia, meble, dywany, posadzka. Zostały gołe, odrapane, samotne ściany, w których hulał wiatr. Za to u niejednego gościa w Warszawce można było spotkać porcelanę, obrazy, a nawet trofea myśliwskie z B. Pan Stasinek miał stosunki.

Nie było go całą zimę w B. Przeżywał z panią Dorotą najpiękniejsze miesiące swego życia w Zakopanem, dokąd udał się salonką rządową i zamieszkał — niewiadomo czemu — w pensjonacie dla pracowników filmowych. Pani Dorota pięknie jeździła na nartach; pan Stasinek czynił wysiłki, aby jej sprostać. Gdzie się poruszył, spotykał znajomych i przyjaciół, którzy głośno zazdrościli mu szykownej *kobity*. Wreszcie przynaglony depeszami i listami, zostawił panią Dorotę w „Wersalu" i sypialką wrócił do B.

Tak się złożyło, że pod nieobecność pana Stasinka zmieniono nagle w B. Komisję Specjalną, na której czele stanął młody, przybyły z Łodzi prokurator Zabiega. Kawaler, mający na utrzymaniu starą matkę, rodem ze wsi góralskiej. Od razu powiało w miasteczku nieprzyjemnym chłodkiem: prokurator nie pił, za dziewczynkami w stołówce związkowej się nie oglądał (a było za czym), do baru hotelowego nie chodził, nie pokazywał się prawie wcale w kolejowej restauracji pana Olejnika. Czasem tylko, gdy miał nagłe sesje wyjazdowe, wpadał po kilka kanapek na drogę. Lubił natomiast rozmawiać z „ludźmi", łaził na wszelkie zebrania, budził zgorszenie swoimi przyjaźniami z załogą elektrowni i gazowni; włóczył się zapamiętale po okolicy. Mówiono, że to góralskie nawyczki ciągną faceta za miasto. Roboty miał sporo i wsadzał, aż się kurzyło. Przymknął jedną bimbrownię, znalazł mały składzik na stryszku u aptekarza, podkręcił, jak to się powiada, kilku hurtowników, przetrząsnął piwnicę restauratora Olejnika i odebrał mu chęć oszczędzania, zagnał paru spekulantów do obozu pracy i jakoś niechcący zawadził o gospodarkę w związku samorządowców. O tej gospodarce głośno już było w miasteczku, chociaż otwarcie nie mówiono jeszcze nic. W dniu, kiedy spaliły się zabudowania folwarku Pokrzywki, przybyła stamtąd delegacja fornali, aby na zebraniu aktywu partyjnego elektrowni postawić sprawę lekarstw dla majątku. Elektrownia opiekowała się majątkiem i brała udział w jego życiu społecznym. Pokrzywki należały do związku zawo-

Rys. JULIUSZ KRAJEWSKI

„Śmierć frajerom!"

dowego samorządowców, ale związek rozłożył ręce. Brak funduszów na lekarstwa, powiedział jesienią pan Stasinek i sprawę załatwił odmownie. „To jak to? Nic nam się nie należy?" — mówili z goryczą delegaci fornali. „Tylko pracuj i haruj, a taki łajdak będzie się po Polsce rozbijał z babą? I nikt mu na palce nie patrzy? Dla niego pieniądze są? Wolno mu przyjeżdżać z kim zechce i każdemu mówić: „Śmierć frajerom?" Wylegiwać się w pałacu z kobitką? A porośnięte badylem do pasa. W badylach ludzie. Łażą po polu, zginają się, prostują, jakby coś zbierali. „Zwariowali widać" powiedział mój szofer i zatrzymał się na skraju drogi. Wysiadam, idę w pole. „Ludzie dobrzy, co wy robicie?" „Buraki cukrowe zbieramy", odpowiadają chórem. „Gdzie? W badylu?" „A czemu nie, jak płacą?" „Pokażcież te buraki!" Pokazują mi. Małe jak mysie ogonki. Rzodkiewka jest już większa. I tak na całym polu, pięć hektarów.

tem rączki rozkładać, jak się do niego przyjdzie? Przyjedźcie, towarzysze, zobaczcie te spalone budynki. Czort się w tym nie rozbierze."

Po południu naczelnik wydziału z urzędu wojewódzkiego UB, towarzyszka Józefkowa z Komitetu Wojewódzkiego Partii i prokurator Zabiega wsiedli w samochód i wraz z dziennikarzem, który przypadkowo bawił w B. udali się do Pokrzywek.

— Pechowe majątki! — powiedział prokurator Zabiega, kiedy wyjechali za miasto. — Ziemia nie rodzi, bydło marnieje, a teraz jeszcze te dzieci. Brak przedszkola!

— Co się tyczy przedszkola, szanowny towarzyszu, tośmy je założyli — odparła towarzyszka Józefkowa. Pochodziła z Zagłębia; rodzina od trzech pokoleń socjalistyczna. Dziad zginął w 1905; ojciec za sanacji wypluł płuca na Świętym Krzyżu, ona za okupacji przejechała się przez kilka obozów. Teraz wysłała ją Partia na drugi koniec Polski. Robota partyjna była dla niej zwykła jak dom: pokój jej w Komitecie stale pełen był matek, nauczycieli, chłopów, robociarzy. Udzielała rad i miała dobry zwyczaj doprowadzać każdą sprawę do końca. Jak to mówiła pani Dorota? Że jest żmiją? Jeżeli tak, to musiały jej się bać reakcyjne żaby, myszy i jaszczurki. Uśmiechnęła się młodo i dodała: — Jakoś towarzyszu prokuratorze, ze wszystkimi ludźmi gadacie, a do mnie drogi nie znaleźliście. Myślicie, że wychowanie to pies?

Ostatnie zabudowania miasta zostały za nami, wyjechaliśmy między wiosenne, surowe pola. Powiał ostry, kwietniowy wiatr, niosąc zapach butwiejących liści i rozgrzanej, wilgotnej, płodnej ziemi.

— I przedszkolanka jest, dziewczyna młoda, niedoświadczona, prosto z miasta. Boi się dziecka tknąć — ciągnęła dalej Józefkowa. — Wiecie: co wychowamy człowieka, to go nam zabierają albo do Warszawy albo na inną robotę. A czasem to i sam odchodzi. Wiecie, jak to z ludźmi. A jeśli idzie o majątki związku samorządowców, to trochę jeżdżę po terenie, przyglądam się gospodarce to tu, to tam i gdzie tylko co złego, zawsze natrafiam na ślad naszego pana Stasinka. Już się towarzysze ze mnie śmieją i radzą mi, żebym wyszła za niego zamąż. Pewnie się w nim kocham, powiadają.

— A jak jest naprawdę? — zapytał z uśmiechem dziennikarz.

— Za mało kontrolujemy pracę ludzi i wierzymy im na gębę — odpowiedziała towarzyszka Józefkowa. — Oto, jak jest naprawdę. Więc kiedyś byłam w Dukształch. Majątek o jakie dwadzieścia kilometrów stąd. Jesienna orka. Traktory chodzą po polu. Ale choć jestem z Zagłębia i widziałem więcej kominów niż zagonów, coś mi się to oranie nie spodobało. Zatrzymuję wóz, wysiadam, przyglądam się skibom. Jedna od drugiej o dobry metr, stoją na sztorc, a traktor zagarnia ziemię aby szybciej, aby więcej. Pytam: Obywatelu traktorzysto, czy tak was uczono orać? Nie, odpowiada, ale tak kazał administrator. Idę do administratora. Nie chciał gadać, taki był ważny, ale zmiękł. Mówi: to pan Stasinek kazał. Wypełnić plan, zaorać na oko, a potem, mówił, jeszcze się raz do tego weźmiemy. Administrator wyleciał, pan Stasinek został.

— To nie jest tylko sprawa pana Stasinka — mruknął naczelnik z UB. — Trzeba ruszyć całe kumoterskie gniazdo. A gniazdo wisi wysoko. Nie zawsze można się wdrapać do niego.

— Wdrapiemy się! — powiedział optymistycznie prokurator Zabiega. Rozwinął z papierka bułki z masłem i pasztetem i poczęstował współtowarzyszy. — Przyzwyczajenie. Nie mogę jechać na głodnego.

— Wiadomo, że się wdrapiemy! — odmruknął naczelnik. — Tylko trzeba popluć w łapy.

— Albo jestem w innym majątku — mówiła dalej towarzyszka Józefkowa. — Znowu na jesieni ubiegłego roku. Deszcz, plucha, psa nie wygoń. Widzę pole, za-

„Jakto, nie obrodziły?" „E, to nie dlatego. Pola nikt nie oczyścił z chwastów, to i zarosło. Zagłuszyło". Pan Stasinek znowu zlekceważył. Miał przysłać pomoc z miasta. Nikogo nie przysłał, administratorowi powiedział: „Śmierć frajerom! Radź sobie sam!" Administrator radził, jak mógł, sprzedał co mógł, uciekł i teraz szukają go po Polsce. A pan Stasinek siedzi spokojnie w Zakopanem. Rozumiecie już, czemu majątki dochodu nie dają i zamiast mobilizować masy są zarazą?

— Rezerwat pana Stasinka — mruknął naczelnik z UB. Samochód wszedł w głęboki las, ulubione tereny łowieckie prezesa. Droga schodziła w dół i okrążywszy puszczę, wpadała do łagodnej doliny. W dolinie świeciły się białe zabudowania dworskie, czerniały czworaki za sadem. Czarna rzeczka wiła się w dolince, wezbrana wiosennym przypływem. Samochód przemknął się przez mostek, wyminął bramę sadu i zatrzymał się przed dworkiem. Przyjechali.

— Ależ, proszę państwa — mówił przywitawszy się zarządca, wąsaty bałaguła o poczciwym, psim spojrzeniu — oczywiście, to brak dozoru z naszej strony. A czyż ty, mileńki, możesz wszystkiego upilnować? Sam, swoimi rękoma? Chłopi potępili to na swojej partii, lecz co z tego? Próżne gadanie!

— A budynki się spaliły, co? — zagadnął naczelnik z UB.

— Widzicie, panie, dzieci nie są pilnowane w domu. Fornal idzie do roboty, to wetknie dzieciakowi coniebądź do rąk, żeby się nie darło. Ot, i wetknął któryś zapałki. Dawniej, jak chłop, bywało, dzielił zapałkę na czworo, to ognia było mniej.. Dobro swoje szanował. Ale teraz, jak chłop się dorwał do kultury to jak do wody sodowej. Wszystko się może zdarzyć.

— Tak, tak, wszystko może się zdarzyć, jak się chłop dorwie do kultury — powiedziała w zamyśleniu Józefkowa.

Obejrzeli zabudowania dworskie, spalone do fundamentów. Część bydła wyprowadzono, część się spaliła. Naczelnik z UB chodził po zgliszczach i w zadumie grzebał końcem buta w popiołach. Nad ranem spadł deszcz i nawet głownie pachniały wiosną. Patrzeć, a śniegułki polne i przylaszczki wyjrzą na łąkach.

— A to ciekawe, towarzyszko Józefkowa — powiedział spokojnie, otrzepawszy buty — że parę koni znikło jak kamfora. Spaliły się na popiół czy co?

— On mówi, że stały koło szopy z sianem. Tu najdłużej szalał pożar.

— Wszystko razem kupy się nie trzyma. Tylko w powieściach o dobrych pa-

nach spotyka się motyw podpalenia przez dzieci budynków. Ale żeby akurat w Polsce Ludowej, akurat na wsi, akurat w majątku związkowym, akurat w Pokrzywkach, gdzie jest taka zaśmiana gospodarka, gdzie toczy się taka zaciekła walka klasowa, żeby tu dzieci ni z tego ni z owego bawiły się ogniem — nie, wybaczcie, nie nabierajmy się na stare konwencje literackie! Gdzież socjologiczna konstrukcja losu ludzkiego?

— To wy czytacie „Kuźnicę", towarzyszu? — zapytał przerażony dziennikarz.

— A co robić w takim miesteczku? — machnął dłonią naczelnik. — Jak byłem w I Armii, to nawet wiersze pisałem. Literat, można powiedzieć. Polazł powoli przez podwórze i wszedł między zabudowania fornalskie.

— Nie przyjeżdżał tu kto? Jesienią? Może latem? Może w zimie?

— Pan Stasinek przyjeżdżał.

— A więcej nikt?

— Pan Stasinek przyjeżdżał samochodem z jakimiś panami.

— Swoim samochodem?

— E tam, swoim! Innym, wielkim, zielonym.

Naczelnik wyjął z portfelu zdjęcie Chevroleta i podsunął gospodarzowi pod oczy.

— Takim?

— Takim.

— A o czym gadali?

— A kto ich wyrozumie? Obcym językiem. Ludzie mówią, że to panowie z zagranicy.

— A co było napisane na samochodzie?

— E, a bo on taki głupi, myślicie? Numer był okręcony szmatą.

— Cholera! — powiedział naczelnik i podrapał się po głowie. — Dzieci, psiakrew!

Poczęstował gospodarza papierosem i sam zapalił. Pomilczeli chwilę, zaciągając się dymem. Potem podali sobie ręce i każdy wrócił do swojej roboty.

Tymczasem administrator zachwalał przed Józefkową akcję lekarską:

— Niech ludzie gadają, co chcą, a przecież związek zrobił dla nich naprawdę bardzo dużo. Sam pan Stasinek dał lekarstwa, przysłał lekarkę z powiatu; raz był u nas ambulans dentystyczny. Urządziliśmy wzorowe przedszkole. Niedawno, ale jest. No, i mieszkania ludziom mieliśmy postawić. W planie było. Nawet kredyty dostaliśmy. Cóż, kiedy znowu to nieszczęście z pożarem.

— Chodźmy do przedszkola — przecięła krótko Józefkowa.

Poszli gromadą. Zgięli się w niskich drzwiach i weszli do brudnej izby. Dawniej — jadalni pańskiej. Na ich widok przedszkolanka, młoda, hoża dziewczyna, zerwała się z ławki. Dzieci stanęły w kole i urwały w pół słowa piosenkę: „A jak przyjdzie słońce i pogoda". Z sufitu zwieszały się kolorowe serpentyny, pozostałość z karnawału. Ze ściany spoglądał sowim okiem wymalowany kredkami orzeł. Józefkowa, przywitawszy się z dziewczyną, uklękła przy dziecku, które siedziało na ławce i wzięła jego rączki w swoje dłonie. Przesunęła palcami po ramieniu dziecka i delikatnie rozpięła mu kubraczek i zdjęła koszulkę. Nagle wstała, podniosła dziecko i powiedziała:

— Patrzcie, jak skutkują lekarstwa pana Stasinka.

I pokazała im plecy dziecka, pokryte strupami zastarzałego świerzbu, zaklejonymi strzępami papieru.

— Kwalifikuje się? — zapytał prokurator Zabiega naczelnika z UB.

— Wasz resort — odparł tamten.

— No, to zabieraj się, kochaneńki, z nami — powiedział śpiewnie prokurator Zabiega do oniemiałego administratora i zatarł ręce. — Pomieścimy się w aucie wszyscy.

W milczeniu wsiedliśmy do samochodu i wyjechaliśmy za bramę.

— Jak to powiada pan Stasinek? — przypomniał sobie prokurator, gdy wyjechaliśmy na wzgórze i pożegnalnym spojrzeniem obejmowaliśmy folwark Pokrzywki. — Śmierć frajerom, mówi on? No to: śmierć frajerom!

Tadeusz Borowski

Ilustrował Juliusz Krajewski

(Dokończenie w następnym numerze)

ALEKSANDER WOŁOŻENIN

Homer XX wieku

Dżambuł Dżabajew

W roku 1936 odbywała się w Moskwie dekada sztuki kazachskiej. Była to jedna z tych pamiętnych dekad, które po raz pierwszy organizowano w ZSRR jeszcze przed wojną. Wśród uczestników dekady zwracał na siebie uwagę barczysty, przygarbiony, opierający się na lasce staruszek. Był to ludowy poeta Dżambuł. Powoli przebierając palcami po strunach poczerniałej ze starości dombry*) śpiewał o słonecznym Kazachstanie, o szczęśliwym życiu, o odzyskanej na nowo młodości. Młodzieńczo, rzeźko i mocno dźwięczała pieśń staruszka akyna**); płynęła jak bystry potok górski skrzący się szmaragdowymi kroplami; czarowała oryginalnością poetyckich opisów, bogactwem barw, głębią treści. Słuchacze i czytelnicy należycie ocenili poetycki talent pieśniarza. Rząd radziecki odznaczył Dżambuła Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy. Jego natchnione pieśni zaczęły ukazywać się w prasie i wychodzić w wydaniach książkowych. Dżambuł stał się jednym z najpopularniejszych poetów Związku Radzieckiego.

Głęboko pouczająca jest droga życiowa tego obdarzonego wrodzonym talentem pieśniarza improwizatora, który żył prawie sto lat. Urodził się w rodzinie Kazacha-koczownika Dżabaja w lutym 1846 roku. Jurta jego ojca stała u podnóża góry Dżambuł i jej imieniem nazwano nowonarodzonego.

W owych czasach Kazachstan był krainą na wpół pustynną: na jej bezbrzeżnych stepach koczowali Kazachowie — hodowcy bydła. Za panowania ustroju feudalno-rodowego masy ludowe znajdowały się pod władzą despotycznych chanów i bogaczy posiadających niezmierzone bogactwa; żyły w ciemnocie znosząc bezprawie i nędzę. Lud prowadził walkę o niepodległość z dżungarskimi, chińskimi, bucharskimi i innymi zaborcami; później Kazachowie wspólnie z narodem rosyjskim walczyli z carskim samowładztwem. Miejscowi feudałowie, a za nimi carscy urzędnicy dławili każdy przejaw narodowej kultury Kazachów, przepojonej duchem walki o wolność. W pieśniach akynów — twórców jedynej w swoim rodzaju sztuki — lud wyrażał swe myśli i nadzieje.

W takich warunkach okrutnego ucisku społecznego, wojen domowych feudałów i nieustającego ruchu narodowo-wyzwoleńczego rósł Dżambuł i kształtowało się jego oblicze poety demokraty, zawzięcie demaskującego feudalnych możnowładców, namiętnie występującego w obronie uciśnionego ludu.

W dwunastym roku życia Dżambuł nauczył się grać na dombrze, mając lat czternaście wyśpiewywał z początku cudze potem swoje własne pieśni. Muzyczne improwizacje spodobały się młodemu chłopcu, to też wkrótce opuścił dom ojca i został wędrownym śpiewakiem - muzykantem.

Wyrósłszy w rodzinie biedaka, Dżambuł nie miał możności nauczyć się pisać i czytać. Jednakże z chciwością wchłaniał wielowiekową kulturę Wschodu przyswajając sobie z zasłyszanych opowiadań bogatą twórczość ludową. Pamiętał do późnej starości większość legend i podań ludu kazachskiego, tysiące strof z eposu kirgiskiego „Manas", płynnie opowiadał z pamięci wiele bajek z „Tysiąca i jednej nocy".

Konno, z workiem żebraczym, ze starą dombrą Dżambuł odwiedzał auły i schroniska pastuchów, a wszędzie gdzie tylko się zjawił witano go jak najbardziej pożądanego i drogiego gościa. Lud wysoko cenił młodego akyna za to, że nie bał się mówić prawdy, nie przypochlebiał się bogaczom, nie zabiegał o ich względy. Pieśni swe zawsze poświęcał ludowi.

Nigdy me usta pieśnią kłamaną
Nie pochlebiały mułłom ni chanom.
Pieśń moja ludu jest towarzyszką,
Dzieli z nim biedę i radość wszystką.

Kiedyś bogaty hodowca koni Nurtaj upokorzył swego pastucha. Dżambuł w pieśni swej zdemaskował i napiętnował okrutny postępek bogacza. Wtedy to — obawiając się poety — Nurtaj odezwał się do niego: „Nie miałem racji, Dżambule; słowa twe godzą we mnie jak ostrze strzały, zapomniałem już o szkodzie wyrządzonej mi przez pastucha. Porozmawiajmy po przyjacielsku".

„Ja jednak — wspomina Dżambuł — odwróciłem się tyłem do bogacza i oddaliłem się nie rzekłszy ani słowa".

W 1913 roku władze powiatowe miasta Wiernyj (obecnie Ałma-Ata) wezwały wielu wybitnych akynów polecając im, by w związku z trzechsetleciem panowania domu Romanowów ułożyli ody pochwalne na cześć Mikołaja II. Dżambuł nie tylko odmówił ułożenia takich pieśni, lecz na przekór władzom zaśpiewał na uroczystościach pieśń o kazachskich bohaterach narodowych, mężnie walczących z caratem. Z rozkazu rozwścieczonych władz policja pobiła poetę.

Wędrując od aułu do aułu, obserwując życie ludu, Dżambuł wiernie je przedstawiał w swych pieśniach. Z bólem i gniewem śpiewał o cierpieniach, o podwójnym ciężkim uciśku, którego doznawał lud kazachski: ubolewał nad okrutną bratobójczą wojną między Kazachami a Kirgizami, gorzko opłakiwał los nieszczęsnej kobiety kazachskiej, zwracał się z wyrzutami do plemion, które walczyły z sobą o bydło i pastwiska. Na odbywanych z dawien dawna w Kazachstanie poetyckich turniejach akynów, Dżambuł — według słów współczesnych — stale zdobywał pierwszeństwo. Naród uważał go za swego najbardziej utalentowanego pieśniarza.

Idąc śladami wiekowej tradycji, Dżambuł stworzył wizerunki bohaterów, nieustraszonych bojowników o sprawę narodową, b a t y r ó w Utegena i Suranszi, którzy są postaciami historycznymi. Suranszi stał na czele walczących w połowie XIX wieku Kazachów Siedmiorzecza przeciw chanom kokandzkim, a Utegen — słynny bojownik XVIII wieku, wsławił się męstwem i walecznością w czasie kampanii przeciw Chinom i Dżungarii.

Choć Dżambuł nie chciał oddać swego olbrzymiego talentu na usługi bogaczy i w pieśniach swych stale odzwierciedlał troski i dążenia ludu, to jednak nie widział wtedy drogi wyzwolenia spod jarzma gnębicieli. Jego talent, nie mogąc się szeroko wypowiedzieć, zaczynał milknąć. Mając pięćdziesiąt lat, akyn już rzadko kiedy brał dombrę do ręki.

„Gdy miałem pięćdziesiąt trzy lata, było ze mną kiepsko — opowiadał Dżambuł — starość i ciężkie warunki pochyliły mnie ku ziemi i stałem się podobny do starego sokoła. Oczy przygasły, głos osłabł; zamiast dombry trzymałem w ręku kij, zamiast rozległego stepu miałem przed sobą wąskie posłanie; dogasałem nie mając sił, by zaśpiewać ładną pieśń".

Dzięki słynnemu powstaniu Kazachów przeciw caratowi w roku 1916, Dżambuł powrócił do swej ukochanej dombry. Poeta szukający wspólnie ze swym ludem nieosiągalnego dotychczas szczęścia, radośnie powitał poczynającą się walkę orężną; wysławiał męstwo i odwagę powstańców, dodawał im sił, zachęcał do walki, wzywał do zwycięstwa. Powstanie nie udało sie i zostało okrutnie stłumione. Ze smutkiem i goryczą przeżywał akyn tę porażkę i głos jego znowu zamilkł.

Lecz oto po stepach kazachskich rozniosła się wieść o Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej w Rosji. Do aułów wkroczyła Czerwona Armia. Naród kazachski został wreszcie wyzwolony z niewoli bogaczy i carskich satrapów. I wtedy Dżambuł odżył, odmłodniał.

„Ukończywszy siedemdziesiąt lat — wspomina poeta — ujrzałem świetlaną jutrzenkę nowego życia. Na ziemię spłynęła prawda dla wszystkich żyjących istot. Poznałem imię mocarza Lenina i byłem świadkiem zwycięskiego pochodu Czerwonej Armii. Wokół mnie zawrzało takie życie, o jakim śpiewałem w najlepszych pieśniach jak o złotym śnie".

Dżambuł znów ujął w ręce dombrę i z ust jego popłynęła pieśń uduchowiona, namiętna, wzywająca do walki, uderzająca jak grom we wrogów, afirmująca nowe życie:

Październik z wiatrem uniósł me troski,
Radość przybyła w dekrecie z Moskwy.
Świt nowy z nową pieśnią mnie zastał,
Razem z Dżambułem śpiewa Kazachstan.
Odtąd rozgrzewa mnie żar młodzieńca,
Ojczyźnie pieśń mą każdą poświęcam.
Step jak Gulistan okrył się kwiatem.
Mieszkam pośrodku jurty bogatej.
Cudowny dywan wkrąg rozesłali
Od piasków Sindży do stóp Uralu.
Z czoła mojego znikają zmarszczki
I znowu kroczę młody i dziarski.

W znakomitych poematach „Moja ojczyzna" i „Moje życie" Dżambuł odtworzył historię narodu kazachskiego, ukazując jego tragiczną wegetację w przeszłości i szczęśliwą teraźniejszość. W poematach tych rozbrzmiewa zwycięski hymn sławiący Rewolucję Październikową i jej wielkich wodzów, Lenina i Stalina, którzy przynieśli Kazachom długo oczekiwaną wolność i otworzyli przed nimi szerokie możliwości twórczej pracy i budownictwa kultury narodowej. W poemacie „Naród pod bronią" Dżambuł odmalował sceny z wojny domowej.

Namiętnie i gorąco wysławiał Dżambuł przemiany powstające w kraju socjali-

*) Ludowy instrument muzyczny Kazachów o dwóch strunach (przyp. tłum.)

**) Akyn — śpiewak — poeta (przyp. tłum.)

stycznym. Poetę niewymownie radował fakt, że obecnie cała gospodarka i zarząd wszystkimi bogactwami ojczyzny spoczywają w rękach ludzi pracy.

Nasz jest step cały — od gór aż do piachu,
Kobyły ryże jak przed burzą zachód,
Kumys, co w słońcu nabiera zapachu,
Woda w arykach i owce, i ptactwo...

Gdy radzieccy chłopi zaczęli przystępować do ruchu kolektywizacyjnego. Dżambuł gorąco powitał socjalistyczną przebudowę wsi. „Jak najusilniej — mówił — agitowałem za kołchozami; śpiewałem o kołchozach setki pieśni; rozniosły się one dalekim echem po stepach, gdyż płynęły z głębi serca".

Ogromne, głębokie wrażenie wywarła na Dżambule podróż do Moskwy w roku 1936. Wraz z uczestnikami dekady sztuki kazachskiej Dżambuł był przyjęty na Kremlu przez towarzysza Stalina. Spotkanie to sprawiło niewypowiedzianą radość poecie.

Jam najszczęśliwszym na świecie akynem,
Jam się na Kremlu widział ze Stalinem,
Przy wielkim wodzu narodów stanąłem
I mocno rękę potężną ścisnąłem,
Tę rękę, która już przez lat dwadzieścia
Wiedzie naprzeciw wolności i szczęścia
Sto siedemdziesiąt pięć milionów ludzi.

W ciągu tych dni poeta nie rozstawał się z dombrą i w krótkim czasie stworzył szereg najlepszych swych utworów: „Lenin i Stalin", „W Mauzoleum Lenina", „Pieśń dla narodu" itd.

W następnych latach Dżambuł jeszcze trzykrotnie wyjeżdżał do Moskwy i wybrał się w podróż do Gruzji, gdzie zwiedził rodzinne miasto J. Stalina — Gori. Wrażenia z tej podróży poeta opisał w szeregu przepięknych pieśni. Utwory te złożyły się na cały zbiór p. t. „Podróż na Kaukaz".

Jasne było dla Dżambuła, że cała droga bohaterskiej walki do zwycięstwa i tryumfu socjalizmu związana jest z imionami wielkich wodzów Lenina i Stalina. Poeta z wielką siłą artystyczną przedstawił miłość milionów ludzi do swych wodzów. W utworach Dżambuła Lenin to „mocarz świata", wielki bojownik o prawdę, o szczęście ludu; Lenin to genialny wódz, potężny, jak huczący ocean, wspaniały, bezgraniczny, a jednocześnie człowiek bliski sercu prostych ludzi.

W pieśni napisanej po zwiedzeniu mauzoleum Lenina, piewca mówił:

...Szeptem synowski hołd Kazacha składam
I poprzysięgam leninowcem zostać,
Po leninowsku żyć i walce sprostać.

Wiele pieśni śpiewał poeta o Stalinie, pieśni tkliwych, przepojonych serdecznym ciepłem i czułością. Akyn widział w Stalinie genialnego kontynuatora dzieła Lenina. Trafnie zobrazował to w przepięknej „Pieśni narodu":

...Żyjesz, Leninie, i będziesz żył
W pełni zdrowia i sił.
My w Stalinie widzimy rysy twojej cnoty:
Cele jak orłów loty,
Myśli niby strzał groty,
Słowa pełne prostoty
Żyją w Stalinie.

Szczególnie jasno i dobitnie wyraził Dżambuł uczucia i myśli narodu o wielkim wodzu w poemacie „Stalin", w którym to utworze epos i liryka organicznie związane są z sobą. Stalin — to uosobienie potęgi ojczyzny i braterstwa narodów; jest on „dla ludzi podporą i słońcem, nieśmiertelnym symbolem zwycięstwa".

W poemacie tym niezwykle silnie wyrażona jest myśl o więzi łączącej wodza i naród. Jako wyraziciel uczuć milionów ludzi poeta zwraca się do Stalina jak do rodzonego ojca, gdyż Stalin to najbliższy, najdroższy człowiek. Jak bliscy są sobie wódz i naród, barwnie oddaje koniec poematu, kiedy Dżambuł zaprasza Stalina w gościnę do aułu:

Stalinie drogi — najbliższej wiosny
Do Kazachstanu przyjedź, odpocznij
W mej jurcie słonecznej, radosnej, wygodnej,
W rodzinie kołchozu szczęśliwej i zgodnej.
Poczęstowalibyśmy cię kumysem,
Świeżym i gęstym z kołchozu kumysem.
Fajkę nabilibyśmy ci tytoniem,
Świeżym, w kołchozie zasianym tytoniem.
Czekałby u nas na ciebie koń rączy
Szybszy od wiatru, jak ogień gorący,
Byś w kaskalańskiej kulbace złoconej
Przejechał wkoło po ziemi rodzonej,
Ujrzał, jak w szczęściu i dobrobycie
W Kazachach budzi się nowe życie.

W okresie wielkiej wojny z hitlerowskimi Niemcami Dżambuł ułożył dziesiątki nowych wierszy przepojonych wielką miłością do ojczyzny i nienawiścią do jej wrogów. Pieśni te podnosiły na duchu ludzi radzieckich, wiodły ich do boju, zagrzewały do bezprzykładnych czynów bohaterskich na polach walk. Żołnierze frontowi odpowiadając Dżambułowi pisali: „W zaciętych krwawych walkach czujemy Cię przy sobie jak ramię towarzysza, jak wzywający do pochodu naprzód pułkowy czerwony sztandar, jak tchnienie ukochanej ojczyzny".

Do ostatnich dni swego życia Dżambuł znajdował się w szeregach i doczekał się najszczęśliwszego dnia — Dnia Zwycięstwa. Osłabiony, wyczerpany długą chorobą jeszcze serdecznie winszował narodowi radzieckiemu zwycięskiego zakończenia wojny. 22 czerwca 1945 roku zmarł. Komunikat rządu Republiki Kazachskiej o śmierci Dżambuła zawierał następujące słowa: „Zmarł tytan radzieckiej poezji ludowej, nosiciel wiekowej mądrości kazachskiego ludu, znakomity piewca epoki stalinowskiej, Homer XX stulecia — Dżambuł Dżabajew".

Aleksander Wołożenin (Moskwa)

NA SCENIE SZCZECIŃSKIEJ

Humanizm — to walka

Jedną z pierwszych premier radzieckich w powojennej Polsce byli „Rosjanie" Konstantego Simonowa, wystawieni w 1945 roku w Krakowie. Sztukę poświęcił autor bardzo wówczas aktualnym sprawom żołnierzy wojny ojczyźnianej i walki zbrojnej z hitleryzmem.

W dwa lata później zobaczyliśmy „Zagadnienie rosyjskie", które przeszło przez wszystkie większe sceny w kraju. Utwór mówił o konflikcie sumienia pisarskiego z dolarową dyktaturą Ameryki.

Obecnie Teatr Współczesny w Szczecinie wystąpił z prapremierą „Obcego cienia". Jest to trzecia u nas (a w ogóle bodaj szósta) sztuka Simonowa — dramaturga niezwykle czujnego na ważne problemy współczesne, umiejącego pokazać je interesująco w pryzmacie postaci scenicznych.

Głównym zagadnieniem utworu jest walka o człowieka który zbłądził, popełnił szereg błędów, otarł się o zdradę tajemnic państwowych. Znakomity bakteriolog Trubnikow zapatrzył się w mit czystej nauki, wywyższonej w jego mniemaniu ponad rozgrywki polityczne. Wierzy w międzynarodową solidarność ludzi nauki. Ufa całkowicie swoim kolegom na katedrach za Oceanem, pragnie jak najszybciej podzielić się z nimi własnymi doniosłymi odkryciami. Nie domyśla sie nawet, że jego humanitarne wynalazki (chodzi o szczepionkę przeciw dżumie) mogą być przez podporządkowanych imperializmowi uczonych wykorzystane do zbrodniczych celów militarnych. Obcy wywiad, zręcznie podsycając żądzę rozgłosu i snobizm „zachodni" Trubnikowa, wyciąga łapy po teczkę z rękopisem jego książki.

A Profesor naprawdę pragnie postępu i sprawiedliwości, to znaczy powszechnego zwycięstwa komunizmu. Woła szczerze: „dałbym sobie odrąbać prawą rękę za to, aby jutro nastał wreszcie świat, w którym takie sprawy jak moje odkrycie — nie mogłyby być tajemnicą. Nie miałyby prawa być." Zapomina jednak, że ten wymarzony świat trzeba dopiero wywalczyć i to na każdym polu działalności człowieka. Nie rozumie, że jego wyabstrahowana społecznie postawa opóźnia zwycięstwo. A przecież „humanizm dla uczonego — to walka" — zdanie wyjęte z dialogu najlepiej streszcza morał a zarazem naczelny problem utworu.

Bogata intelektualnie sztuka Simonowa dyskutuje cały szereg zagadnień. Są to sprawy naleciałości kosmopolitycznych, owych niewinnych pozornie sympatii, z których — często nieoczekiwanie dla samego delikwenta — wyrasta żądło zdrady. Wiąże się z tym kwestia „obcego cienia", zamaskowanego wywiadu imperialistycznego i twardy obowiązek czujności.

Interesująco postawił autor problem autorstwa dzieł naukowych. Pochodzący ze środowiska mieszczańskiego, wychowany w indywidualistycznych pojęciach Trubnikow uważa się za wyłącznego właściciela odkryć naukowych instytutu, którego jest dyrektorem. Ale kiedy zamierza opublikować za granicą wyniki badań, jego laborant rzuca mu w twarz pytanie: „powiedzcie mi, czy w waszej książce, we wszystkim coście zrobili, jest choćby jakaś cząstka mojej roboty? Choćby setna? — Jak więc mogliście nie zapytać mnie, czy pozwolę wam oddać tę moją setną cząstkę, której żadna siła, żadna chemia, nie wydzieli z waszej pracy? Ale pocóż mówić o mnie — a instytut? Jest nas trzysta osób. Oddajcie nam najpierw nasze trzy tysiące lat, które straciliśmy podczas dziesięciu lat tej pracy" — A ktoś inny dodaje: „nie mówiąc już o tym, że każdą kopiejkę z milionów które na to poszły dało ci państwo. To jego własność!"

Państwowy Teatr Polski w Szczecinie. „Obcy cień" K. Simonowa. Akt V. Reżyserował Jan Perz.

Motyw obcego wywiadu przesuwa się „cieniem" przez sztukę Simonowa. Jej podstawowy wątek to konflikt nowego typu: zatarg w społeczeństwie nie antagonistycznym klasowo rozgrywa się między opóźnioną w rozwoju politycznym jednostką, a całym otoczeniem. O Trubnikowa — a nie z nim — walczy jego rodzina, przyjaciele, współpracownicy, podwładni. Walczy partia — upostaciowana nie w jednej osobie aktywisty (sekretarz podstawowej organizacji idzie w pierwszym obrazie sztuki do szpitala), a w kręgu najbliższych towarzyszy Profesora. Bowiem partia w tej sztuce — to powszechność, „to nie sami sekretarze, żeby nawet byli najlepsi" — powiada cytowany już laborant Sawantiew. W takim zarysowaniu konfliktu klęska postawy bohatera staje się jego zwycięstwem jako człowieka i komunisty.

„Obcemu cieniowi" brak może dynamizmu scenicznego „Rosjan" i pasji publicystycznej „Zagadnienia rosyjskiego"; z tym wszystkim jest to jednak najdojrzalsza literacko sztuka Simonowa. Wystarczy zwrócić uwagę na precyzyjne przeprowadzenie postaci Trubnikowa. Z każdą sceną zarysowuje się ona pełniej, z każdą kwestią zrozumialszy staje się konglomerat sprzeczności tego człowieka. Autor pokazuje dialektyczny proces wewnętrzny Profesora, walkę która się w nim toczy między dziedzictwem wychowania mieszczańskiego i kacykowskimi skłonnościami — a uczciwością i powagą intelektualisty. Wynik tej walki jest niewiadomy do ostatniej chwili. Dramatyzm postaci narasta aż do końcowego, lapidarnego scenicznie rozwiązania sztuki.

W trakcie akcji rozgrywają się dzieje dwu innych jeszcze ludzi: owego sekretarza partii, który zdecydował się pierwszy zarazić dżumą, aby wypróbować na sobie szczepionkę — i agenta wywiadu, pseudo-uczonego Okuniewa. Obaj znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, obaj mają obok siebie kochające kobiety. Paralelizm ich losów podbudowuje konstrukcję utworu, a rozstrzygnięcie ma w sobie symboliczny optymizm.

„Obcy cień" znalazł w Szczecinie przyzwoitych wykonawców. W ciągu półtorarocznego istnienia Państwowe Teatry szczecińskie wypracowały poziom, który pozwala na stosowanie przy ocenie pełnych kryteriów, bez posługiwania się zdawkowymi słowami uznania czy zachęty. Z tym większą radością notujemy sukces Jana Daszewskiego i Niny Burskiej.

Pierwszy — w roli Trubnikowa pokazał postać w rozwoju, dobrze skomponowaną aktorsko, wyrazistą i pozbawioną zbędnych szczegółów. Jego Profesor był oschły, różnicujący dystans w stosunku do pozostałych osób sztuki; trafnie wypunktowane zostało stopniowe załamywanie się jego fałszywej wiary. Barska dała prawdziwą, w miarę zabawną, bardzo ciepłą rolę żony Sawantiewa. Stanisława Engelówna z przekonaniem grała szlachetną rolę Olgi Trubnikowej, walcząc szczęśliwie z wrodzoną sobie skłonnością do lirycznego patosu. Eustachy Kojałłowicz wyróżnił się właściwą koncepcją postaci laboranta, starszego cichego człowieka umiejącego nie ustępować w potrzebie. Córkę Trubnikowa zagrała naturalnie Elwira Turska; podobnie jak doktora Iwanowa — Jan Czabanowski.

Gorzej było z figurami dwu bohaterów pozytywnych. Rola Sekretarza — acz krótka — powinna była mieć jakiś wyraz aktorski. Rezoner utworu Makiejew raczej wykrzykiwał niż dyskutował, był więcej zabawny niż przekonywujący.

Dekoracje Mikołaja Kiss-Orskiego wyłamywały się z charakteru tej realistycznej sztuki, realistycznie reżyserowanej i granej. Pretensjonalna rama wokół sceny z czerwonego tiulu nie tłumaczyła się jaśniej, tak samo jak krzywe kształty drzwi i okien. Satyryczny symbolizm mieszkania szpiega (ściany tapetowane dolarami) — nie wiazał się z całością koncepcji plastycznej.

Młody reżyser Jan Perz udatnie zdynamizował teatralnie ten niełatwy, bo wybitnie dyskusyjny, dramat.

Stanisław Marczak-Oborski

PROJEKTY NA POSĄG KOPERNIKA

projekt Alfreda Wiśniewskiego

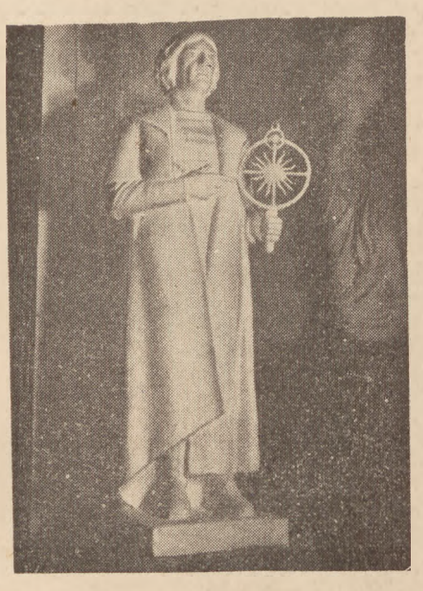

projekt Tadeusza Breyera

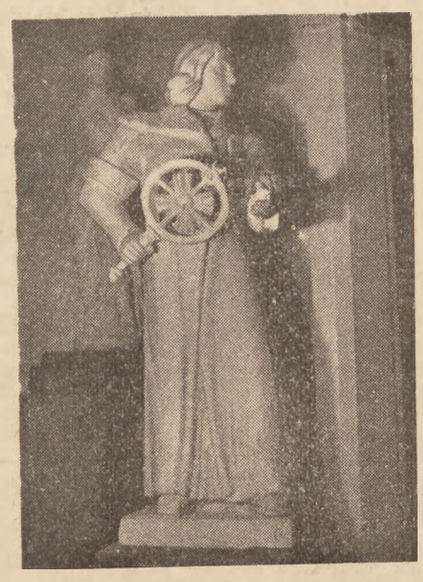

projekt Kazimierza Petkiewicza

projekt Horno-Popławskiego

Min'sterstwo Kultury i Sztuki zamówiło u czterech rzeźbiarzy polskich projekty na posąg Mikołaja Kopernika, który stanąć ma na dziedzińcu Biblioteki Ambrozjańskiej w Med'olanie. Z przedstawionych projektów jury zatwierdziło do wykonania po uwzględnieniu zaleconych przez jury poprawek, projekt prof. Tadeusza Breyera.

Niespodzianki w „Zemście"

Jeśli odwiedzimy jakiekolwiek miasto w Polsce, to — rzecz prosta — w każdym niemal teatrze będzie można zobaczyć „Zemstę". Jeśli jednak siedzi się na „Zemście" z niekłamaną ciekawością, świadczy to dobrze o inwencji reżysersko-inscenizacyjnej realizatorów przedstawienia. A tak właśnie było w Szczecinie. Już to trzeba przyznać, że koncepcie reżyserowi, inscenizatorowi i odtwórcy roli Cześnika w „Zemście", Stanisławowi Brylińskiemu, nie zabrakło.

Bo proszę... zaraz w pierwszym akcie widz, który oczekiwał, że miejscem akcji będzie zgodnie z instrukcją Fredry „pokój w zamku Cześnika" zaskoczony zostaje niespodziewaną dekoracją. Scena przedstawia podwórzec zamkowy, tam umieszczone stoły i krzesła, tamże Cześnik spożywa pamiętną polewkę. W drugiej odsłonie pierwszego aktu innowacja jeszcze jaskrawsza. Na pierwszym planie z lewej strony baszta Milczka, pod nią umowna altana, tuż obok mur graniczny. Za to całkiem w głębi okno Cześnika. Inscenizator odwrócił dekorację. To co było zawsze w tyle, znalazło się na przodzie. Dlaczego? Dlatego, że za chwilę rozegra się na pierwszym planie sceny bardzo sugestywny i niekrótko trwający taniec pantomiczny: bicie murarzy. Jeśli nadmienimy jeszcze, że np. Papkin opuszcza mieszkanie rejenta w akcie trzecim na ramionach pachołków i że w ten sposób łoskot rozlegający się później na schodach nabiera groźniejszego charakteru, jeśli dodamy, że Klara prosi Papkina o krokodyla nie z ironią, ale z wdzięczną kokieterią, to chyba jest to już dostatecznie długi rejestr niespodzianek jak na starą, obrosłą tradycjami „Zemstę". Dorzucić warto chyba tylko jedną jeszcze nowość: aktorzy mówią wiersze Fredry absolutnie poprawnie, nie zacierając rymów i rytmu, takim zgoła sposobem, o jaki wytrwale walczył Boy-Żeleński.

W programie szczecińskiego przedstawienia formułuje Bogdan Butryńczuk dwie zasady, które powinny przyświecać współczesnym inscenizatorom „Zemsty": „...odkryć istotę niepostarzałej urody tego utworu, jego świeżości i celności obyczajowo - społecznej, a w etyce fredrowskiej odnaleźć nie tyle walkę ze złem co z małością ludzką."

Idąc konsekwentnie po myśli tych postulatów, reżyser Bryliński starał się „odkryć" komizm fredrowski i ukazać go w kształcie jak najżywszym, jak najbardziej dynamicznym. Jeśli śmiech, to od ucha do ucha. Wielką zasługą Brylińskiego było to, że ta maksymalna eksploatacja komizmu nigdzie nie przekroczyła granic zakreślonych szacunkiem dla klasycznej komedii.

Więcej nawet. Łatwy śmiech nie przesłonił profilów społecznych Rejenta i Cześnika. Postać Milczka uczyniono sympatyczniejszą niż przywykliśmy oglądać. Reżyser zaoszczędził Milczkowi cech, które łatwo czyniły zeń pośmiewisko. Nie uwypuklono specjalnie odrażającej świętoszkowatości, obłudy i skąpstwa w tym parweniuszu-palestrancie. Konflikt nie wyrażał się w psychologicznym kontraście: Cześnik — poczciwy sarmata i Rejent — ohydny mizantrop, lecz raczej w kontraście: Cześnik — stary utracjusz, zubożały magnat, amator intratnych małżeństw i Rejent — szlachecki dorobkiewicz, chytry ciułacz, człowiek, który „oszczędnością i pracą" robi majątek. Niewątpliwie w takim ujęciu było więcej „celności obyczajowo-społecznej."

Nie podobały mi się w przedstawieniu szczecińskim eksperymenty scenograficzne. Logika sytuacyjna miała prawdopodobnie zyskać na wspomnianym wyżej odwróceniu dekoracji, ale — moim zdaniem — koncepcja dekoratora Kissa-Orskiego wniosła tylko dużo zamętu na scenę, a ogromna wieża na pierwszym planie była po prostu brzydka. Nie mam pretensji do sceny bicia murarzy, trzeba było jednak znaleźć dla niej inne rozwiązanie dekoracyjne.

Sprzeciw budziły również w grze niektórych aktorów próby wirtuozerii, niepotrzebne popisy dla popisów, których nie ustrzegł sie chwilami także Bryliński — aktor. Bryliński-reżyser nie powinien był mu na to pozwolić. Z tymi zastrzeżeniami wszelako najlepszym aktorem na scenie był Bryliński, obchodzący właśnie 40-letni jubileusz pracy scenicznej, oraz Turska jako pełna życia Klara. Myślę, że Papkin (Kałuski) nie docenił parodystycznych intencji Fredry wobec poetyki pseudoklasycznej, gdy mówił do Klary: „Jak w dezertej Arabii złotosiejny wzrok febowy niesie skwarem śmierć lilii. ...itd". Mógł to być normalny język Papkina w zalotach miłosnych (to Kałuski pokazał), ale dla Fredry była to przecież przede wszystkim parodia pseudoklasycznej werbalistyki. Tego zaś w interpretacji Kałuskiego nie wydobyto i to kłóciło się z generalną myślą reżyserską, dążącą do „wydobycia istoty komizmu Fredry".

Jacek Bocheński

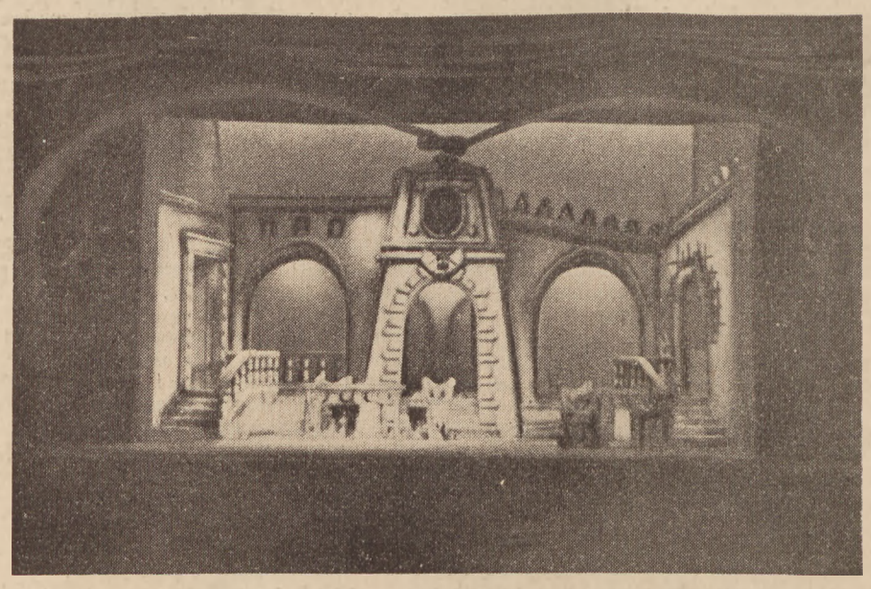

„Zemsta" Fredry w teatrze w Szczecinie. Dekoracje w akcie V-tym

ANDRZEJ BRAUN

„Syntetyczny Majakowski"

Kilka miesięcy temu przetoczyła się przez nasze czasopisma literackie burzliwa dyskusja na temat niedomagań i głównych sprzeczności w poezji. Batalia ta, podjęta z pozycji wyraźnie politycznych, świadczyła, że weszliśmy w ten okres, w którym funkcja literatury i wytaczane przeciwko niej zarzuty nie mogą być natury tylko estetycznej. Wykazała ona jednak równocześnie, jak powierzchowna jest ta „apolityczność" w wielu wypadkach i jak wiele za jej parawanem kryje się formalistycznych nieporozumień. Zdarzało się, że dwaj szermierze, stojący na płaszczyźnie partyjnej a walczący z sobą rzekomo z dwóch odmiennych stanowisk politycznych, okazywali się przedstawicielami dwóch ramion tej samej estetyki burżuazyjnej. Kosmopolityczny estetyzm atakowano przy pomocy broni zaczerpniętej z arsenału równie formalistycznego antyestetyzmu. Jednym słowem, walczono z sobą w obrębie tego samego mieszczańskiego spojrzenia na poezję. Traktowano ją jako zespół formalnych chwytów, spierając się tylko namiętnie o to, które z tych chwytów są lepsze. Nie traktowano poezji jako wyrazu stosunku poety do rzeczywistości, wiedzy o niej, ale jako konsekwencji przyjęcia takiej czy innej poetyki.

Ta batalia wstrząsnęła istniejącymi stosunkami i nie pozwala na utrzymanie poprzedniego stanu rzeczy.

Obok tego pokutują a nawet odżyły w druku echa błędnych koncepcji artykułu Woroszylskiego o Majakowskim („Odrodzenie" nr 5). Woroszylski, protestując przeciw estetyzmowi, nawoływał do ścisłej, formalistycznie pojętej kontynuacji Majakowskiego. Adam Włodek natomiast, w artykule pt. „Majakowski żyje" („Twórczość" nr 4-5 br.) proponuje w zamian ulepienie „polskiego Majakowskiego" wspólnymi siłami, wybierając z twórczości szeregu naszych poetów po cegiełce. Na co i komu potrzebny ten syntetyczny Majakowski — Włodek nie mówi. Jak widzimy, wspólne grzechy formalistycznego traktowania poezji „piewcy rewolucji" łączą obydwa wzmiankowane artykuły.

Włodek jednak w swej nieprzytomnej koncepcji „polskiego Majakowskiego" idzie tak daleko i tyle po drodze wygłasza tez fałszywych, zamącających poglądy na poezję, że niepodobna pominąć tego milczeniem. Z tego też powodu zmuszony będę zająć się jego artykułem szerzej.

Autor, pokazawszy na wstępie, że Majakowski był żywym człowiekiem, bardzo popularnym w Zw. Radzieckim, zreferował dyskusję rozpoczętą przez Woroszylskiego; skrytykował tegoż Woroszylskiego; wyjaśnił, że nie ma „walki pokoleń", jest tylko problem „współpracy pokoleń" (wszystko zgodnie z wynikiem dyskusji, cytując gęsto z resumé Ważyka); dodał, że „troska o poziom artystyczny to nie formalizm", a wreszcie rzucił hasło: „Potrzebny polski Majakowski!"

Jak to zrobić, pokazuje Włodek od ręki. Omawia zdawkowo twórczość współczesnych, postępowych poetów polskich, nie szczędząc etykietek i wyrywając w sposób mechaniczny te elementy formalne, które — jego zdaniem — nadawałyby się do ulepienia poszukiwanej kukły. „W twórczości kilku współczesnych poetów polskich — pisze — próbowałem dopatrzeć się elementów, które — zespolone — dałyby model tego właśnie polskiego Majakowskiego. Elementy te będą, rzecz prosta, zespolone nie drogą mechanicznego przykrawania i zszywania, lecz drogą pełnego zrozumienia potrzeb naszego czasu. Szczególnie w wypadku poetów młodego pokolenia istnieje duże rozbicie i niepełność sylwetek twórczych". A w zakończeniu swego artykułu pisze: „Chodziło mi o wychwycenie (na pewno jeszcze nie pełne) charakterystycznych właściwości twórczych najbardziej obecnie aktywnych poetów. Chodziło mi o przekonanie czytelnika, iż zespolenie w jedno (choć niekoniecznie w jednym poecie) tych właściwości mogłoby dać model „polskiego Majakowskiego". Podobnego do Włodzimierza Majakowskiego przez analogię rewolucyjnych przemian i różniącego się odeń wyjściem z innych nieco tradycji wersyfikacyjnych".

Tylko w wielkiej popularności Majakowskiego tkwi przyczyna, że się pisze u nas o nim tyle poważnych i niepoważnych rzeczy. Ale do głębi oburzający jest dla nas, miłośników wielkiego poety, fakt pojawienia się rozważań w stylu: „Majakowski a Gałczyński", „Majakowski a Bratny" czy „Majakowski a Kapuściński".

Nie o to chodzi, czy Majakowski jest powtarzalny czy nie, ale cały nonsens polega na tym, że poeta o jakichkolwiek zapożyczeniach u autora „Obłoku w spodniach", już zaczyna być u nas uważany za „polskiego Majakowskiego". Korzystaj z Majakowskiego, naśladuj jeśli musisz (czasem nie ma rady, sugestia wielkiego poety pęta wyobraźnię), ale nie mów, że przez to jesteś „polskim Majakowskim". Wszakże sam Włodek pokazał na początku swego artykułu, że Majakowski był żywym, konkretnym indywidualnym człowiekiem. Jakże można go lepić ze sztucznie i abstrakcyjnie wykrojonych kawałków pierwocin poetyckich kilku młodych pisarzy?

Spróbujmy zlepić „polskiego Byrona" z wszystkich, gęsto rozsianych elementów bajronicznych u bajronizujących poetów polskiego romantyzmu, a następnie to co zlepimy porównajmy z żywym, prawdziwym Byronem. A zwłaszcza porównajmy z Mickiewiczem, Słowackim, Malczewskim. Wszakże nie „polski Byron" był najwyższym osiągnięciem romantyzmu, ale właśnie ci trzej poeci, którym w pewnym okresie ich pracy nad kształtowaniem własnego, poetyckiego „ja" — potrzebny był przykład i doświadczenia angielskiego poety.

Ale przyjrzyjmy się bliżej sekcji poetów polskich, dokonanej przez autora artykułu, pod kątem „majakowszczyzny". Pierwszy idzie Broniewski jako rewolucyjny romantyk, „w tej części swej twórczości, w której występuje nie jako „minister spraw niepotrzebnych", lecz jako twórca wierszy mobilizujących". Broniewski-romantyk, któremu „trudno przemienić się w pełni w poetę rewolucyjnego budownictwa".

Włodek zapomina, że poetę rozpatruje się w żywej, dialektycznej łączności wszystkich stron jego poezji. Że Majakowskiego nie można oderwać od futuryzmu rosyjskiego, chociaż daleko poza ten futuryzm wyszedł. Że Broniewski to nie twórca dwupoziomowej poezji, ale historyczny człowiek ukształtowany przez warunki i sprzeczności dwudziestolecia.

Drugim krwiodawcą dla syntetycznego „Władimira dla ubogich" ma być Gałczyński. „Polskim Majakowskim — pisze Włodek — stara się świadomie zostać K. I. Gałczyński. Stworzył on w tym zakresie pewną ilość wierszy, mogących świadczyć o dobrej woli autora w stosunku do zachodzących u nas przemian".

Czy Majakowski to tylko „dobra wola" wobec Wielkiej Rewolucji Październikowej? I to „w pewnym zakresie twórczości"? Kolego Włodek — porównajcie treść ideową poezji Majakowskiego i treść ideową poezji autora „Zaczarowanej dorożki". To nie tytuły są ważne, ale to co jest w środku. Nie można równocześnie „świadomie starać się zostać polskim Majakowskim" i „mimowolnie zdradzać chęć przypodobania się czytelnikowi z kręgu drobnomieszczaństwa". Nie tu miejsce na ocenę twórczości Gałczyńskiego i nie mam zamiaru atakować chwalonego przez was wiersza „Z listu do córki", ale przypatrzcie się, czego chce w nim poeta:

„Żeby obiad w południe
w zmierzch lampka nad książeczką..."

Żeby robić tego rodzaju zestawienia, trzeba nie rozumieć Majakowskiego, a wy go tłumaczycie na polski.

Trzecim kruszcem, z którego Włodek chce odlać swój stop, ma być Bratny. Ten materiał, zdaje się, przeznaczył Włodek na głowę. Znów nie chciałbym atakować Bratnego, ani „kwestionować jego uczciwości politycznej" (tym bardziej, że zgadzam się z Włodkiem, iż Ważyk może zbyt surowo osądził twórczość tego poety w minionej dyskusji) — ale uważam, że Włodek skrzywdził Bratnego takim zestawieniem. Zestawmy tylko: treść ideowa poezji Majakowskiego — a treść ideowa wierszy Bratnego! W cytowanych u Włodka, najlepszych utworach Bratny widzi — w odróżnieniu od wojny w Chinach — lampy, parasolki, wargi wilgotne, lok nad czołem liryczny, saksofonistę za szybą i nogi chodzące w rytm jazzu. To jest „polski, wielkomiejski krajobraz", to jest dzisiejsza Warszawa. Wobec tego autor chciałby walczyć, zginąć jeszcze raz, „ale tam", w Chinach. W drugim wierszu: „niż poetą tego wieku, wolałbym być w następnym byle kim", czapnikiem, „który czoło przewodniczącego Światowej Republiki Rad centymetrem owinie". Chciałby „przyszyć daszek do czapki takiego prezydenta."

Wiersze nie są złe, ale do licha, to mają być oczy „polskiego Majakowskiego"? To co jest charakterystyczne dla realiów i wyobraźni Bratnego, dotyczy realiów i wyobraźni Różewicza (w dawnych wierszach).

Kolejnym składnikiem „Majakowskiego" ma być Kubiak, który — jak pisze Włodek — „mimo całego pozytywnego podejścia, ma częste stosunkowo niedociągnięcia natury dialektycznej. (Nawiasem dodam, że Kubiak po dyskusji o poezji — od prostych, jednoznacznych ideologicznie wierszy, jak: „Noc w drukarni", „Agitacyjnym autem jadę", „Ballada o palaczu, który czytał Marksa", „O moich oczach", przeszedł do estetyzujących i barokowych, symbolistycznych i mętnych ideowo utworów, co jest sygnałem, że nie wszystko uzdrowiono w polityce literackiej lewicy).

Wśród „młodych" Woroszylski bezsprzecznie najwięcej zrozumiał z nauki Majakowskiego. Ma też prawo powiedzieć, że „pisze tylko osobiste wiersze". Poezja o tematyce społecznej, powszechnej, jest osobistą, o ile porusza uczucia autora, o ile przemawia poprzez jego własne przeżycia. Wiemy, że może być poezja o tematyce „państwowej" bez krzty osobistego stosunku do niej. Trzeba pokazywać przeżycia własne, ale robić to można i ogólnie, i na przykładzie własnym, i na przykładzie innych, rzeczywistych ludzi, i wreszcie na przykładzie wyimaginowanych bohaterów literackich („Oniegin"). Chodzi o co innego. Nie pierwsza osoba decyduje, czy przeżycia są własne, ani nie prywatna anegdota. Chodzi o to, czy wyrażone przez poetę przeżycia są klasowo „nasze". Można obce, wrogie treści wypowiadać pierwszą osobą. Tu mamy przykład, jak ideologiczna treść przenika w sprawy tzw. formy.

Wróćmy jednak do Włodka. Na budulec dla swego „Majakowskiego" użył jeszcze całego Ważyka (powojennego), część Jastruna i bodajże część Wirpszy. Obok tego mieści się, wzięty w obronę przed atakami Woroszylskiego, Wygodzki z poematem „Nad Engelsem".

Wszystko to byłoby bardzo śmieszne, gdyby nie było takie smutne. „Wszelka dyskusja, która bierze za kryterium ideowo-polityczne i artystyczne wyłącznie twórczość jednego pisarza, choćby największego poety epoki, stwarza fałszywe przesłanki rozumowania, narzuca niezdrową polaryzację sądów — pro albo contra — mieszając sprawę ideowej postawy pisarza ze sprawami stylu i formy, słowem — zacieśnia zakres możliwości rozwojowych poezji". To zdanie z artykułu Adama Ważyka („O właściwe stanowisko", „Kuźnica" nr 10 b.r.) cytujemy obaj z Włodkiem. On jednak à rebours trwa przy tym jednym kryterium. Przetapiając najlepsze cząstki naszych poetów na „polskiego Majakowskiego", stwarza zeń kryterium celu.

Majakowski genialnie sformułował swój stosunek do Puszkina, dając nam klucz do tzw. twórczego stosunku do tradycji. W wierszu „Jubileuszowe" pisał: „Kocham was, żywego kocham, a nie mumię". Żywego, to znaczy w tym dialektycznym procesie przełamywania się, tworzenia odpowiedniej formy do potrzeb aktualnego życia i istniejących zadań. A więc nie naśladowanie gotowej, zamkniętej formy wierszy, które przybrały taki kształt zewnętrzny, jaki nadała im do wewnątrz cisnąca treść.

Włodek próbował zmieszać wyrwane elementy różnych poetów, z różnych pokoleń, obciążonych różnymi tradycjami, wychodzących z różnych postaw. Usiłował stopić z nich jakiś pozahistoryczny model poety bez głowy. Powtarzam: poetę rozpatruje się w żywej, dialektycznej łączności wszystkich stron jego poezji: Broniewski cały, Gałczyński cały, Bratny cały — tak jak i Majakowski był cały sobą. Podobnie każdy wiersz trzeba rozpatrywać w całości. Nie tylko polityczną treść, nie tylko temat, pointę — lecz cały materiał przeżyciowy i pojęciowy, możliwości wyobraźni, to, z czego poeta buduje wiersz.

Rozpatrując przykład Majakowskiego, można brać za wzór jego drogę, jego „stawanie się" tym, czym był w konkretnych warunkach i twórczości. Kochać żywego Majakowskiego, a nie „mumię". Porównując błędne sformułowanie Bratnego: „Choć brudne nieraz wierszy szklanki, lecz napój w nich klasowo czysty", z inną, równie błędną koncepcją „nalewania młodego wina w stare dzbany", która ponoć doprowadziła Szenwalda do dojrzałych ideologicznie i artystycznie rezultatów, Włodek nie dostrzega trzeciej najgroźniejszej pomyłki: dobierania „nowych dzbanów" od Majakowskiego, aby nalewać w nie „stare wino" drobnomieszczańskiej postawy i anegdoty. Nie ma formy dobrej na wyrost. Nie ma gotowej formy Majakowskiego, przydatnej do napełniania nową treścią „polską". Taka forma, to właśnie „mumia". Kochać Majakowskiego, to kochać go żywego, tak jak on kochał żywego Puszkina.

„Poezja Majakowskiego jest przykładem wielkiej namiętności rewolucyjnej, która w procesie swojego rozwoju wyklarowała się całkowicie w myśl zasad rewolucji socjalistycznej i partii marksistowsko-leninowskiej" — pisał Adam Ważyk we wspomnianym wyżej artykule. „Dobrowolne narzucanie sobie dyscypliny, ciągła kontrola i prostowanie swoich popędów jest szkołą poezji. Dzisiejszy poeta ma określony kierunek kontroli. Przeprowadza ją w obliczu praktyki społecznej, w obliczu obnażonej walki klasowej".

Realizm socjalistyczny nie jest stylem, który można naśladować czy powielać. Jest metodą twórczą, tak jak marksizm-leninizm jest metodą myślenia i działania. A przecież właśnie twórczość Majakowskiego jest realizmem socjalistycznym. Korzystać z metody twórczej, to nie znaczy kopiować styl, który w poezji jest szczególnie zindywidualizowany i nierozłącznie związany z pojedyńczym wierszem. Tak, tak kolego Włodek, jak widać z Waszego artykułu, „niedociągnięcia natury dialektycznej" zdarzają się nie tylko Kubiakowi.

Andrzej Braun.

„Czytelnik"

Książki dla dzieci i młodzieży

LEW TOŁSTOJ
Trzy niedźwiedzie
(do lat 7)
str. 23 zł 180.—

ROSE WUHL
Czapka mądrości
(8—12 lat)
str. 66 zł 200.—

EDMUND NIZIURSKI

DOBRE MIASTO

Powieści Georgija Gulii, laureata nagrody stalinowskiej, świadczą, że w literaturze radzieckiej nie istnieje właściwie problem tzw. literatury drugorzędnej. Książka Gulii to przecież książka „łatwa", pisana nadzwyczaj lekkim stylem z iście „sakeńskim humorem", o wszystkich walorach dobrej, poczytnej literatury „popularnej" a jednocześnie książka głęboka, poruszająca szereg istotnych zagadnień współczesnego życia radzieckiego, dająca ostry przekrój stosunków społecznych Związku. Twórczość Gulii świadczy nadto, jak pełne możliwości rozwoju ma w literaturze radzieckiej każda indywidualność pisarska. Socjalistyczną treść rzeczywistości radzieckiej potrafi Gulia wyrazić w sposób oryginalny, jakby specyficzny folklor i narodowe cechy kaukaskiego Sakenu dyktowały mu tę swoistą formę wypowiedzi.

Gulia nie pisze bowiem „powieści" w potocznym tego słowa znaczeniu. W książkach jego dominuje tok serdecznej *gawędy;* widać uczuciowe zaangażowanie się autora. Autor jest „na ty" z własnymi postaciami, nie kryje wyraźnej do nich sympatii, zabarwionej nieraz żartobliwym uśmiechem. Jego ostatnia powieść „Dobre miasto" *) należy do rzadkich w literaturze utworów powieściowych bez... „negatywnego bohatera".

Ten swoisty i radziecki i „sakeński" zarazem koloryt „Dobrego miasta" Gulii ocalił w pełni dla czytelnika polskiego przekład Tadeusza Mongirda, któremu udało się oddać całą żywość, lekkość i tę prostą, gawędziarską „swojskość" oryginału. Mongird dopiął tutaj naczelnego zadania tłumacza: przełożyć nie tylko „język" ale i „styl". Powiodło mu się nie tylko „przetłumaczyć" ale i w pełnym tego słowa znaczeniu „przyswoić" oryginał, co w książce typu „Dobrego miasta" ma specjalnie istotne znaczenie.

Czytelnicy „Wiosny w Sakenie" pamiętają zapewne, że, kiedy dzielny frontowiec Kesou Mirba w niedostępnej górskiej wiosce głowił się nad przemienieniem Skały Miłosierdzia w Skałę Urodzaju, jego młodszy i niemniej przedsiębiorczy sąsiad Śmieł Kułamba zmajstrował własnym przemysłem prowizoryczną elektrownię i zaopatrzył kołchoz w elektryczne światło. Od tego czasu upłynął rok. Dzięki mechanicznej przeróbce naturalnych fosforytów zainicjowanej przez Kesou podniosła się wydajność gleby sakeńskiej, zwanej niegdyś „starą, rudą sknerą". Przed górskim kołchozem otwarła się perspektywa wspaniałego rozwoju. Założono fundamenty pod elektrownię wodną o mocy 2000 kw. I oto wyłoniło się zagadnienie nowych kadr technicznych. Ambitni sakeńczycy postanawiają wysłać Śmieła Kułambę na studia do Instytutu Elektrotechnicznego i to koniecznie do Moskwy.

Chłopak wiejski podążający do miasta po naukę to dosyć stary motyw powieści. Sakeńska parafraza problemu Andrzeja Radka z „Syzyfowych Prac", jest opowiedziana przez starca Jekupa Mirbę w związku z wyjazdem Śmieła — dawna historia o niejakim Zoschanie Dou, który odważył się wybrać do miasta z synem, żeby go oddać na naukę. Zoschan Dou stał się w „złym mieście" ofiarą wyzyskiwaczy i pośmiewiskiem księcia u którego, naiwny, chciał szukać sprawiedliwości. Zakończył samobójstwem.

Gulia przytacza tę opowieść dla kontrastu. Jego bohater Śmieł Kułamba nie przypomina w niczym ani Andrzeja Radka ani syna Zoschana Dou. Dzieli go od nich cała epoka. Motyw ten posłużył natomiast do innych celów, do pokazania nowych stosunków społecznych i obyczajowości Kraju Zwycięskiego Socjalizmu. W tym celu Gulia „zaryzykował" swojego rodzaju „krótkie spięcie". „Dzikiego górala z odległej wioski kaukaskiej pchnął wprost do stolicy. Lecz stała się rzecz niespodziewana dla czytelnika mieszczańskich powieści. Dramatyczne „wyładowanie" nie nastąpiło. Gulia pokazuje, że w państwie socjalistycznym są kąty geograficznie odległe ale nie ma kątów „zapadłych", zapomnianych, nieważnych. Autor uwypukla charakterystyczną cechę państwa radzieckiego: powszechność i jednoczesność jego rozwoju. Wyrównywanie różnic cywilizacyjnych wsi i miasta. Mimo, że niektórzy z wesołych pasażerów rzucali ciekawe spojrzenia na oryginalny sakeński kuferek Śmieła, który miejscowy artysta ozdobił w piękne choć naiwne malowidła, Śmieł nie stał się przedmiotem niczyjej złośliwości. Przeciwnie kuferek okazał się jakby magicznym talizmanem. Na każdym kroku Śmieł spotykał się ze specjalną życzliwością i pomocą. „Dobre miasto" przypomina pod tym względem znaną sztukę „Tu mówi Tajmyr". Mimo kilkudniowego opóźnienia Śmieł zostaje dopuszczony do egzaminów. Troska o człowieka przezwycięża sztywność okólników. Młody góral znajduje pomoc u każdego, z kim zetkną go okoliczności. Otrzymuje nawet miejsce w beznadziejnie zdawałoby się już przepełnionym hotelu. Trafi nawet do serca pewnej miłej moskwiczanki Gali. Poznaje życie naukowe i kulturalne stolicy, jej rozbudowę, a przede wszystkim poznaje ludzi...

Pobyt Śmieła w Moskwie służy autorowi do pokazania jednej z zasadniczych cech bezklasowego ustroju socjalistycznego. Tego, że w państwie socjalistycznym nie istnieje owo przekleństwo kapitalistycznych stosunków — osamotnienie człowieka w tłumie. W państwie radzieckim człowiek, gdziekolwiek się znajdzie, spotka się z pomocą i życzliwością — czuje się jak w rodzinie. Towarzysz podróży Śmieła, „człowiek w ukraińskiej haftowanej koszuli", porównując w czasie rozmowy podróż Śmieła z trudnościami jakie dwieście lat temu musiał przebyć wielki Łomonosow zanim dostał się do uczelni, powiedział bardzo trafnie: „Za wami, Śmieł, stoi cały naród. Sakeńczycy was z rąk do rąk przekazują moskwiczanom, jakgdyby mówiąc: „uczcie chłopca, bo to nasza wspólna sprawa".

To, że góral z odległej wioski czuł się w Moskwie jak u siebie w domu, a nawet jeszcze lepiej, zawdzięczał zresztą nie tylko moskwiczanom ale i sobie. Po prostu okazało się, że mówi takim samym jak oni językiem socjalizmu. Był przecież takim samym nowym, wychowanym przez ten sam ustrój, radzieckim człowiekiem. W swoim sakeńskim kuferku wiózł tę samą socjalistyczną treść, którą żyje Moskwa. Moskwa olśniła go swoim pięknem i rozmachem, ale nie przytłoczyła. Śmieł łatwo opanowuje swoją początkową niezgrabność. Onieśmielenie szybko pryska. Ustrój radziecki uchronił go od jakiegokolwiek kompleksu niższości. Przeciwnie, wpoił mu poczucie prawnego i faktycznego równouprawnienia. Śmieł nie przyjechał do Moskwy prosić o kulturalny i oświatowy awans. Przyjechał po naukę jak po coś co mu słusznie i zupełnie naturalnie przysługiwało. Przed wyjazdem kolektyw sakeński przypomniał mu o tym słowami Konstantyna: „Mamy radzieckie prawo, a więc nalegaj, by ci dali to, co ci się według niego należy". To wszystko. Ale też Śmieł nie przyjechał dla robienia jakiejś osobistej kariery. Śmieł rozumie, że sprawa jego wykształcenia jest sprawą całego kolektywu, więcej sprawą ogólnopaństwową, a nie tylko jego osobistą. Że Saken czeka z niecierpliwością na jego wiedzę... Zauważmy wreszcie, że list polecający, który otrzymał od Komitetu Wykonawczego Sakeńskiej Rady Gminnej właściwie wcale nie prosi ale żąda, by Śmieł został dopuszczony do studiów. W liście tym pokazał Gulia, jak urosła nawet w najdalszych zakątkach państwa radzieckiego świadomość ustroju i jego socjalistycznych treści, jak głęboko wbiła się w świadomość obywateli radzieckich treść Konstytucji Stalinowskiej.

Śmieł jako przedstawiciel swojego małego narodu urasta do symbolu osiągnięć rozwojowych Związku Radzieckiego. Wzrusza nas podobnie jak dyrektora instytutu z powieści „że, gdzieś, na dalekim pominiętym przez wszystkie mapy świata skrawku ziemi potrzebni są nie zwykli piśmienni ludzie lecz wykwalifikowane kadry". Jest to zjawisko radosne. Problem kadr nawet dla tego najmniejszego skrawka ziemi radzieckiej, może liczyć na pełne rozwiązanie. Przed takimi ludźmi jak Śmieł stoją otworem wrota uczelni radzieckich.

Czy jednak nie zbyt pobieżnie, nie za łatwo pokazał Gulia całe zagadnienie? Otóż nie. Czytelnika czeka niespodzianka. Śmieł egzaminu na wyższą uczelnię nie zdał. Tak, nie zdał. „Oblał" z chemii i angielskiego. Jego profesorowie w rejonowym miasteczku, gdzie zdawał jako ekstern, okazali się zbyt pobłażliwi, a sam Śmieł zbyt lekkomyślny. Motyw „oblania" egzaminu podejmuje autor, by pokazać surowe zasady, na których opiera się życie i osiągnięcia społeczeństwa radzieckiego. Moskwa zrobiła wszystko, by Śmiełowi pomóc. Lecz dbając o wysoki poziom kadr i od Śmieła oczekuje należytego wysiłku. Właśnie zasada równouprawnienia wymaga jednakowego traktowania wszystkich obywateli. Ustrój socjalistyczny nie tylko daje ale i zobowiązuje. Właśnie dlatego, że „dobre miasto" ceni sakeńczyka, uważa go za pełnowartościowego obywatela, nie może obniżyć dla niego poziomu wymagań. Zresztą Śmieł to doskonale zrozumiał. Nie zniósłby, aby wynik egzaminu był rezultatem litości dla niego a nie rezultatem jego wiedzy. Nie przyjąłby takiego podarowanego egzaminu. Jest zbyt ambitny, jest prawdziwym radzieckim człowiekiem. Pojmuje zasady krytyki i samokrytyki, którymi kieruje się społeczeństwo radzieckie. Zachowa się więc, jak przystało na mężnego „dżygita". Zniesie po bohatersku porażkę i wyciągnie należyte konsekwencje ze swych błędów.

Tak więc to nieprzyjemne dla Śmieła zakończenie powieści nie mąci nastroju pogody i optymizmu powieści. Czytelnik wierzy, że na przyszły rok Śmieł zda z powodzeniem egzaminy. Zresztą pobyt w Moskwie, gdzie Śmieł poznał tylu ciekawych ludzi, gdzie rozwinął i pogłębił swoją socjalistyczną świadomość i zebrał tyle bogatych doświadczeń, nie jest zmarnowany. Pozostanie dla Śmieła na zawsze „dobrym przeżyciem" w naprawdę kochanym „dobrym mieście". **Edmund Niziurski**

*) Georgij Gulia: „Dobre miasto" tłum. z rosyjskiego Tadeusz Mongird „Czytelnik" 1950.

WSPÓŁCZESNE POWIEŚCI SŁOWACKIE

Literatura słowacka była jak dotąd nader ubogo reprezentowana w naszych bilansach przekładowych. Z tym większą radością powitać należy pojawienie się w ostatnich miesiącach paru pozycji mówiących nam o rozwoju współczesnej prozy słowackiej: jedną z nich jest powieść Franio Krala „Zakręt pod Rachowem", drugą — powieść Józefa Horaka „Lasy milczą".

Tematem „Zakrętu pod Rachowem" są dzieje narastania rewolucyjnej postawy w pewnej gnębionej skrajną nędzą wsi słowackiej. Akcja zaczyna się w roku 1933. Stosunki na wsi słowackiej są nad wyraz ciężkie: nędza chłopów, bezrobocie, tyfus głodowy, oszustwa i gwałty urzędników, krwawa robota żandarmerii, zdzierstwo, rozpusta i barbarzyństwo weszły w zwyczaj miejscowych reprezentantów klas posiadających. Obraz jest kreślony jaskrawymi barwami. Na tle tego stanu rzeczy wieś od postawy gnębionej ofiary przechodzi do bojowej, nieugiętej postawy rewolucyjnej. Dzieje się to pod przewodem młodszych i starszych chłopów - komunistów, wykazujących wysoki stopień politycznego wyrobienia i uświadomienia klasowego. Również pod wpływem tych chłopów młody nauczyciel ludowy staje się z niezorientowanej, zagubionej jednostki, świadomym działaczem i obrońcą interesów biedoty wiejskiej. Słowem, obraz przedwojennej wsi słowackiej przedstawiony został przez Krala w sposób pełen optymizmu i wiary w siłę wpływów radykalnych wśród szerokich mas chłopskich. Ten optymizm narzucił autorowi pewną jednostronność: pokazał on wieś stojącą na wyjątkowo wysokim poziomie uświadomienia politycznego. Tymczasem jednak w roku 1933 droga chłopa słowackiego do szeregów walczącego komunizmu nie była chyba tak łatwa i prosta — ucisk nędzy powodował wielkie zacofanie tego społeczeństwa chłopskiego. Ciemnota i klerykalizm długo jeszcze były potężnymi wrogami uświadomienia klasowego chłopów słowackich. Dlatego mimo dramatyczności i jaskrawości barw obraz Krala nie jest pełny i przekonywający. Mimo to książka zapoznaje czytelnika polskiego z mało mu znanymi dziejami dramatu społecznego, który rozgrywał się u sąsiadów zza Tatr.

W drugą skrajność wpada książka drugiego pisarza słowackiego, Józefa Horaka, „Lasy milczą" (Wydawnictwo Ludowe). Jest to powieść z czasów okupacji, z 1944 r. Terenem jej są zapadłe kąty górskie Słowacji, do których długo nie docierało z dolin ani światło myśli ludzkiej, ani żadne echa współczesności. Słowem, jakiś rezerwat prymitywu, w którym pędzono odosobnione, patriarchalne życie rodowe. Nawet echa okrutnej wojny i niewoli docierały tutaj słabo. Dopiero w czasie powstania słowackiego i partyzantki wtargnęło hitlerowskie żołdactwo i sfory gestapowskie w niedostępne dotychczas lasy górskie.

Kreśląc obraz tego raju naturalnego, w którym żył aż do tej pory gospodarz samotnej zagrody w górach — autor popada w pewną idealizację patriarchalnego bytu, tradycyj zbójnickich i religijności górali słowackich. Kwestia świadomości klasowej i w ogóle jakiegokolwiek zróżnicowania klasowego w tym obrazie prymitywnego bytu — dla autora nie istnieje. Jaskrawo podkreśla on moment braku jakiegokolwiek uświadomienia u tej zapomnianej przez świat i ludzi dostatniej góralskiej rodziny pasterskiej. Uświadomienie o najelementarniejszych sprawach współczesności jest okrutne: stary gospodarz natyka się w ojczystych lasach na szereg egzekucyj dokonywanych przez gestapo. Wzburzony stary rzuca się na herszta gestapowców, porywa go i zabija, czując, że działa w koniecznej obronie człowieka i człowieczeństwa. Tymczasem młody jego syn ratuje i ukrywa ranną spadochroniarkę radziecką. Romans młodych rozgrywa się na tle śmiertelnej, bohaterskiej walki partyzantów słowackich i radzieckich oraz niesłychanego barbarzyństwa wojsk hitlerowskich. W ten sposób dotarły do głuchego zakątka nieznane pojęcia: hitlerowiec i partyzant. Hitlerowiec był dla górali wrogiem wszystkiego, co ludzkie — a sprzymierzeńcem i obrońcą Słowaka był bojownik radziecki, kierujący partyzantką.

Powieść jest wybitną pozycją artystyczną mimo wysuniętych już zastrzeżeń ideowych oraz zbyt patetycznej, ekspresjonistycznej i naturalistycznej stylizacji i mimo bardzo niedoskonałego przekładu A. Brosza. **Janina Preger**

MARIAN PODKOWIŃSKI

FILM, KTÓRY BRONI POKOJU

Na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej wyświetlany jest obecnie wstrząsający film produkcji DEFA pt.: „Rat der Götter" (Rada bogów), stanowiący zbiorowy wysiłek artystyczny Friedricha Wolfa i Filipa Gechta (scenariusz). Kurta Maetziga (reżyseria), Hannsa Eislera (muzyka) i Paula Bildta — pamiętnego z roli prof. Sonnebrucka w „Niemcach" Kruczkowskiego — w roli tajnego radcy Maucha. Tłem filmu i jego treścią są dzieje wielkiego koncernu niemieckiego I. G. Farbenindustrie we Frankfurcie nad Menem, trustu, który w dziejach międzynarodowego imperializmu jest symbolem ukartowanej „współpracy" i polityczno-gospodarczej ekspansji niemieckich podżegaczy wojennych i „kasjerów" Trzeciej Rzeszy.

Film ten jest wielkim wkładem demokracji niemieckiej w dzieło utrwalenia pokoju, zdziera bowiem maskę z oblicza faktycznych twórców wojen światowych, dla których takie pojęcia jak „ojczyzna", „ból" czy „śmierć" nie istnieją. Ich miejsce zajęły inne słowa— „zyski i straty", „dywidendy i procenty". Pokazując na przykładzie zbrodni koncernu IG Farben kulisy przygotowań wojennych, twórcy tego filmu pragnęli, aby w przyszłości nikt nie mógł z pośród Niemców bronić się znanym argumentem, „że myśmy o tym nic nie wiedzieli".

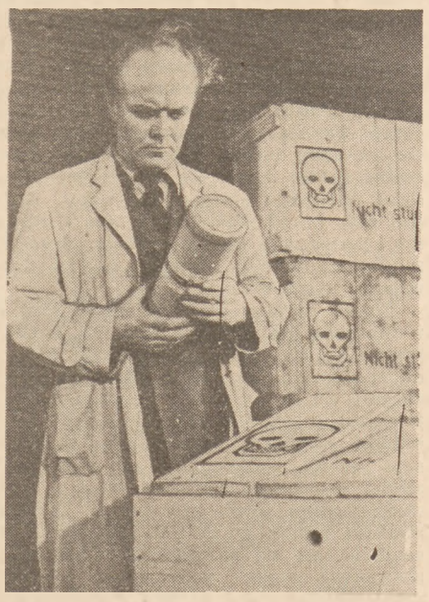

Prof. Hans Scholz (Fritz Tillmann) dowiaduje się do czego służy jego wynalazek — gaz Cyklon — dla trucia ludzi w Oświęcimiu.

W dyskusjach jakie się obecnie toczą w Niemczech na marginesie akcji zbierania podpisów przeciwko polityce atomowej USA, potępionej przez uchwałę sztokholmskiej konferencji Światowego Kongresu Pokoju, nie raz jeszcze napotyka się tutaj na fatalistyczne uwagi w rodzaju, że „wojny zawsze były i że wobec tego trudno doprawdy im przeciwdziałać". Film „Rada bogów" pokazuje wyraźnie, na przykładzie konkretnych ludzi i wydarzeń, że pojęcie to jest z gruntu fałszywe i że można zapobiec wojnie jeśli ludzie zdecydowanie wystąpią przeciwko knowaniom podżegaczy wojennych. Walka o pokój jest właśnie w tym momencie ważna, kiedy — jak powiada Maurice Thorez — „wojna i pokój wiszą na jednej nitce".

Zaletą filmu jest również i to, że pokazuje on milionom ludzi jak walczyć o pokój i w jaki sposób zwalczać machinacje owych międzynarodowych klik, które przygotowywały dawniej i pracują już obecnie nad wojnami. Gdy zdemaskowani zostaną prawdziwi twórcy wojen, gdy pokaże się masom bezrobotnych — w Niemczech zachodnich liczy się już ich na miliony jak ongiś, w Republice Weimarskiej — kto skazuje ich na śmierć, łatwiej będzie szerokim frontem ruszyć do likwidacji gniazd podżegaczy wojennych — nie tylko w Niemczech, ale i wszędzie tam, gdzie rządzą ich mafie.

Treścią filmu — jak wspomniałem — są dzieje koncernu IG Farben. Film pokazuje na konkretnym przykładzie koncernu-monstre we Frankfurcie nad Menem to, o czym myślał Lenin, gdy pisał w swoim czasie, że należy ludziom realnie przedstawić jak wielkie jest owo misterium, w którym rodzi się wojna.

Dokumentacja filmu oparta jest zarówno na licznych raportach ekspertów, którzy pracowali w r. 1945 nad aktami IG Farben (np. Robert Sasuly którego książka „IG Garben" ukazała się niedawno w języku polskim nakładem Państw. Instytutu Wydawniczego) jak i na obfitym materiale dowodowym z procesu — dodajmy zaraz operetkowego — w Norymberdze przeciwko „Radzie bogów" z IG Farben.

IG Farben były klasycznym przykładem międzynarodowej współpracy światowego monopolizmu na terenie hitlerowskich Niemiec. Trusty światowe były bowiem wielką podporą hitlerowskiego faszyzmu. Jeden z amerykańskich oskarżycieli w Norymberdze, pułkownik C. M. Gilbert napisał 19.X.1945 roku w londyńskim „Sunday Express", po swej wizycie w celi dr Hjalmara Schachta: „Schacht śmiał się w swej celi, gdy usłyszał, że oskarża się niemieckich przemysłowców o zbrojenia Niemiec. „Jeżeli chcecie oskarżyć przemysłowców, którzy pomagali przy zbrojeniu się Niemiec, musicie i swoich własnych oskarżyć" — powiedział Schacht. „Zakłady Opla należące do „General Motors" produkowały przecież wyłącznie dla celów wojennych".

Brytyjski oskarżyciel w Norymberdze, a później w procesie Mansteina, Elvyn Jones, pisał w sprawie IG Farben: „Koncern ten jest niezwykle szeroko rozgałęziony. Opanował on 380 niemieckich przedsiębiorstw oraz posiadał 500 firm w 93 krajach świata. Razem dysponował 9000 fabrykami lub brał udział w ich finansowaniu. IG Farben miała 2000 kartelowych umów z wpływowymi koncernami USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Japonii."

Klasyczną natomiast współpracą spółki podżegaczy wojennych była historia umowy między amerykańskim trustem Rockefellera „Standard Oil" i „Radą bogów" z IG Farben. Umowa ta jest zasadniczym wątkiem omawianego przez nas filmu.

Wiosną 1942 roku zastępca generalnego prokuratora USA, Arnold Thurman, stwierdził na jednej z podkomisji senatu, że Standard Oil i IG Farben zawarły umowę, zapewniającą obu firmom monopol światowy, wolny od wzajemnej i obcej konkurencji. „Standard" uzyskał monopol światowy w syntetycznej benzynie i nafcie, „Farben" — w chemikaliach. Skutki tej umowy były następujące: za czasów hitlerowskich — cytuję za książką Alberta Nordena „Czego uczą nas dzieje Niemiec" *) — Standard Oil zdradził trustowi IG Farben ulepszoną metodę produkcji syntetycznej gumy, której nie wydał rządowi Roosevelta nawet po katastrofie floty amerykańskiej pod Pearl Harbour i przystąpieniu USA do wojny. Standard Oil hamował w ciągu wielu lat rozwój amerykańskiej produkcji gumy na korzyść hitlerowskiego IG Farben. 26 marca 1942 roku Arnold Thurman oświadczył przed senacką komisją: „Standard Oil wstrzymywał produkcję buny (gumy syntetycznej), albowiem rząd hitlerowski nie życzył sobie ze względów wojskowych, byśmy produkowali ten rodzaj gumy."

Podczas wojny weszły w życie tajne klauzule tej umowy, która przewidywała m. inn. 50 procentowy zysk z fabrykowanej w USA benzyny lotniczej. Dostawy więc benzyny lotniczej podczas wojny dla Anglii oznaczały w praktyce zyski dla IG Farben. To wytworzyło oczywiście fantastyczną sytuację: każde bombardowanie niemieckich miast przez sprzymierzone lotnictwo przynosiło dywidendę „Radzie bogów" (nie jest również przypadkiem, że olbrzymie gmachy IG Farben we Frankfurcie nad Menem „ocalały" od bombardowań...)

Mając niejako zabezpieczone tyły, „Rada bogów" przystąpiła do organizacji wojennego mordu. Przede wszystkim zawiązano pakt z Hitlerem. Dano mu pieniądze na rozprawę z niemiecką demokracją. Po tym ukartowano plan gry wojennej. Augurowie z „Rady bogów" nie obawiają się dyktatora Trzeciej Rzeszy. Na filmie tajny radca Mauch mówił: „Będzie on silny, tylko na tyle, na ile my będziemy tego chcieli."

W roku 1938 rząd hitlerowski zażądał od IG Farben usprawnienia produkcji gazów trujących. IG Farben reprezentowała 95 proc. niemieckiej produkcji gazów. Amerykański senator Hartley M. Kilgore, przewodniczący komisji senatu która rozpatrywała w Waszyngtonie sprawę zbrodni „Rady bogów" z IG Farben, powiedział: „Podczas mego pobytu we Frankfurcie (grudzień 1945) był właśnie przesłuchiwany Schmitz, prezes IG Farben (na filmie tajny radca Mauch) i w tymże dniu przyznał, że robił wszystko, by skłonić Hitlera do użycia absolutnie zabójczego gazu, albowiem sądził, iż pomoże to Niemcom do zwycięstwa".

IG Farben rozpoczęła pierwsze doświadczenia. Oczywiście królikami byli przy tych pracach — więźniowie z KZ. W samym roku 1943 wysłano do Oświęcimia 12.180 kg Cyklonu. Na pytanie sędziego śledczego, czy wszyscy dyrektorzy IG Farben wiedzieli o tym, Georg von Schmitzler z zarządu głównego tego koncernu, oświadczył publicznie: „Tak, wiedział o tym nie tylko kierownik produkcji gazów trujących Ambros, ale i wszyscy nasi dyrektorzy wiedzieli dobrze, że gazy służą do mordowania ludzi w Oświęcimiu."

W kwietniu 1941 pisał wspomniany Otto Ambros:

„...nasza nowa przyjaźń z SS okazuje się bardzo korzystna: w 1942 roku tylko Oświęcim otrzymał 7480 kg Cyklonu, w rok później już 12180..."

Tak współpracowało święte przymierze „Rady bogów" z hitlerowskim reżimem. Wall Street patronowała mu aż do gorzkiego końca. Z chwilą upadku Berlina wchodzi w grę Plan C. (Plan A oznacza przygotowania wojenne, plan B wojnę). Plan C przewiduje ratowanie IG Farben przez amerykańskich wspólników. Pośrednik przymierza, przemysłowiec Lawson (prototypem jest Allen Dulles) „opiekuje" się swymi kontrahentami z „Rady bogów". Film z całą otwartością pokazuje tajne nici łączące międzynarodówkę kapitału i stali. Lawson „robi" proces w Norymberdze, powoduje dymisję amerykańskiego prokuratora, który chce ukarać zbrodniarzy, ale nie wie o ich potężnych patronach w amerykańskim trybunale, za kulisami którego kryje się amerykański akcjonariusz IG Farben.

Ledwie kończy się szopka z procesem, gdy już ruszają pierwsze piece w Leverkusen, Höchst i w Ludwigshafen. „Rada bogów" wypoczywa na tle bawarskiej przyrody — w amerykańskiej strefie Niemiec — a ich patron Lawson zaczyna od tajnej produkcji gazu.

Dramatycznym akordem filmu jest tajemniczy wybuch gazu w fabryce IG Farben w Ludwigshafen-Oppau, gdzie ginie setki robotników. Podżegacze wojenni schwytani zostali na gorącym uczynku.

*

Na tle tego zasadniczego nurtu, ukazującego istotnych sprawców wojen, dramatycznym konfliktem filmu „Rada bogów" jest stosunek pracowników tego koncernu do wojennych przygotowań jego właścicieli. Początkowo główny bohater narastającego konfliktu, wybitny chemik w IG Farben, dr Hans Scholz, zachowuje się biernie. Jest typem owego uczonego niemieckiego, który interesuje się tylko swą pracą naukową i badawczą w laboratoriach, fantastycznie wyposażonych we wszelkie możliwe udogodnienia. Nie obchodzi go wcale do jakiego celu przeznaczone są jego wynalazki i patenty. Chociaż jego wuj, klasowo uświadomiony robotnik w tychże zakładach, wskazuje mu na przykładzie blaszanki z „Cyklonem" przeznaczonej dla Oświęcimia, w jakim kierunku idą wynalazki jego laboratorium, dr Scholz — typ „tylko-naukowca" — okłamuje sam siebie znaną tezą, że przecież on nic nie ma z polityka wspólnego, jego interesuje tylko nauka. Dusi w sobie skrupuły i przyjmuje wyróżnienia od „Rady bogów" nawet wtedy, kiedy pokazują mu na fabryce doświadczenia z Cyklonem w komorze gazowej.

Dopiero tragiczny koniec wojny i zeznania w charakterze świadka na procesie norymberskim, kiedy dr Scholz widzi całą ohydę międzynarodowego spisku kapitalistów, przełamują pierwsze lody. Topnieją one zupełnie, gdy na fabryce, którą kieruje obecnie sam Scholz przy pomocy rady załogowej, zjawia się nagle amerykański patron „Rady bogów" i postanawia dalej kontynuować dawną politykę IG Farben. Scholz zrywa z koncernem w momencie, kiedy wielka eksplozja w Ludwigshafen kładzie kres ostatnim jego złudzeniom co do intencji międzynarodowych trucicieli ludzkości.

Staje na czele robotników i prowadzi ich pod gmach dyrekcji, gdzie urzęduje już przy boku Amerykanina Lawsona, wielki truciciel, tajny radca Mauch. Spontaniczna manifestacja pokojowa jest ostatnim akordem filmu.

Reżyser filmu, Kurt Maetzig zastosował z powodzeniem metodę faktomontażów, która stwarza atmosferę realizmu, cechującą cały obraz. Paul Bildt świetnie uchwycił sylwetkę tajnego radcy Maucha, przemysłowego rekina, który w chwilach wolnych od trucia ludzi, karmi swe złote rybki w akwarium. Willy Kleinau nie mniej trafnie ujął rolę Lawsona, owego gburowatego Amerykanina, który morduje ludzi, ale dotrzymuje kontraktów. Albert Garbe był dobrym odbiciem Onkel Karla, komunisty, który ze spokojem i równowagą prowadził tajne kółka na fabryce, świadomy nieuchronnej porażki hitlerowskich bandytów. On to pod wrażeniem wybuchu w Ludwigshafen powiada: „To jest ta prawda, cała prawda i nikt już nie będzie mógł w przyszłości powiedzieć, że nic o tym nie wiedział."

Film „Rada bogów" jest najlepszym dotychczasowym osiągnięciem produkcji demokratycznych Niemiec. Jest to film, który warto pokazać w Polce.

Marian Podkowiński

*) A. Norden „Czego nas uczą dzieje Niemiec. O roli politycznej kapitału przemysłowego i junkierstwa". „Książka i Wiedza" W-wa, 1949.

Tajny radca Mauch (Paul Bildt) z IG Farben i jego wspólnik ze Standart Oil mr. Lawson (W. A. Kleinau).

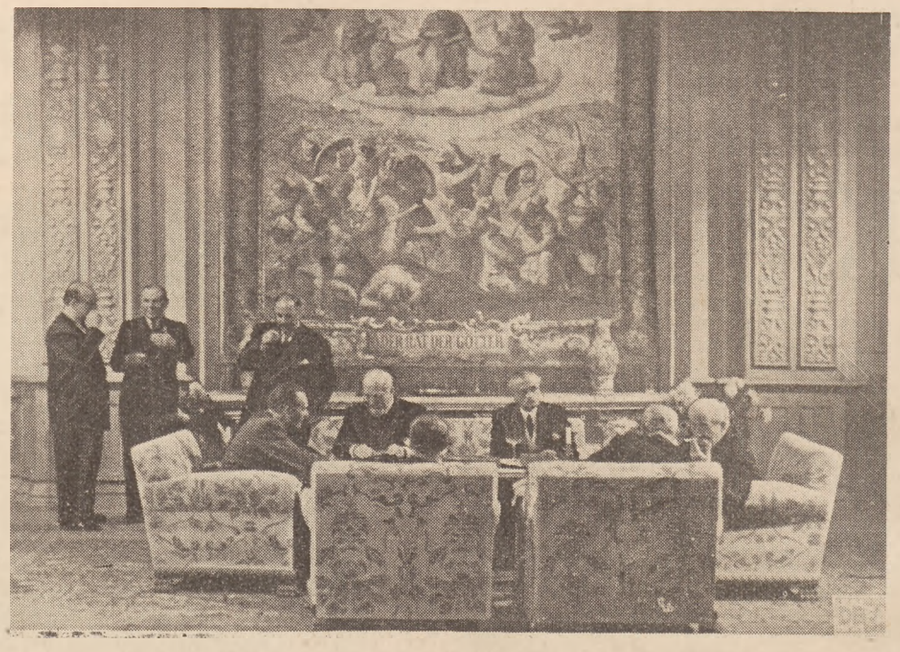

Zarząd IG Farben na tle gobelinu z homerowskiej legendy.

Kronika radziecka

O roli aktora w filmie

W 22 n-rze gazety „Sowietskoje Iskusstwo" słynny aktor, laureat nagrody Stalinowskiej L. Swierdlin, w artykule p. t.: „Aktor w filmie" pisze: „W ideowo-twórczych sukcesach radzieckiego filmu jest duża zasługa aktorów filmowych. Poziom gry aktora w dużej mierze określa jakość filmu. Przecież ideową treść, temat, nastrój, obrazy ludzi ucieleśnia i wydobywa właśnie aktor. Ogromna jest rola reżysera, operatora, artysty-plastyka i kompozytora, ale w gruncie rzeczy są oni właściwie po to, by wzmacniać to co wyrażone zostało w postaciach ludzi kształtowanych na ekranie przez aktorów". I dalej: „Nie istnieje już u nas ów haniebny sposób filmowania, gdy aktora po prostu „zdejmuje się" „zgodnie z umową" i nie dopuszcza się go do twórczej pracy nad filmem a sam on nie interesuje się całością." „Aktor powinien odpowiadać nie tylko za tworzony obraz, lecz także za koncepcję utworu w całości... Stanisławski uczył aktorów, by bez pośpiechu, starannie wyszukiwali prawdziwe ziarno i, gdy wreszcie je znajdą, by wszechstronnie pielęgnowali je i rozwijali, aż dojrzeje."

Prasa radziecka dużo miejsca poświęca zagadnieniom gry aktorskiej, zarówno w teatrze jak w filmie. I nic dziwnego: każdemu, kto zna teatr i film radziecki, rzuca się przede wszystkim w oczy wysoki mistrzowski poziom gry aktorów, w wielu wypadkach kompensującej słabe miejsca sztuki czy filmu. Nieraz zresztą jakaś epizodyczna rola ze względu na wykonanie jest sama w sobie arcydziełem. Weźmy np. taki powszechnie znany film, jak „Opowieść o prawdziwym człowieku" a w nim rolę komisarza Worobjowa, niezmiernie trudną, gdyż aktor przez cały czas gra rolę leżącego, rannego człowieka — i wykonanie tej roli przez Ochłopkowa. Cóż by tu pomógł genialny nawet reżyser, gdyby nie wspaniała mistrzowska gra Ochłopkowa?

Nawet przy powszechnym docenianiu gry aktorskiej w ZSRR Swierdlin znajduje jednak pewne niedomagania i poddaje je krytyce, np. gdy idzie o zmianę kolejności scen, już przy montażu filmu: „Nie zawsze jeszcze docenia się u nas znaczenie wewnętrznego twórczego samopoczucia aktora pracującego w nowym filmie. Dajmy na to, w scenariuszu jest fragment, w którym bohater się cieszy, i drugi — w którym bohater przeżywa coś ciężkiego. Aktor starannie szuka, aż wreszcie znajduje odpowiednie ujęcie tych dwóch kontrastowych stanów psychicznych, wychodząc właśnie z ich kolejności w rozwoju gry. I nagle, w gotowym już filmie, okazuje się, że epizody te są dane w odwrotnej kolejności Powstaje wrażenie fałszu, dwulicowości, odpychające najmniej nawet wybrednego widza. Przecież arytmetyczna formułka „przy zmianie miejsc składników suma się nie zmienia" absolutnie nie da się zastosować w filmie".

I tu Swierdlin dochodzi do najważniejszej bodaj rzeczy: „Trzeba pamiętać o widzu, gdyż po wyjściu z kina nie można mu wytłumaczyć, kto jest winien, że film się „rozłazi", że obrazy są pasywne, że film jest słaby". Swierdlin uważa, że dotyczy to wszystkich filmów, przede wszystkim jednak filmów opartych o znane powieści, i dodaje: „Widza interesuje, dlaczego aktor nie oddaje w filmie postępowania bohatera książki. Aktor wraz ze scenarzystą i reżyserem musi od samego początku pracy nad filmem brać pod uwagę zdanie czytelników — przyszłych widzów". A dalej, analizując sposoby pracy nad filmem i zdarzające się jeszcze poszczególne wypadki „dyktatorskiego" stosunku reżysera do aktorów, autor pisze: „Dziwić się tylko można lękowi reżyserów, którzy potrafią najmniejszy objaw twórczej aktywności aktora traktować jako swojego rodzaju „egoizm" aktorski, „zaborczość", „wtrącanie się w nie swoje rzeczy."

W zakończeniu artykułu czytamy: „Nasi najlepsi reżyserzy zdobyli sobie zarówno w kraju jak i za granicą szeroką popularność stworzeniem świetnych filmów. Ich sztuka będzie wciąż rosła i rozwijała się. Droga reżysera w kierunku dalszych sukcesów twórczych będzie ułatwiona, jeżeli postara się on — tak jak dobry dyrygent — by w tej skomplikowanej orkiestrze, jaką jest zespół tworzący film, każdy instrument dźwięczał w pełni. Aby to osiągnąć, trzeba dokładnie znać właściwości i liczyć się z doniosłością twórczej pracy każdego uczestnika pracy nad filmem."

Anna Lau-Gniadowska

Stolik montażysty filmowego

BĘDZIE FILM

Organizacje zawodowe i artystyczne na całym świecie protestują energicznie przeciwko wyrokowi najwyższego sądu Stanów Zjednoczonych w sprawie dziesięciu postępowych scenarzystów.

W tych dniach odbyła się w Hollywood wielka manifestacja protestacyjna zorganizowana przez Związek Techników Filmowych. Niesiono transparenty o następującej treści:

„Żądamy pełnego utrzymania deklaracji praw obywatela".

„Żądamy od najwyższego sądu zwolnienia dziesięciu z Hollywood".

„Będziemy walczyć o amerykańską wolność."

Czytelnika polskiego zainteresuje na pewno fakt, jacy aktorzy i realizatorzy Hollywood nie zastraszeni nawet decyzją sądu najwyższego podpisali protest. Jak wiadomo przed dwoma laty aż 60 czołowych gwiazd i realizatorów filmowych protestowało przeciw pierwszemu wyrokowi. W ciągu tych dwu lat wzrósł nacisk władz stanowych i federalnych. Każdy protestujący naraża się na natychmiastową utratę pracy i na wpisanie na czarną listę. Mimo to znaleźli się odważni, zdecydowani popierać nieanonimowo hollywoodzką dziesiątkę. Są to: Charlie Chaplin, który nie może już kręcić filmów w USA, John Huston, znakomity twórca filmu „Skarb z Sierra Madre" wyświetlanego z wielkim powodzeniem na robotniczych festiwalach w Czechosłowacji w ubiegłym roku. Wytwórnia „Metro" za karę odebrała Hustonowi reżyserię „prestiżowego" filmu „Quo Vadis". Dalej zaprotestowali aktorzy Burt Lancaster, sam podejrzany o komunizm za udział w filmie „Siła Brutalna", demaskującym gestapowskie systemy więzień w USA. Sam Wanamaker — nowa gwiazda Hollywood, Shelley Winters, i Marsha Hunt. Spośród osób bezpośrednio związanych z filmem: Howard da Silva, Morris Carnovsky, Farley Granger i Betsy Blain, żona „pierwszego tancerza Ameryki."

Uzależniona od wielkich koncernów prasa amerykańska przedstawia obecnie skazanych dziesięciu jako „szkodników narodowych i gospodarczych", ludzi na żołdzie „obcego mocarstwa" itd. itd.

Prawda wygląda zupełnie inaczej. Wszyscy oskarżeni: Edward Dmytryk, Albert Maltz, Herbert Biberman, Alvah Bessie, Dalton Trumbo i inni realizowali w czasie wojny filmy antyfaszystowskie i potępiające „doktrynę" rasistowską.

Znakomity realizator amerykański, twórca „Rodzinnego kraju" Paul Strand powiedział:

„Jeżeli działalność antyfaszystowska jest równoznaczna z działalnością komunistyczną, to rzeczywiście oskarżeni są komunistami, gdyż przyczynili się do zwycięstwa nad faszyzmem. Dla mnie są oni szczerymi Amerykanami, kochającymi wolność."

Aby przedstawić swój punkt widzenia, dziesięciu oskarżonych przystąpiło do realizacji filmu na temat swej pracy, działalności artystycznej a nawet stosunków rodzinnych. Mimo niewinności tematu policja przeszkadzała w zdjęciach plenerowych, a w jednym wypadku zażądała wydania taśmy. Operator nie tracąc przytomności wydał taśmę nienaświetloną, zachowując negatyw. Dzięki temu film został zachowany i jest do dyspozycji właścicieli aparatów filmowych zarówno na taśmie szerokości 16 jak i na 35 mm. .

Niewątpliwie ciekawy film! Jego zakup i wyświetlanie u nas byłby piękną formą pomocy wobec dziesiątków autorów z Hollywood skazanych nie tylko na więzienie ale i na uciążliwe bezrobocie, gdyż żaden producent nie da im pracy.

Myśl rzucona — „aktualności" czekają.

Puk.

KORESPONDENCJA

Stanowisko „Artosu"

W numerze 9-tym „Nowej Kultury" zamieszczony był felieton o imprezie literackiej „Wieczory pod lipą" zorganizowanej przez ARTOS.

Całkowity przebieg tej imprezy, powyższy felieton oraz cenne uwagi nadesłane nam przez innych uczestników tej akcji imprezowej — były szeroko omawiane na zebraniu pracowników ARTOSU. Stwierdzono, że wytknięte błędy i niedociągnięcia organizacyjne istotnie miały miejsce. Winę w tym wypadku ponoszą zarówno pracownicy Centrali, jak i delegaci terenowi ARTOSU, którzy nie docenili trudności związanych z organizowaniem w terenie nowego — w praktyce ARTOS-u — rodzaju imprez i nie dołożyli niezbędnych starań w kierunku należytej organizacji widowni. Fakt, że była to pierwsza tego typu akcja literacka wśród około 4-ch tysięcy różnego rodzaju imprez artystycznych zorganizowanych dotychczas przez ARTOS, nie zwalnia od odpowiedzialności tych pracowników, których bezpośrednim obowiązkiem było dopilnowanie właściwej organizacji imprez.

W stosunku do tych pracowników wyciągnięto właściwe wnioski.

W dyskusji zwrócono uwagę, że podczas gdy inni uczestnicy objazdów literackich ARTOS-u, jak Lucjan Rudnicki, J. Brzechwa, St. R. Dobrowolski, K. I. Gałczyński, J. Gomulicki, R. Matuszewski podkreślili w swych wypowiedziach zarówno negatywne jak i pozytywne doświadczenia płynące z zainicjowanej akcji objazdowej, — to w ujęciu autora felietonu cała sprawa znalazła jedynie jednostronne, wyłącznie negatywne naświetlenie.

Nadesłane przez literatów wypowiedzi pozwalają nam wyciągnąć cały szereg praktycznych wniosków dotyczących właściwego ustawienia tego rodzaju imprez w przyszłości.

Dyrektor
(—) Stanisła.. Siekierko

Tajemnice niezmienności

W swojej „Próbie obrachunku" — Na temat Prozy", „Próbie" zamieszczonej w 11-ym numerze „Nowej Kultury", Ryszard Matuszewski pisze: — „okres jaki nas dzieli... od Zjazdu ZLP w Szczecinie... to okres, w którym daje się odczuwać dotkliwie dezorientacja wielu artystów, tworzących dotąd w oparciu o... reguły dawnego psychologistyczno-formalistycznego warsztatu pisarskiego." Mówiąc zaś dalej o drugim tomie „Murów Jerycha", a raczej pierwszej części drugiego tomu p.t. „Niebo i ziemia", która się ukazała w tym okresie, powiada: „książka ta nie wskazuje na to, by w typowo psychologistycznym, pełnym prousstowskich subtelności warsztacie pisarskim Brezy zaszły jakieś zmiany, jeśli pominąć pewne — godne zanotowania — uproszczenia stylistyczne, pewien, żeby użyć terminu Wyki — „karczunek baroku". — Otóż nie wdając się w samą sprawę muszę jedną rzecz stwierdzić. A mianowicie to, że na podstawie „Nieba i ziemi" w żadnym wypadku nie można zawyrokować czy w moim warsztacie pisarskim zaszły jakieś zmiany, czy nie. To się dopiero okaże. To się może okazać wyłącznie na jakiejś nowej książce. Nowej, to znaczy napisanej w okresie ostatniego pięciolecia. „Niebo i ziemia" natomiast nie są książką nową, nie są książką napisaną w okresie ostatniego pięciolecia. Są książką w całości napisaną w czasie okupacji.

Tak „Mury Jerycha" jak i „Niebo i ziemia" zostały powierzone przeze mnie „Czytelnikowi" w roku 1945. „Mury" ukazały się w roku 1946. Bezpośrednio po ich ukazaniu się otrzymałem nagrodę „Odrodzenia". W tym okresie zamieściłem w pismach literackich wiele fragmentów z już gotowego „Nieba i ziemi". Między innymi w „Twórczości" z sierpnia 1946 r. wydrukowałem cały rozdział z pierwszego tomu „Nieba i ziemi", rozdział (tak jak i wiele innych fragmentów z „Murów Jerycha" i „Nieba i ziemi") czytany za okupacji, a również na pierwszym bodajże wieczorze literackim w Krakowie, w samym zaraniu naszej nowej literackiej epoki. Rozdział ten jak i pozostałe fragmenty zamieszczane, drukowałem z adnotacją „fragment z powieści, która się niebawem ukaże nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

Kiedy jednak zaczęły napływać krytyki o „Murach Jerycha", we wszystkich powtarzało się ubolewanie, że książkę czyta się nie łatwo. Ludzie też na prawo i lewo powtarzali mi, że czyta się ją jak z kamienia. Zmniejszało to jej zasięg. Również i dla mnie stało się to oczywiste. Odebrałem więc z „Czytelnika" „Niebo i ziemię" i siadłem do niego na rok. W końcu 47 roku zwróciłem książkę wydawnictwu.. W tym okresie z tego „Nieba i ziemi" znowu zacząłem po różnych pismach literackich zamieszczać całe mnóstwo fragmentów. „Notatnik Dykierta" w „Kuźnicy", „Spacer byłego ministra" w „Odrodzeniu", „Mały bies Derfczyński" w „Dzienniku Literackim" i inne. Wszystko to były — „fragmenty z powieści „Niebo i ziemia" mającej się niebawem ukazać nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

„Czytelnik" oddał książkę do drukarni, drukarnia ją złożyła, zrobiłem pierwszą korektę, znowu zamieściłem kilka fragmentów. W tym okresie ukazał się w „Odrodzeniu" artykuł Adama Ważyka. W artykule tym, pozytywnie oceniając zmiany w moim wysłowieniu stylistycznym Ważyk pisze: „Czytając... fragmenty nowej powieści Brezy, z radością zauważyłem że autor uwolnił się od językowej koncepcji stylu". Od tego czasu Ważyk zdążył napisać wiele innych rozpraw i artykułów. Zdążył wydać książkę w której je zebrał. Z książki tej każdy mógł się dowiedzieć od czego w mojej nowej książce się uwolniłem. Nikt jednak nie mógł tego w całej rozciągłości sprawdzić, bo samej książki nadal jak nie było tak nie było.

Minął znowu rok z okładem, aż nareszcie w Instytucie Wydawniczym „Czytelnika" zaszły zmiany. Jakiś, a raczej pewien czynnik oporu oddalił się z tego wydawnictwa. Godny potępienia, a dla zainteresowanych autorów potępieńczy martwy punkt został przezwyciężony. Poczęły na świat dzienny wypływać książka za książką. A więc z pośród wielu innych, na przykład, „Mitologia" Jana Parandowskiego. Z informacji wydawniczej, zamieszczonej przy tej książce dowiadujemy się, że tę „Mitologię" oddano do druku we wrześniu 47 roku! Ale zanim ją oddano do drukarni, też przecie musiało upłynąć kilka miesięcy. Tak więc ze trzy lata co najmniej wysiedziała się ona u „Czytelnika" w lochu.

Tylko że takiej to dobrze! Na takiej „Mitologii" niejasno widać dokąd autor zdąża i czy nadąża. Przy takim temacie nie występują z całą jaskrawością różne mylne perspektywy. Przy takim temacie nikt nie będzie wyciągał mylnych wniosków dotyczących warsztatu Parandowskiego, w wypadku kiedy ujdzie uwadze takiego kogoś fakt, że między rokiem powstania jakiejś książki a rokiem wydania upłynął przecież cały ocean czasu.

Tadeusz Breza

Tydzień kulturalny

OTWARCIE HISTORYCZNEJ WYSTAWY „CZERWONY KRAKÓW"

W domu krakowskich związków zawodowych otwarta została wystawa historyczna „Czerwony Kraków", obrazująca przebieg i rozwój ruchów społecznych i rewolucyjnych w Krakowie od czasów Kościuszki i Kołłątaja aż po dzień dzisiejszy. Wystawa zawiera portrety krakowskich działaczy i myślicieli postępowych, fotografie i dokumenty z okresu pobytu w Krakowie Lenina i Stalina oraz liczne eksponaty o charakterze pamiątkowym.

Na specjalne wyróżnienie zasługują eksponaty, obrazujące zdobycze ludowego Krakowa, osiągnięcia produkcyjne poszczególnych fabryk i zakładów pracy.

OBRADY ZJAZDU ASTRONOMÓW WE WROCŁAWIU

II ogólnokrajowy zjazd astronomów polskich zgromadził w sali posiedzeń senatu Politechniki Wrocławskiej 20 astronomów z całego kraju oraz 12 astronomów przybyłych ze Związku Radzieckiego, pod przewodnictwem prof. Uniwersytetu w Moskwie Borysa Kukarkina.

Przedmiotem obrad zjazdu były zagadnienia astronomii ogólnej, astrometrii i fotometrii.

W obserwatorium otwarta została wystawa najnowszych wydawnictw naukowych z zakresu astronomii oraz plansz, przywiezionych przez uczonych radzieckich w darze dla obserwatorów polskich.

NOWY ZARZĄD PEN CLUBU

Na walnym zebraniu Pen Clubu Polskiego dokonano wyborów uzupełniających do Zarządu. Nowy zarząd ukonstytuował się następująco: Prezes Jan Parandowski, wiceprezesi: Maria Dąbrowska i Zofia Nałkowska, sekretarz generalny Michał Rusinek, skarbnik Tadeusz Breza, członkowie Zarządu: Pola Gojawiczyńska, Jarosław Iwaszkiewicz, Irena Krzywicka, Jan Nepomucen Miller, Maria Bechczyc-Rudnicka, Aleksander Wat, Jerzy Zawieyski.

WYSTAWA PRAC TEOFILA OCIEPKI

Przy poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki w salonie „Nike" otwarta została wystawa prac malarskich Teofila Ociepki, malarza samouka, pracującego jako maszynista turbin w kopalni im. Wieczorka w Janowie na Śląsku.

SŁOWNIK AUTORÓW POLSKICH XVI WIEKU

Zakład Językoznawstwa Polskiego na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Wrocławskiego przygotowuje wydanie słownika autorów polskich XVI w. Praca ta prowadzona jest z ramienia Instytutu Badań Literackich w Warszawie przez grupę pracowników naukowych pod kierunkiem prof. dra Stanisława Rosponda i prof. dra Władysława Kuraszkiewicza.

NARADA TWÓRCZA POŚWIĘCONA PIEŚNI MASOWEJ

Z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Polskiego Radia odbyła się w Nieborowie narada twórcza kompozytorów i literatów poświęcona zagadnieniu pieśni masowej. W obradach wzięli udział minister Kultury i Sztuki Stefan Dybowski oraz prezes Centralnego Urzędu Radiofonii Wilhelm Billig.

Po dokładnym przeglądzie i szczegółowej analizie dotychczasowego naszego dorobku w dziedzinie pieśni masowej, wywiązała się ożywiona dyskusja, w czasie której określono braki tej twórczości, jak również ustalono wytyczne jej dalszego rozwoju.

Zebrani postanowili przystąpić do współzawodnictwa na polu tworzenia pieśni masowej.

NADANIE ORDERU SZTANDARU PRACY GRZEGORZOWI FITELBERGOWI I WITOLDOWI ROWICKIEMU

Z okazji 5 lecia istnienia Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia minister Kultury i Sztuki S. Dybowski udekorował w imieniu Prezydenta R. P. orderem Sztandaru Pracy Grzegorza Fitelberga i Witolda Rowickiego zasłużonych dyrygentów tej orkiestry. Dekorując dyrygentów minister, w myśl zarządzenia Prezydenta, udekorował symbolicznie cały zespół orkiestry.

SPROSTOWANIE

Redakcja „Nowej Kultury" przez przeoczenie nie zaznaczyła, że wszystkie wiersze na pierwszej stronie w Nr. 11 zostały wyjęte z „Antologii walki o pokój", która ukaże się niebawem nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w opracowaniu Jerzego Grygolunasa.

REDAKCJA

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Koncerty zjazdowe

Ubiegły tydzień w Warszawie obfitował w wydarzenia muzyczne o doniosłym znaczeniu dla ogólnopolskiego ruchu kulturalnego. Mamy tu na myśli piąty po wojnie Walny Zjazd Związku Kompozytorów Polskich i związane z nim uroczystości i imprezy muzyczne. Do ogólnych wyników Zjazdu, na którym w ogniu dyskusji kształtowały się wytyczne nowych dróg polskiej twórczości muzycznej, powrócimy w jednym z najbliższych numerów „Nowej Kultury". Obecnie chcielibyśmy zająć się po krótce koncertami odbywającymi się w okresie trwania obrad kompozytorów polskich.

Na czoło wysuwają się koncerty zorganizowane w ramach Walnego Zjazdu ZKP z okazji pięciolecia istnienia i działalności Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. Orkiestra ta z szesnastoosobowego zespołu, który — pod kierownictwem pełnego inicjatywy organizatora i kapelmistrza, *Witolda Rowickiego* — wystąpił po raz pierwszy 25 marca r. 1945, przerodziła się wkrótce w liczny i sprawny zespół symfoniczny. Przyjazd do kraju — w sierpniu 1947 r. — słynnego dyrygenta *Grzegorza Fitelberga*, który stanął na czele katowickiej orkiestry, przyczynił się do szybkiego jej rozwoju. Dziś, ta stuosobowa orkiestra — to nie tylko w prawdziwym znaczeniu tego słowa reprezentacyjny polski zespół symfoniczny. To zespół niezwykle zdyscyplinowany, pełen entuzjazmu do pracy, dysponujący szeregiem doskonałych muzyków, zespół wyrównany we wszystkich grupach instrumentalnych, zgrany w stopniu takim, jaki nie często obserwuje się u orkiestr o długoletnich nawet tradycjach. Kierownictwo spoczywające nadal w rękach dwóch wybitnych artystów: młodego a niezwykle utalentowanego Witolda Rowickiego i tak doświadczonego mistrza batuty kapelmistrzowskiej, jak Grzegorz Fitelberg, pozwala wierzyć w dalszy rozkwit tej pożytecznej placówki muzycznej.

Pierwszy z jubileuszowych koncertów odbył się w sali „Romy" w piątek 16 bm. Część oficjalna uroczystości zawierała przemówienia Ministra Kultury i Sztuki, przedstawiciela Polskiego Radia i Prezesa Związku Kompozytorów Polskich. Kapelmistrzów orkiestry, Fitelberga i Rowickiego, udekorowano orderem „Sztandaru Pracy". W programie części muzycznej znalazły się wyłącznie utwory polskie.

Czarująca uwertura koncertowa Moniuszki „Bajka' nabrała świeżych barw w świetnym wykonaniu katowickiej orkiestry. Wspaniale brzmiały również dwa fragmenty z baletu „Harnasie" Szymanowskiego: „Redyk" i kapitalny, pulsujący krwistym temperamentem „Taniec góralski". Wykonaniu poematu symfonicznego „Step" Noskowskiego zarzucilibyśmy zbytnią dowolność interpretacji w „polonezowym" fragmencie utworu. Nieoczekiwane „fermaty" raptowne zahamowania tempa odbierały temu fragmentowi rozmach i płynność rytmu prawdziwego poloneza. Utworami tymi dyrygował Rowicki, wykazując (poza tym drobnym szczegółem) dobry zmysł interpretacji i nadzwyczaj oszczędną, estetyczną, a zawsze celową plastykę kapelmistrzowską.

W drugiej części koncertu usłyszeliśmy Symfonię B-dur Tomasza Kiesewettera, o której pierwszym wykonaniu w Warszawie pisaliśmy niedawno obszernie („Kuźnica" nr 12 z dn. 26 marca br.). Świetna dyrekcja Fitelberga i sprawność orkiestry uwypukliła w pełni zamierzenia twórcze kompozytora, odsłaniając wszystkie zalety jego utworu.

Drugi jubileuszowy koncert Orkiestry Polskiego Radia zawierał w programie aż dwa prawykonania nowopowstałych utworów polskich: „Szkice Symfoniczne" *Bolesława Woytowicza* i koncert na orkiestrę smyczkową *Grażyny Bacewiczówny*.

Autor „Symfonii Warszawskiej" i „Kantaty na pochwałę pracy" wystąpił tym razem z trzema obrazkami symfonicznymi, tworzącymi wspólnie jednolity cykl. Używamy tu świadomie określenia „obrazki", gdyż „Szkice Symfoniczne" Woytowicza cechuje bezwątpienia podkład programowy, posunięty w ostatnim z nich („Polonez") do pewnego rodzaju ilustracyjności. Nawiasem mówiąc, ten właśnie szkic jest, jak nam się zdaje, najmniej udany. Satyra społeczna, która jest jego programowym założeniem, wyrażona środkami muzycznymi wypada jakoś nieprzekonywująco; myśl kompozytora, dla której poświęcił zwartość formy i jednolitość stylu, bez drukowanego komentarza i tak jest dla słuchacza nieuchwytna. Bardzo piękne są natomiast dwa pierwsze szkice: „Intermezzo rustico", o melodyce ludowej doskonale wykorzystanej do zbudowania kunsztownego kanonu, oraz świadomie archaizowana „Kołysanka" — subtelna w nastroju, wytworna w fakturze brzmieniowej, pełna powagi i skupienia. Język muzyczny „Szkiców" jest prosty, jasny i zrozumiały a przy tym wolny od szablonu i łatwizny.

Te same słowa można by powtórzyć dla zobrazowania stylu „Koncertu na orkiestrę smyczkową" Bacewiczówny. Tyle, że styl ten jest zupełnie odmienny od tego, którym posługuje się Woytowicz. Prostoty i zrozumiałości szuka kompozytorka w nawiązaniu do tradycji klasycznej, sięgając do faktury wielogłosowej, do surowych rygorów orkiestry złożonej wyłącznie ze smyczków, do bachowskich wzorów konstrukcji. Solistyczne traktowanie poszczególnych instrumentów (skrzypce, altówka i wiolonczela) przypomina żywo technikę dawnego „concerto grosso". Najbardziej klasyczny charakter ma główny temat części pierwszej „Allegro". Część druga („Andante") — to rodzaj lirycznej, pełnej nastroju Arii, trzecia zaś (Vivo) — nacechowana temperamentem i brawurą — daje orkiestrze pole do prawdziwie wirtuozowskiego popisu. Utwór ten napisany w r. 1949, bezpośrednio przed III koncertem skrzypcowym, obrazuje twórczy wysiłek Bacewiczówny zmierzający stale do wykrystalizowania własnego, samodzielnego a jednocześnie dostępnego dla wszystkich języka muzycznego.

W programie usłyszeliśmy ponadto dwa utwory radzieckie: Pierwszą Symfonię *Dymitra Szostakowicza*, utwór zawierający wiele fragmentów świetnej muzyki, symfonię, która postawiła kompozytora od razu w rzędzie czołowych twórców, oraz czarującą, pełną zawsze świeżego wdzięku „Symfonię klasyczną" *Sergiusza Prokofiewa*. Symfonią tą dyrygował *Grzegorz Fitelberg*, ten sam, pod którego dyrekcją odbyło się jej prawykonanie w roku 1918 w Pawłowsku. Utworami Szostakowicza i Woytowicza dyrygował *Witold Rowicki*.

Ostatni występ orkiestry katowickiej w Warszawie odbył się w poniedziałek 19 bm. Program zawierał uwerturę do „Sprzedanej Narzeczonej" Smetany, „Tańce z Galanty" Kodaly'ego i — ponownie — fragmenty z „Harnasiów" Szymanowskiego (dyrygował W. Rowicki), w drugiej zaś części jeszcze raz usłyszeliśmy Symfonię Kiesewettera (dyrygował G. Fitelberg).

*

W sobotę dnia 17 bm. w sali „Ogniska" odbył się koncert współczesnej polskiej muzyki kameralnej, zorganizowany przez Zarząd ZKP wspólnie z Polskim Wydawnictwem Muzycznym. Program zawierał Wariacje na temat Paganini'ego na 2 fortepiany *Witolda Lutosławskiego*. Wykonawcami byli młodzi pianiści krakowscy: Jerzy Jankowski i Janusz Zathey. Interpretacja ich — nacechowana wyraźną tremą — wypadła dość blado. W dalszym ciągu koncertu Krystyna Sznerr (sopran) przy akompaniamencie Ewy Wernikówny (fortepian) wykonała „Suitę Polską" *Andrzeja Panufnika* oraz trzy pieśni ludowe *Antoniego Szałowskiego*, a Stanisław Tauros, Janusz Szewczyk, Anatoliusz Wasik i Jerzy Wiśniewski — kwartet na czworo skrzypiec *Grażyny Bacewiczówny*. W drugiej części usłyszeliśmy piosenki dla dzieci *Alfreda Gradsteina* i *Witolda Lutosławskiego* w wykonaniu Krystyny Sznerr przy akompaniamencie autorów, następnie zaś szereg bardzo interesujących pieśni chóralnych — ludowych i masowych — *Gradsteina, Tadeusza Szeligowskiego, Zygmunta Mycielskiego, Kazimierza Sikorskiego* i *Stanisława Wiechowicza*. Wykonał je Chór Polskiego Radia pod dyr. Jerzego Kołaczkowskiego.

Na marginesie tego koncertu trzeba stwierdzić, że dobór programu nie był szczęśliwie pomyślany, bez względu na taką czy inną wartość poszczególnych utworów. Koncert w tak ważnym momencie — w okresie Walnego Zjazdu — powinien dać choćby w skrócie przegląd najnowszych osiągnięć kompozytorów polskich, obraz ich dążeń i wysiłków na drodze do rzetelnego postępu. Program zaś omawianego koncertu — dość przypadkowo dobrany — zawierał częściowo utwory dawniejsze, wielokrotnie już wykonywane przy różnych okazjach.

*

Jeszcze jedną nadzwyczaj ciekawą imprezą, przeznaczoną dla uczestników Zjazdu, było wielogodzinne przesłuchiwanie taśm magnetofonowych z nagraniami muzyki radzieckiej i polskiej. Przebywający na Zjeździe jako gość muzykolog radziecki Jarustowski zademonstrował najnowsze utwory Arutuniana, Filipenki, Kabalewskiego, Murawlewa, Szostakowicza i Żukowskiego oraz szereg radzieckich pieśni masowych. Pokaz poprzedził Jarustowski odczytem o osiągnięciach muzyki radzieckiej w walce o socjalistyczny realizm. Z twórczości polskiej zademonstrowano nagrania utworów Szeligowskiego, Panufnika i Maklakiewicza oraz kilka pieśni masowych.

Audycja ta, która odbyła się 18 bm. w studio P. R., wniosła konkretny i bogaty materiał do poniedziałkowej dyskusji ideologicznej na Zjeździe.

Wawrzyniec Żuławski

Zjazd Związku Kompozytorów

W dniach 16 — 19 bm. odbył się w Warszawie Walny Zjazd Związku Kompozytorów Polskich. Otwarcia dokonał Minister Kultury i Sztuki Stefan Dybowski, witając przybyłych na Zjazd delegatów radzieckich: kompozytora Chrennikowa i muzykologa Jarustowskiego, oraz delegata Czechosłowacji, kompozytora Dobijasa.

Referaty wygłosili: prezes ustępującego Zarządu Zygmunt Mycielski i dr Zofia Lissa. Vice-minister Włodzimierz Sokorski opowiedział o wrażeniach z ostatniej podróży do ZSRR i wynikających z poczynionych tam spostrzeżeń i doświadczeń nowych zadaniach kompozytora polskiego. Obszerny referat o osiągnięciach radzieckich na drodze do socjalistycznego realizmu wygłosił ponadto Tichon Chrennnikow. O wrażeniach z Moskwy mówił również kompozytor Andrzej Panufnik.

Z obszernej i ożywionej dyskusji ideologicznej — opartej zarówno o wypowiedzi teoretyczne, jak i o konkretne pokazy muzyki żywej — starano się ustalić wytyczne polskiej twórczości muzycznej, zmierzającej do realizacji nowej, wielkiej sztuki socjalistycznej.

Po dyskusji odbyły się wybory, które wyłoniły nowy Zarząd ZKP w składzie: Witold Rudziński (prezes), Grażyna Bacewicz, Zofia Lissa, Faustyn Kulczycki, Jan Maklakiewicz, Andrzej Panufnik, Tadeusz Serocki, Tadeusz Szeligowski, Stanisław Wiechowicz (członkowie), Anna M. Klechniowska, Tadeusz Baird i Bolesław Woytowicz (zastępcy).

Zamknięcie Zjazdu odbyło się w Karolinie, gdzie kompozytorzy, przedstawiciele władz i zagraniczni goście mogli być świadkami nadzwyczaj interesującej produkcji Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca Ludowego.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„Czytelnik"

Kazimierz Zawanowski. Wilanów. Przewodnik. („Wiedza Powszechna". Biblioteczka Krajoznawcza. Tomik II). Warszawa, 1950; str. 117 i 3 nl i 1 knl (mapa).

Stanisław Skowron. Hormony i ich znaczenie w organizmie człowieka. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Podstawowe wiadomości o budowie i działaniu organizmu. II z.). Warszawa, 1950; str. 45 i 3 nl.

Maria Chyrosz. Bawełna, jej własności i zastosowanie. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Włókna przędzalne. III z.). Warszawa, 1950; str. 22 i 2 nl.

Janusz Walczak. Własności wytrzymałościowe metali i ich badanie. („Wiedza Powszechna". Cykl: Metaloznawstwo i stopy techniczne. I z.). Warszawa, 1950; str. 25 i 1 nl.

Kazimierz Jaworski. Budowa szybkościowa. Czyn Załogi Mokotowa. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Nowoczesne metody w budownictwie V z.). Warszawa, 1950; str. 63 i 1 nl.

Andrzej Sadowski. Sposoby i metody obróbki wykańczającej. („Wiedza Powszechna". Cykl Obróbka metali i spawalnictwo. Zeszyt pierwszy). Warszawa, 1950; str. 56.

Stefan Janicki. Stolarka budowlana. („Wiedza Powszechna". Cykl: Budownictwo. Z. III). Warszawa, 1950; str. 27 i 1 nl.

Jan Venulet. Krew i jej rola w organizmie. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Podstawowe wiadomości o budowie i działaniu organizmu. Z. I). Warszawa, 1950; str 43 i 1 nl.

Michał Szymański. Beton i żelazobeton. („Wiedza Powszechna". Cykl: Budownictwo. Z. III. Warszawa, 1950; str. 28.

Adolf Wittels. Jak powstaje dom. („Wiedza powszechna". Cykl: Budownictwo. Z. I). Warszawa, 1950; str. 35 i 1 nl.

Jerzy Litwinszyn. Przewietrzanie kopalń. („Wiedza Powszechna". Cykl: Górnictwo. Z III). Warszawa, 1950; str. 37 i 3 nl.

Roman Podoski. Koleje elektryczne. („Wiedza Powszechna". Cykl: Kolejnictwo elektryczne. Z. I). Warszawa, 1950; str 44.

Antoni Wierzbicki. O użytkowaniu drewna. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Drewno. Z. II). Warszawa, 1950; str. 41 i 3 nl.

Jan Mydlarski. Miejsce człowieka w świecie zwierząt. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Stanowisko człowieka w przyrodzie. Z. I). Warszawa, 1950; str. 44.

Jan Korolko. Różne sposoby odżywiania się roślin i zwierząt. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Budowa i czynności organizmów. IX z.) Warszawa, 1950; str. 50 i 2 nl.

Antoni Wierzbicki. Drewno, surowiec kluczowy. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Drewno. Z. I). Warszawa, 1950; str. 44.

Władysław Majewski. Prąd stały. („Wiedza Powszechna". Cykl: Podstawowe wiadomości z elektrotechniki. Z. I). Warszawa, 1950; str. 67 i 1 nl.

Jan J. Kozłowski. Wodociągi i kanalizacja w miastach i osiedlach. („Wiedza Powszechna". Cykl: Zwiedzajmy fabryki i zakłady. Z. VII). Warszawa, 1950; str. 36.

Jan Mydlarski. Jak wyglądała ludność Europy u schyłku epoki lodowej. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Stanowisko człowieka w przyrodzie. Z. VI). Warszawa, 1950; str. 56.

Franciszek Zeidler. Kinetyczna teoria gazów. („Wiedza Powszechna". Z cyklu: Świat atomów. Z. II). Warszawa, 1950; str. 38 i 2 nl.

„Czytelnik"

STEFAN ŻEROMSKI
SUŁKOWSKI TUROŃ
str. 335 zł 350.—

LEW TOŁSTOJ
WOJNA i POKÓJ
Tom I
str. 444 zł 450.—

ALEKSY JUGOW
PAWŁOW
str. 290 zł 370.—

DENIS DIDEROT
PARADOKS O AKTORZE
str. 214 zł 420.—

TEKSTY ROSYJSKIE »CZYTELNIKA«
zeszyt drugi
(A. Puszkin — Wystrzał)
str. 35 zł 70.—

„CZYTELNIK"
ALEKSY JUGOW
IWAN PIETROWICZ PAWŁOW
Powieść biograficzna o Iwanie Pawłowie wprowadza czytelnika w świat przełomowych odkryć naukowych wielkiego fizjologa rosyjskiego. Ciekawa i barwna książka zainteresuje z pewnością zarówno laików, jak i czytelników z przygotowaniem przyrodniczym.
Str. 290 Zł 370.—

mała kronika

NEGDAJ przeżyłem piękny dzień, gdyż spotkałem przyjaciela. Przyszedłem do redakcji, zobaczyłem go pod oknem i oniemiałem. Jak zwykle chudy, jak zwykle blady i uśmiechnięty, Kurt Bartel, zwany Kubą, jeszcze szerzej otworzył oczy. „Jedziemy po Polsce — przywitał mnie okrzykiem, — napiszemy wspólny reportaż z nad Odry i Nysy a potem objedziemy stronę niemiecką, chcesz?" Chciałem, ale najpierw pojechaliśmy do hotelu. Kurt Bartel — to młody poeta niemiecki, poeta młodego pokolenia demokratycznej młodzieży, która zamanifestowała swą wolę obrony pokoju imponującą manifestacją w Berlinie. Spotkaliśmy się niegdyś w Weimarze na uroczystościach ku czci Goethego; tam młodzież niemiecka na nasze pytania, kogo czyta, odpowiadała z dumą: „Jasne, że Kubę". Kuba zaś siedział w głębokim fotelu jak zwykle chudy, blady i uśmiechnięty. Jest twórcą „Opowieści o człowieku', wspaniałego cyklu liryki politycznej, z którego młodzież niemiecka uczy się rozumieć historię ostatnich lat. Po południu siedzieliśmy w małym pokoju hotelowym. Przez okno widać było szarą Wisłę; na drugim jej brzegu rozpościerały się białe domy i dymiły kominy fabryczne a bliżej — leżał oczyszczony z gruzów plac zamknięty z jednej strony ulicą, po której sunęły samochody i znikały wśród nowych, odbudowanych budowli, z drugiej zaś — kościołem i klasztorem. „Nic nie rozumiem albo rozumiem zbyt dobrze" — mówił Kuba i patrzał w zadumie przez okno. „Wiesz, widziałem getto, byłem na Starym Mieście i oglądałem nową katedrę. Więc wy odbudowujecie kościoły a wasi biskupi nie chcą podpisać apelu sztokholmskiego? Czego oni chcą? Nowej wojny? Zniszczenia i tej katedry?" „Nie do wiary — mówił potem — jeszcze kilka dni temu byłem w Düsseldorfie, w zachodnich Niemczech, brałem udział w manifestacjach wolnej młodzieży niemieckiej, która z megafonami szła do dzielnic robotniczych, czytała wiersze postępowych pisarzy niemieckich, zdobywała podpisy pod apelem; widziałem „tradycyjne" mieszczańskie święto jakichś kurkowców czy innych strzelców; a dziś jestem tu z wami, w nowym świecie, wśród ludzi rodzącego się socjalizmu."

Tę drugą rozmowę wiedliśmy już w odświętnym lasku bielańskim, przepychając się wśród rozbawionego, kolorowego, festynowego tłumu. Przystanęliśmy chwilę pod estradą dla dzieci, które tańczyły krakowiaka, potem podeszliśmy pod ludowy teatr wystawiający „Wesele na Kurpiach", potem przeszliśmy wzdłuż pół setki kramików z książkami ,szukając naszych kolegów, którzy mieli podpisywać swe dzieła (ale nikogo nie znaleźliśmy, więc kupiliśmy ozdobne wydanie „Pana Tadeusza"), potem posędziowaliśmy przy siatkówce ZMPowcom, potem trafiliśmy na teatr kukiełek, potem na dwóch żywych polskich poetów, potem na pusty ring bokserski otoczony zbitym tłumem, wreszcie, okrążywszy lasek — wydostaliśmy się nad Wisłę. Nad wysokim, urwistym brzegiem łopotały sztandary wolnych narodów, pod nimi rozciągała się płaska ziemia mazowiecka a środkiem krętego koryta wśród łach i mielizn sunął leniwie mały stateczek, mieląc kołami wodę. „Zupełnie, jak u Gorkiego" — westchnął Kuba i zeszliśmy znowu do lasku. Wiatr przegnał ciężkie chmury i nad laskiem zaczął wesołe, śmiałe akrobacje mały kukuruźnik, który wyczyniał w powietrzu koziołki, jakby nie był samolotem, lecz dzieckiem na łące. Pod drzewem zaś, na skraju polanki, młoda matka karmiła piersią niemowlę. Zamyśliła się i nie zwracała uwagi na samolot. „Cóż chcesz, mój drogi, to pokój" — powiedział Kuba. I poszliśmy dalej między drzewa. Piękny przeżyłem dzień z przyjacielem.

Piękne dni będą przeżywać pisarze naszego kraju. Będą witali swoich radzieckich towarzyszy, inżynierów dusz ludzkich, wychowawców pokolenia, które buduje komunizm. Będą ściskali dłonie przyjaciół z krajów demokracji ludowych walczących o sztukę realizmu socjalistycznego. Będą gościli pisarzy z krajów imperialistycznych, zależnych i kolonialnych; synów ludów walczących o pokój przeciw spiskom wojny i grabieży. Będziemy witać tych którzy mogli przybyć, i tych których zatrzymali przemocą imperialiści.

Kiedy będziemy mówić o sztuce realizmu socjalistycznego, wśród nas będzie obecny Nazim Hikmet, wielki poeta turecki zamknięty od dwunastu lat w więzieniu przez reakcyjny rząd sługusów imperializmu; ciężko chory, niezłomny człowiek, którego poezja rozpłomienia nasze serca, daje im miłość i — nienawiść.

Z nami będzie na sali obrad Alfred Varela, uwięziony przez faszystowski rząd Argentyny, nieustraszony bojownik demokracji, piewca losu swego ludu spętanego przez kolonizatorów.

Z nami będzie na sali obrad znakomity pisarz amerykański Howard Fast, godny następca Dreisera, uwięziony przez amerykańskich podżegaczy wojennych. Z nami będą wszyscy twórcy walczący o realizm socjalistyczny w sztuce. Realizm naszych czasów, który trzeba pieczętować swoją wolnością, swoim szczęściem i życiem.

Dla takiej sztuki warto cierpieć, bo warto cierpieć dla ludzkości; warto dla niej tworzyć i żyć. Przemieniać siebie; pomnażać dorobek kulturalny ludzkości; utrwalać pokój i wywalczać sprawiedliwość społeczną; wychowywać nowego człowieka, godnego spadkobiercę postępowych tradycji ludzkości.

Pięknie, bardzo pięknie mówi o nim mój przyjaciel Kuba, młody poeta niemiecki:

Popatrzcie —
rośnie w Lenina wielkim domu
dumny i wolny: człowiek,
władca ziemi.

Tadeusz Borowski

Stanisław Sojecki

PAX VOBISCUM

„Ksiądz mi nakazował, abym podpisował",
To też, wziąwszy pióro, machnąłem najszczerzej —
Dziś mnie za to biskup jakby zestrofował,
Że to sam w tej akcji udziału nie bierze!

Na mój rozum trudne to zbyt zagadnienie,
Jestem jakby między młotem a kowadłem —
Tu bojkot pokoju — tu porozumienie,
Nie chcę wierzyć, ale — zdaje się — że wpadłem!

Wprawdzie tu nie chodzi o żadne dogmata,
Co by podkopywać miały we mnie wiarę,
Lecz sama na usta się ciśnie cytata:
„Panu Bogu świeczka, a diabłu ogarek"!

I odtąd mną szarpie t. zw. udręka
I nie wiem co ziarnem, a co tu jest chwastem?
Powiedzcie: tu Prawdy nie trzeba się lękać:
Kto z nas... błędna owca, a kto... błędny pasterz?!!!!

NÓŻ W PLECY FRANCJI

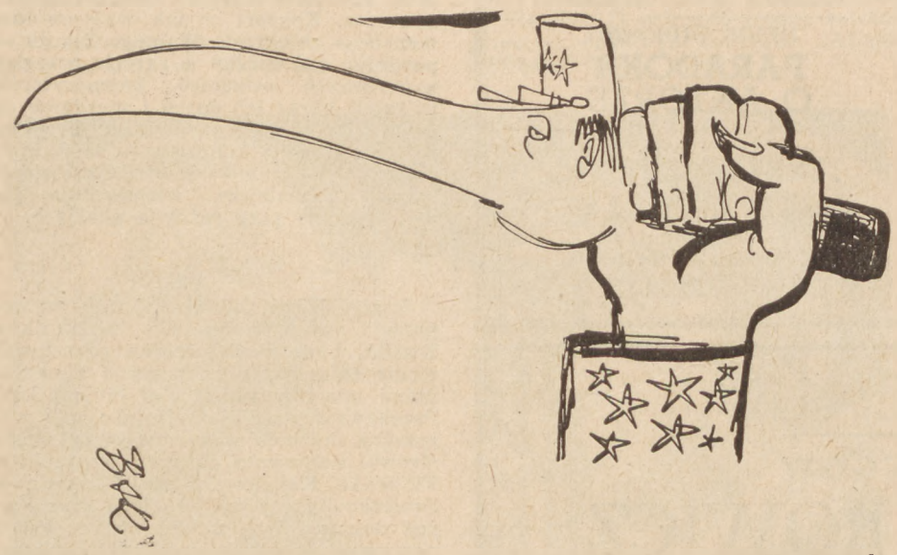

Rys. K. Baran'ecki

Komentarze

Słowo wróblem wyleci a wołem powróci

Wpadła mi w ręce książeczka prof. Zygmunta Szweykowskiego „Sylwetki literackie" (oświecenie — romantyzm — pozytywizm — Młoda Polska). Książeczka ta powstała z odczytów radiowych z cyklu: Mówiona historia literatury. Stare dobre przysłowie: „Słowo wróblem wyleci a wołem powróci" sprawdza się oto na przykładzie tej książeczki raz jeszcze. Wół to nie byle jakiej tuszy, mimo że publikacja nie ma nawet stu stronic druku. Treść jej gęsta, solidnie naszpikowana starą, dobrze znaną frazeologią polonistyczną. Profesor dokładał widocznie wszystkich sił, by nie powiedzieć ani jednej nowej myśli.

„Mickiewicz ma niesłychaną wrażliwość na sprawy ogólnoludzkie, jest w swoim rodzaju(!) wielkim humanistą, ma także pełnię żarliwej potrzeby bezpośredniego łączenia się ze sferą ducha, jest więc w swoim rodzaju wybitnym mistykiem..."

Później mowa jest o tym, *kogo Mickiewicz nie zdradził*. A więc dowiadujemy się z głęboką ulgą w sercu, że 1) „Nie zdradził jednostki", 2) „Nie zdradził nigdy narodu", 3) „Nie zdradził poeta ludzkości", 4) „Nie zdradził nigdy i(!) wieczności, gdyż zawsze nawet wtedy gdy buntował się przeciwko Bogu, był człowiekiem z ducha na wskroś religijnym" itd.

Z takich niezwykłych formuł składają się charakterystyki pisarzy w tej małej, lecz złośliwej książeczce.

O Norwidzie na przykład mówi profesor:

„Stajemy od razu na dostojnych koturnach, horyzonty się rozszerzają ukazując perspektywy wieczności: zobaczymy nieroześmianą przeciętność ludzką, a(!) wzniosłość człowieka zmierzającego do Boga..."

Omawiając twórczość Kasprowicza, uczony zastanawia się nad dolą człowieka na ziemi. „Dusza ludzka — medytuje badacz literatury — stworzona została z piętnem grzechu pierworodnego, z którego wydźwignąć się nie może." Tak mówi profesor, a nam robi się smutno, nawet nie z powodu tego grzechu, ile że takie rzeczy wypisuje się w historii literatury. Zgnębieni i smutni czytamy dalej: „Życie człowieka na ziemi — to tytaniczna walka dwóch tkwiących w nim pierwiastków — pierwiastka Adama z niesłychanym mozołem wspinającego się wzwyż do wyzwolenia i pierwiastka Ewy kuszącej pięknem i rozkoszą grzechu i strącającej każdego na dno potępienia."

He! he! he! — jakby zawył Przybyszewski — nie wiedzieliśmy, że aż tak źle jest z tymi pierwiastkami!

Jak potępieńcy zbliżamy się do ostatnich stronic publikacji uczonego polonisty i dowiadujemy się ku wielkiej pociesze, że „literatura międzywojennego dwudziestolecia nie miała czasu rozwinąć się", oraz że „Obecnie musi się narodzić nowa literatura. Ale to jest rzecz przyszłości. Historia literatury zajmuje się tym, co minęło."

Owszem. Tak. Ale to w ogóle nie jest żadna „historia literatury", ani to nie są „sylwetki literackie", lecz tylko, jak to już powiedzieliśmy na początku tego wywodu, przydługi przykład na stare dobre przysłowie: „Słowo wróblem wyleci (z rozgłośni radiowej) a wołem powróci (w druku)". To wszystko.

Niedź.

Gęba za lud krzycząca

Kisiel w „Porachunkach drobnych" (Tygodnik Powszechny Nr. 24) zabrał się tym razem do Mickiewicza. Chytrze udając naiwnisia i głuptaska podaje w wątpliwość niektóre teksty zamieszczone w Wydaniu Narodowym Mickiewicza. Cytuje z widoczną rozkoszą znany wiersz o rękach za lud walczących i dziwi się, dlaczego wiersz ten w edycji Czytelnikowskiej zaczyna się od słów: „Gęby za lud krzyczące sam lud w końcu znudzą", nie zaś od słów znajdujących się w tekście dalej: „Ręce za lud walczące sam lud poobcina". Dziwi się, chociaż z mniejszym zapałem, dlaczego początek „Żalu rozrzutnika" w wydaniu Narodowym brzmi:

Kochanek, druhów! Ileż was spotkałem!

a nie:

Kochanek duchów, ileż was spotkałem.

Dziwi się czytając wariant pierwszej strofy wiersza „Pieśń żołnierza".

Zamiast dziwić się i tracić czas na pisanie felietonów, ukazujących nieuctwo autora, mógł przecież Kisiel odwiedzić profesora Pigonia (w Krakowie wszędzie blisko, jak wiadomo) i zapytać go, jak to jest z tymi tekstami. Uczony badacz i znawca tekstów Mickiewicza wyjaśniłby Kisielowi, że on, profesor Pigoń, już w roku 1922 umieścił w „Przeglądzie Warszawskim" artykuł, w którym poddał rzeczowej krytyce teksty drukowane po śmierci poety i przywrócił im na podstawie sumiennego zbadania rękopisów właściwe, najbliższe woli poety brzmienie. Niech Kisiel pokona

lenistwo, pójdzie do Biblioteki Jagiellońskiej i poprosi o „Przegląd Warszawski" z r. 1922. Niech poprosi również o inną pracę profesora Pigonia pt. „Autograf „Zdań i uwag" A. Mickiewicza" (r. 1928), ewentualnie niech poczyta sobie „Poezje" Mickiewicza wydane w r. 1929, również przez prof. Pigonia. Wszystkie jego wątpliwości co do poprawnego brzmienia pośmiertnych tekstów poety znikną i nie będzie musiał polegać na zdaniu „uroczego dziewczęcia korektorskiego" z „Tygodnika Powszechnego", jak się z tęsknotą i żalem wyraża, ani nie będzie musiał polegać na listach czytelników „Tygodnika Powszechnego". Uchroni go to również od stanów duszy w rodzaju: „Dostaję obłędu, wyję, łapię wydanie Czytelnikowskie"...

Ale kto by tam Kisielowi wierzył! Przecież wystarczyło zajrzeć do „Dodatku krytycznego" do „Uwag o tekstach" zamieszczonych na końcu Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza, („Czytelnik", rok 1948, tom 1). Z przypisów tych dowiedziałby się o tym, co mógłby mu osobiście opowiedzieć profesor Pigoń.

Nie uwierzę w to, by pisarz, który z tylu garnków jadł, pisarz, tak oczytany jak Kisiel nie wiedział o tym wszystkim. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że chodziło mu po prostu o zasianie w umysłach czytelników „Tygodnika Powszechnego" podejrzenia, że niektóre teksty w Narodowym Wydaniu Mickiewicza zostały celowo zmienione.

Można by odpowiedzieć Kisielowi jeszcze jedną wersją częściowiersza Mickiewicza (podaną w przypisach do Wydania Narodowego):

Gęby na lud krzyczące sam lud w końcu znudzą.

kor.

Charakterystyczna wypowiedź

Ostatnio toczy się w „Tygodniku Powszechnym" dyskusja o liberalizmie. Rzecz jasna, że dyskusja ta — chociaż dotycząca rzekomo „ponadczasowych" zalet zachodniej „demokracji" i amerykańskiego „liberalizmu" — ma określony cel polityczny. Ale nawet w tej „wolnościowej" farsie za trzy grosze, odegranej celem schwytania na wędkę naiwnych, spod wodospadu frazesów wychodzi na jaw prawdziwe oblicze obrońców watykańskiej demokracji.

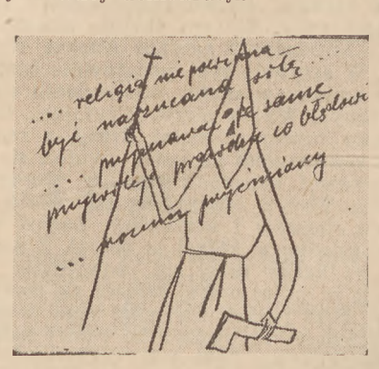

Oto przeciw „postępowym" poglądom Kisielewskiego wystąpił Józef Marian Święcicki w artykule pt. „Liberalizm" — pogląd na świat czy ideał?" Z pewnymi tezami tego artykułu warto, jak sądzę, zapoznać naszych czytelników.

„Nikt temu nie zaprzeczy — pisze J. M. Święcicki — że religia nie powinna być narzucana siłą — podobne tendencje zostały, jako dogmatycznie błędne, przez Kościół potępione — ale stąd wcale jeszcze nie wynika, aby dokładnie przeciwne stanowisko (tj. „wolna konkurencja" ideologii") było słuszne. Ono również zostało przez Urząd Nauczycielski napiętnowane gdyż faktycznie żąda, aby „przyznawać te same przywileje prawdzie co i błędowi."

Kościół nie może pozwolić, aby przyznano „te same przywileje prawdzie co i błędowi" (czytaj: wierze i nauce), gdyż stanowisko jego opiera się — jak pisze Święcicki — „na uwzględnieniu tego podstawowego faktu, że natura ludzka jest skażona, że na skutek tego człowiek posiada „rozum przyćmiony", jeśli idzie o poznawanie dobra, a wolę „skłonną do złego", by się posłużyć najbardziej już katechizmowymi definicjami".

Tak oto dowiedzieliśmy się, że biedny człowiek o przyćmionym rozumie musi być mocno pilnowany, aby nie poszedł drogami wolnej i naukowej myśli, zrozumieliśmy także konieczność wynoszenia na indeks ksiąg postępowych myślicieli i pisarzy, w obawie, by nie skłonili do złego maluczkich...

W artykule 124 Konstytucji Stalinowskiej, konstytucji pierwszego państwa socjalistycznego, czytamy: „Wolność uprawiania kultów religijnych oraz wolność propagandy antyreligijnej przysługuje wszystkim obywatelom." Takie stanowisko zajmują ci, którzy nie boją się rywalizacji idealizmu z materializmem, wstecznictwa z postępem, wolnej myśli ludzkiej z ponurą mową spadkobierców inkwizycji.

b. grz.

Hitlerowiec na czele francuskiej fabryki samolotów

Naczelnym inżynierem największej francuskiej fabryki motorów samolotowych S.N.E.C.M.A. Kellermann w Paryżu został mianowany Niemiec-hitlerowiec Oestrich. W III-ej Rzeszy Oestrich był inżynierem Herman Goering-Werke. Po wyzwoleniu, jako więzień Francji, był użyty do prac badawczych w dziedzinie konstrukcji motorów lotniczych pod ścisłą kontrolą inżynierów francuskich. Dzisiejszy zmarshallizowany rząd Francji, rząd dymisji narodowej i hańby, wyrzuca na bruk 3.000 robotników i inżynierów francuskich w paryskiej fabryce S.N.E.C.M.A. (plan Marshalla zabrania Francji kontynuowania świetnie postawionej produkcji oryginalnych typów motorów), a po ograniczeniu działalności fabryki do typów przewidzianych w atlantyckiej standaryzacji zbrojeń, kierownictwo jej powierza człowiekowi, do którego można mieć zaufanie,

że na pewno nie będzie bronił suwerennych interesów przemysłu i gospodarki francuskiej. Wraz z Oestrichem wchodzi do S.N.E.C.M.A. Kellerman na stanowiska kierownicze kilkudziesięciu niemieckich inżynierów nazistowskich.

Pod ich faktycznym kierownictwem ma pracować zredukowana odpowiednio do nowych, ograniczonych zadań fabryki, załoga francuskich inżynierów, techników i robotników.

Dotychczasowy naczelny inżynier — Francuz podał się do dymisji. Burzą się robotnicy S.N.E.C.M.A. — 3 tysiące wyrzuconych na bruk i reszta, która nie chce pracować pod kierunkiem i kontrolą hitlerowców. Protestuje ludność 13 arrondissement w Paryżu, w którym mieści się fabryka, protestują związki zawodowe i cały lud Paryża, jego prasa, jego Partia.

Rządowi Bidault nie wystarcza już sztab amerykański w Fontainebleau, narody „europejskie" w Strassburgu i unia przemysłowa z Niemcami Zachodnimi, Niemcami magnatów przemysłowych. Kat Skorzeny przechadza się po Polach Elizejskich, a w S.N.E.C.M.A. Kellerman rządzą inżynierowie hitlerowscy.

B.

Idea profesora Brittona

Profesor dr. Britton jest wykładowcą fizjologii na uniwersytecie Virginia w Stanach Zjednoczonych. Jego nazwisko cieszy się ostatnio wielką popularnością w Ameryce, co zawdzięcza on nie tyle swoim pracom naukowym, ile genialnym pomysłom, które mogą spowodować przewrót w społecznych stosunkach Ameryki. Profesor Britton zapoznał świat ze swoimi ideami po raz pierwszy na odczycie wygłoszonym na dorocznym zebraniu Narodowej Akademii Umiejętności. Idea doktora Brittona jest bardzo prosta a zarazem bardzo genialna i trudno wprost pojąć, że nikt wcześniej nie wpadł na nią.

Prof. Britton doszedł do przekonania, że praca górników amerykańskich jest nader ciężka i mało wydajna. Wobec tego zaproponował, aby przedsiębiorstwa górnicze zatrudniły zamiast ludzi — małpy człekokształtne. Do tego celu będą się szczególnie nadawały orangutany i goryle, które po odpowiedniej tresurze i zabiegach fizjologicznych doskonale wyręczą człowieka. Korzyści tej inowacji są, zdaniem Brittona, bardziej niż oczywiste. Po pierwsze, małpy władają ogromną siłą fizyczną i ich praca może przynieść olbrzymie dywidendy; po drugie, nie należy przypuszczać, aby goryle były zdolne organizować się w związki zawodowe, po trzecie — sprawy polityczne są im całkowicie obojętne i nie grozi im zarażenie się jadem komunistycznym. Zatrudnienie małp w ciężkim przemyśle usuwa raz na zawsze groźbę strajków. Plan Prof. Brittona posiada jedną niedogodność: małp człekokształtnych jest na świecie, według obliczeń Brittona, wszystkiego jeden milion. To prawda, orangutanów brak w Stanach Zjednoczonych. Ale zakładów dla umysłowo chorych chyba nie brak.

kst.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5

B-101485